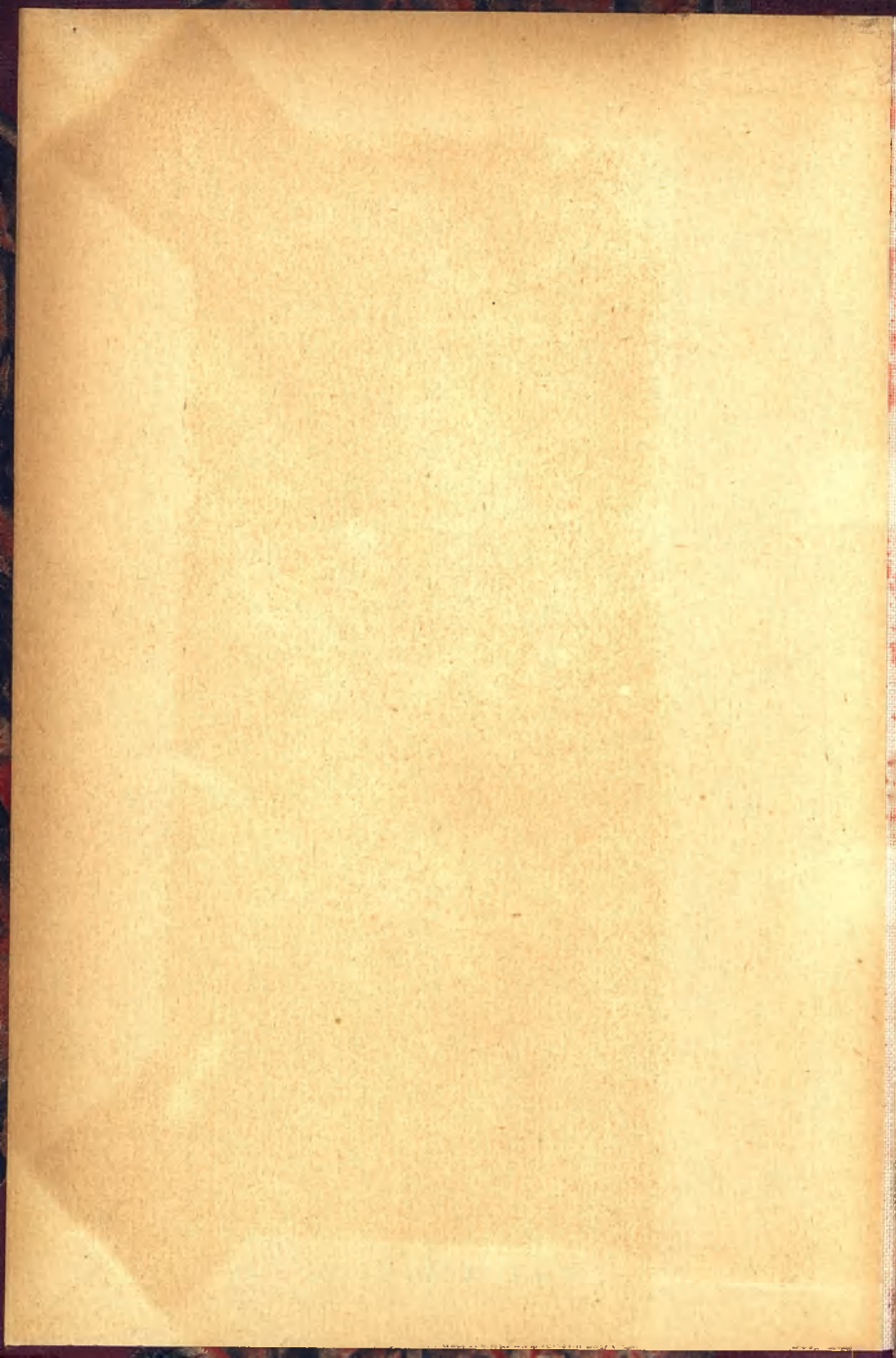


Śląska Biblioteka Publiczna

67032

I

LP.



DUŽE LITERY

170
K. D.

ADAM CIOMPA

DUŻE LITERY

100

K R A K Ó W — 1 9 3 3

WYDAWNICTWO LITERACKO-NAUKOWE

(WOJCIECH MEISELS)

2514
38

LPT 4ol

67032

I

Jan Stawicki

Wyrzy 28.6.1938

Cena zł 5,50



wstrząśnieniem śmiechu rzucony o uginające się z szelestem skórzane oparcie kanapy trwałem chwilę wzrokiem na różowości rąk własnych, pozostałych nadal na podzielonej suknie, szklanej powierzchni stolika. Ale zaraz znów zaistniał przede mną śniady, trójkątny owal jego twarzy rozszerzonej promykami słońce wybiegłych z zewnętrznych kącików zwięzonych w wałeczki powiek, określonej czernią wpadłych głęboko w środek czoła, niedługich włosów i niebieskością podrosłego zarostu. Wokoło łukowato śmiechem wydłużonych warg, wpartych w lśniące nawiasy policzków, czarne resztki źrenic z zadowoleniem zmieniały miejsce w szparkach zgrubiałych powiek, z których środka patrzyły wprost na mnie, z kącików w prawo na salę lub w lewo na prawie nieporuszoną uśmiechem, jasną, obojętną twarz „św. Jana“, wciśniętą w ramiona podniesione niedbałem, bezwładnem obsunięciem się jego ubrania w kanapę.

— Jakby ktoś mokrą gąbką przemazał z kredy czarność tablicy — poruszył ledwie widocznymi, waziutkami w jasności twarzy wargami, z piwnymi źrenicami przed siebie w górę. Zesunął się całkiem na bok i oparł, współleżąc, na łokciu.

poniżej przyćmionego, szkłobarwnego światła lamp, zawieszonych u łamanego nachyleniami sufitu, niebieskawe, cichotrważące zawieszenia dymu na nierównej szarości obrazów, luster, resztek ścian jasnych i wysoko podchodzących ciemnych oparć dookolnych kanap.

w rozdrobnioną wokół zielonych płaszczyzn stoli-

ków lekkozgiekliwą ruchomość jasnych w szarości twarzy, rąk, barw kobiet ledwo włączona zjawieniem się już opuszczając się niby nieznaczaco na krzesło podbiegała źrenicami podbarwionych oczu i cielesnością poruszeń pod zbiegnięte na niej spojrzenia mężczyzn śledzących ją z nad rozpadłego w błyski sreber, szkła i porcelany pstroksztaltu w zieleni płaszczyzn ustawionych nad niewyraźnością nóg i buczków.

— Ta już zpowrotem — otarł się głosem o mnie — z nad migotliwych paznokciami i pierścieniami rąk odsłaniała co chwila podnoszeniem powiek oczy ku sali — i ruchliwość resztek źrenic z uśmiechem zwrócił we mnie.

przykrość wewnętrznego niezwiązania z chwilą cofnąłem wgląd siebie poza sztywność wymuszonego, ściągającego przy ustach mięśnie uśmiechu, podstawionego pod ironję jego wyzywających źrenic. Silnem, niewygodnem ściśnięciem w sobie przeciwstawiony wewnętrznie jego, wzierającej we mnie z nad swobodnie o rzeźbioną w szarotki rękojeść laseczki opartych rąk, wyprostowanej pewności siebie, dwuznacznem powiedzeniem wzruszam śmiechem siebie i jego, spychając usiłnie w dół z siebie wstydliwą przykrość obcości. Wydzwignięty z trudem ponad już mnie samego, chęcią śmiania się i wywoływania śmiechu zrównany z nim wreszcie, jednoczę się z nim w śmiechu, potrzebie śmiechu i radości jego tworzenia.

Coś niewidocznego snuje się dołem sali, ociera o twarz i ręce, drażni swędzeniami lekkimi niewielkie włoski rozłożone po ciele w cieplej warstewce powietrza między bielizną a skórą.

Rozsunięciem się cząstek dzielącej nas od innych przestrzeni włączeni w jedną zamkniętą nieregularnością sali, częścią nas jesteśmy w jakiejś wspólnej wszystkim powadze chwili, zsumowanej w ciszę z szelestów,

brzęczeń, uśmiechów, zapachu perfum i pudru, dymu, spojrzeń podglębionych kolorem oczu, poruszeń warg nabrzmiało-czerwonych i niewyraźności kobiecych nóg skrywających cielistość jedwabi pod cieniami niepotrzebnych stolików.

— Ciekawym, czy te też? — spaja się ze mną słowem, wyodrębniając dwie zpośród tylu kobiet. W środku wyrazistych warg osiada mu mały stalaktyt śliny.

Opięścieniona jej ręka z cieniutkim papierosikiem odsłania, znikając w czerwieni rękawa, purpurowe serce warg grubych. Rozchylone wydechem dymu, zwrócone ku jasnoniebieskiej towarzysze poruszeniami swemi rozciągają w uśmiezek blade jej usta i podnoszą powieki znad wpatzonego gdzieś poza nas tęsknienia niebieskich źrenic. Wydobyta gorliwością spojrzeń z czerwieni i niebieskości sukien uprzestrzeniona, uchwytna pełność piersi i ramion, dołem uniedostępnionych oku rozstrzępieniem talerzyków i szklanek, wbliza się w skróconą nieustannością wzajemnych już oddawna uśmiechów i spojrzeń przestrzeń. Chwiejące zakopiańską laseczką ręce i zadowolony profil jego śniadej twarzy spłaszczonej dla mnie w masie, jest jakby we mnie, nie poza mną, mną prawie, gdy patrzę ku tamtym na bok.

„Św. Jan“ podniósł się. Ujął dół nieruchomej twarzy postawionym kołnierzem płaszcza.

Wysunięciem się jego zpośród nas wrócony znów nagle w poprzednie zażenowanie własnej obcości w chwili, znów z trudem przeciwstawiam pozory zewnętrznej nad mą wzmożoną niepewnością siebie swobody jego wyłącznie już teraz ku mnie od nich powracającym czarnym, pewnym siebie źrenicom. Obezwładniony do samodzielnego ruchu trwam zewnętrznem śledzeniem jego poruszeń, na uśmiech odpowiadając pozamoim uśmiechem.

Tuż przy mnie niebieska suknia, gdy przy nim jest już czerwona.

drażniąca tajemnica uśmiechu ich oczu i ciała, podsunęta tak blisko pod mą niespokojną ciekawość, zogromniała przez me usilnie powściągane, nieustanne drzenie, zwiększane przypadkowemi zetknięciami pozostawionych w cieple zetknięcia łydek.

Czarne, mokre trotuary podsuwają się niekończącą się wstęgą pod mą bezwładną niemożność oderwania się od drewnianych, odległych od siebie postuków jego ła ski i drobnych między nami, szybkich, nieustannych uderzeń kobiecych bucików.

Na wązkich, stromych, w ciemność idących schodach, tuż przed przywartym do nich moim wzrokiem, grube, obciążnięte jedwabiem, niknące nagłemi rozszerzeniami w ciemnej, niepokojącej głębi roztwierającego się i zamykającego dzwona sukni nogi zginają się i prostują przede mną, spychając z stukiem w dwa wgięte od tarcia kanty rozszczepiony schód za schodem do dołu. Przepchnięty bezwolnie przez z zupełnej ciemności wyrosły jasny prostokąt drzwi, otwartych na rozgłos pochylonych nad dźwiękiem talerzy i łyżek, w żółtym zapachu lampy naftowej i kuchni, starszych i dzieci, w nową ciemność mą oszołomioną bezmyślnością, śledzę zaciemniającą się przed podkręcaną lampą sylwetę dziewczyny. Oderwanym wreszcie od blasku odsłoniętego światła wzrokiem nie widzę już niebieskiej sukni, zmienionej w kawał szmatki na krześle, przykrytej niedługo czerwoną. Pochylone ku ziemi dziewczęta, siedząc na jedynym łóżku, nagiemi, ściemnionemi białą bielizny rękami rozwiązują buciki, które stukają o ziemię.

Ręce dziewcząt zjeżdżają od bioder ku dołowi, wylaniając czerwone ciało nóg z poza wchłanianej w siebie pończochy. Zpod osuniętych w ramiączkach koszul jasne, nabrzmiałe piersi mną się przygniecione różo-

wem kolanem. Nagle zdołu od łóżka ku naszemu bezradnemu dotykaniu się wzrokiem patrzą dwie zniechęcenię twarze. Zniekształcone natychmiast rozruszaniem mięśni i warg, odpychająco ruchliwie ohydne podchodzą pod nasze twarze na przypłaszczonych do ziemi brakiem obuwia, opadłych, półnagich, wstrętnych ciablach.

uderzeniami krzyków i przekleństw i wyzwisk wypchnięty wraz z nim i strącony przepaścią schodów w mieniący się, błyszczący światłem, czarny mokry asfalt nawierzchni ulicy

w beztreściwym trwaniu oczekującej na coś bezmyślnie posuwam się milczący między nieustanną zmianą zapadających się w ciemną nieprzeźroczystość murów jasnych głębi sklepowych wystaw a jego wyraźnie odczuwanem, równem mojemu zakłopotaniem, głośnem tylko postukami laski zamilknięciem.

Wstrzymywani od rozejścia się koniecznością nie tak łatwego, wzajemnego usprawiedliwienia się z wewnętrżnej, istotnej treści siebie, wyzbywamy się na pewien czas nas samych w ciemności, będąc istnjącymi przed nami świetlanymi, niemymi postaciami...

„po tylu przejściach zaczęły się odtąd dla nich długie dnie nieskłodzonego szczęścia“.

mięśnie spięte dotąd przez jedyną w zakrzepłej ciemności rozjaśnioną, choć szarą rzeczywistość ekranu rozluźniają się wyraźnie w powracającej świadomości siebie. W wgarniętych wciąż jeszcze w siebie w głębi przede mną wzruszonych i wzruszających twarzy i nagich ramiion, w długim pocałunku prześwieatlnonych miłością i szczęściem na tle chwiejących się poszarpanych liści palm, wpływa w opadające w kształt krzesła ciało dziwne, ciepłoradosne przepełnienie świadomością szczęścia. Poprzez zmęczone, piekące obwódki oczu podbiegłe wilgotnem roztkliwieniem wtłacza się go we mnie

tak wiele, że wyciepla się poza mnie na zaistniałą obok mnie pełnię ludzi, przy słyszalnym już dygocie ostatnich obrotów wyświetlającego aparatu.

Wcieśniony nagle rozbłyśnięciem lamp z poprzedniej bezprzestrzeni w ponure, porowate mimo światła wnętrze sali, wepchany między wyrosłe nagle z szurgotu podeszew i strzelania zwolnionych z ciężaru krzeseł zatłoczenie ludźmi, wyodrębniony w sobie ich coraz silniejszym naciskiem, posuwam powoli ku wyjściu, wśród wychyleń coraz częstszych głosów, moje przepełnienie wiedzą szczęścia, wyczuwając je równie wyraźnie u innych. Jest w jego czarnych, często ku mnie z lekkim kiwaniem głowy zwracanych żrenicach, z wtopioną poza ich kulistość, przyległą do ich szyby lśniąca tkliwość. W otwartych na wewnątrz oczach kobiet jest niezwykła w tej chwili zdolność do dania i odczucia rozprzestrzenionej w nich mocy szczęścia. Szeroko rozwarłe ich oczy śmielej i ufniej zapadając wzajemnie w moje, dłużej pozwalają wglądać w siebie w poszukiwaniu wspólnego rozcieplenia wnętrza.

Chłodem ulicy wydarty z jednolitego bloku wpływającego weń ciepłego wspól-czucia szedłem jeszcze długo wśród rozerwanych w poszczególne jednostki ludzi milcząc, tuż obok jego sztywno wyprostowanej postaci. Niosąc, jak każdy obok, tkwiący we mnie, zamknięty zespół wywołanych uczuć, zcalających się pomału w odrębną od wymawianych słów całość, wczuвам się w nią usilnie, by jak najdłużej przytrzymać odczuta rozkosz kurczącego się poczucia szczęścia.

Oświetlone prostoluki zamkniętych sklepów, rozdrobnione u dołu pstrokacizną towarów, chropowatość gwaru ulicy i ostrość światła wraz z odmiennem wewnętrznem czuciem napierały czas pewien napróżno na tkwiącą we mnie, malejącą już jednak, spójnię. Zgęstniała w sobie przycupła wreszcie wobec narostu życia,

gotowa rozprężyć się nagle owładnięciem w stosownej chwili.

— Szczęście! — powtórzyłem prawie głośno w zasięgu krwawej łuny rozlanej z gorejącej w górze reklamy.

— Szczęście. Pewnie. Zrozumienie. Lecz co to jest jedno i drugie? — zapytał.

Rzucił mi krwawy błysk z oczu jedynie widocznych pod brwiami na twarzy stopionej w jedną czerwień z rozplamioną ścianą kamienicy, na której sunęły same kapelusze i oczy, niekiedy nad listkami warg szarych.

Dopiero co odczuwane szczęście niestniało już we mnie wobec zwykłocodziennego istnienia ulicy.

Czerwone iskierki i różowe rozmazania rzucone o rozmaite odbijające płaszczyzny przypominały pozostałą za nami lunę. Jaśniejące w górze białoswielne kule lamp godziły kropkowaną, zniżającą się i zwężającą strzałą w dużą, daleką czerń kościoła, kończącego wpływającą weń jasność ulicy ostrym konturem dwu wież bezbarwnych na łagodnym seledynie nieba.

żółte, długie palce jego rąk wolnemi posunięciami ku górze oddzielają od wycofujących się guzików połę płaszcza. A gdy i ja po długim i starannem układaniu opadłego w grube, równoległe fałdy na poręczy kanapy płaszcza umiejscawiam się w jej szeleszczącym zapadnięciu, palce jego uchwytyją granatowe sukno na kolanach, podciągając je ku górze. Części sali wraz z różnemi twarzami zmieniają się co chwila przede mną i czuję, że on też mojego wzroku unika. Znajome twarze kelnerów poruszają się jednozmysłowo bezgłośnie w nierzeczywistej podłożeniu dywanów międzystolikowej przestrzeni.

Spojony byłem oczyma z niewyraźnością dalekiej pod ścianą twarzy, gdy zaistniałe wyraźnie zwiększo-

nem czuciem palce włożonej w kieszeń ręki nasunęły się na płaską twardość.

— Pali pan?

— Dziękuję. Owszem.

Dwie ręce cofnęły się jedna po drugiej znad pozostałego na zielono podbarwionem, grubem szkłe stolika otwartego pudełka.

Zbliżoną do łączącego nas i dzielącego czubatego płomienia zobaczyłem wreszcie twarz jego zmarszczoną grubo na pochylonem czole. Zpod opuszczonych powiek i wysoko podniesionych, zmarszczonych brwi tkwił źrenicami w ruchliwej jasności ognia, krótkimi, przerywanemi puszczeniem gęstego dymu pociągnięciami rozszerzając drobne na końcu czarnego papierosa, coraz szerzej rozkwitające punkciki żaru.

Zbliżyłem ku sobie żółty płomień obejmujący niebieskim spodem coraz cieńszy czerniejącem wginaniem w siebie, kuleczką czarną zakończony, koniec zapalki. Płomień cofał się, czerniąc żółte drewnienko, ku palcom. Uwolnione od ognia cieniutkie rozżarzenie wygięło się łukiem ku górze, straciło główkę, skrzyło się w sobie wiotką siwością spopielenia i spadło.

— Mało palę — tłumaczył się, uspokojony po kaszlu, wycierając dłonią błyszczące zalzawieniem oczy. Uspokoił się zupełnie, oparł o szkło stolika i, pociągając papierosa, milczał.

— Ja też tylko w wyjątkowych okazjach — powiedziałem.

Uśmiechnął się, schodząc się źrenicami na czas dłuższy ze mną.

— Jest jednak w człowieku coś — zaczął nagle drżeniem urywanego głosu po długim wzajemnem milczeniu w ogładany z uwagą otwór ustnika — co mu nie pozwala czasami...

roztopiłem się nagłem czerwonożłotem, bezcielesnem,

wewnętrznem ciepłem wokoło skryształizowanego, wyłącznego drżenia jego głosu. Wezbranym we mnie w ogrom rozprężającego czucia najistotniejszym mną samym znalazłem się odrazu w tej pozbawionej granic wspólności.

— Ja... może robię zupełnie inne... wrażenie, ale w grucie rzeczy... — wysunął się z między nas zwróconą ku sali twarzą — ze wszystkiego można się śmiać... — i urwał znowu. — Są rzeczy — rzekł po chwili — o których niełatwo mówić — zwrócił się spokojem ruchliwej czarności źrenic znów ku mnie, uczciwością ich, bez słów, niweczając dzielącą nas przestrzeń.

— Pan naprawdę chce dzisiaj wygrać! To się chyba pierwszy raz zdarza — śmiałaś się, obciągając szczupłemi, ciemnymi opaleniem rękami biały sweter bez rękawów wokoło nieznacznych bioder ujętych w kremową, gęsto plisowaną spodniczkę, podczas gdy z drugiej strony wyprężonej siatki „hrabia“ odbierał od chłopca piłki.

— Pani gra tak namiętnie, że musiało to przejść i na mnie — powiedziałem, z trudnością rozsuwając w wymuszonym uśmiechu kąciaki ust ściągane niezależną ode mnie płaczliwością skurczu mięśni.

— Jeżeli tak, to dosyć jednak późno — rzekłaś, przechylając ku mnie z uśmiechem głowę i patrząc figlarnie z boku poślanemi w kąciaki powiek żrenicami. Oddalane z formującego je owalu warg słowa drżały i gięły się długo dookoła mnie, trwając coraz słabiej w rozrywającym twym śmiechem powietrzu. Wązką długość lewej dłoni przesuwiałaś po podnoszących jej delikatną szczupłość malutkich kwadracikach trzymanej pionowo w prawej ręce rakiety. „fille au bracelet en co-rail“ zobaczyłem w sobie słowa.

delikatny przegub twojej ręki dzieliła białoczarnozłotokoralowa branzoletka z murzyńskich w turbanikach główek.

— PROszę!! — uderzył mnie głos z za siatki. Ściągnął mi nogi, sprostował kolana i pozbawił samego siebie wobec jedynie istniejącego jasnego punktu, który, rzucony gwałtownie w ziemię, odrzucił się z niej zgrabnie na twoją raketę a poślany silnie skosem nad siatką

zbiegł się z nadlatującą rakieta „hrabiego“ na przeciwległym polu. Połączył was jeszcze kilka razy i odbiwszy się szarobiałą o czerwoną, sproszkowaną cegłę kortu zatrzymał się na chwilę w górnym warczącym roztrzęsieniu obciążonej wokoło żelaznej siatki. Odpadł w zrygawkę skrącanych podskoków, aż przyległy do ziemi, potoczył się cicho w ręce nadbiegającego chłopca.

Zatrzepotałaś białemi na ceglanej czerwieni bucikami, odskoczyłaś do tyłu chwytając nową piłkę „hrabiego“. Ta nadspodziewanie odbiła się w bok i padła daleko poza równą, kredową smugę.

Na mgnienie oka zatrzymałaś się odgięta do tyłu zdumieniem.

— Udało się!!! — jego daleka rozruszana radością twarz znieruchomiła mnie nagłym odruchem niechętnego zniecierpliwienia.

Wkrótce zmieniliśmy miejsca i zanim jeszcze miałem piłki w ręce rzuciłem: — PROOOszę!! — w twoją ożywioną jego słowami tuż przy nim bliskość i posłaną szybko piłką przyśpieszyłem zbyt wolne twe odchodzenie od niego. Biłem zaciekle częstemi piłkami w wytworzoną między wami wzajemną biegleścią w grze więz zainteresowania, by rozpięta moją gorliwą zręcznością rozciągnęła się w trójkąt i na mnie. Z wysiłkiem uwagi i mięśni, z zaciśnięciem zębów, posyłałem i chwyciłem piłki podniecany łatwością ruchów „hrabiego“, który spokojnie i pozornie bez wysiłku podbiegał zgrabnie miękkiemi, silnemi podrzutami pod nadbiegające piłki wpadające mu tak prosto i zręcznie w rakieta. Mimoto szybko straciłem miejsce i punkty i w jednej z nim linji stałem naprzeciwko ciebie, równą obecnie między nami a tobą odległością usunięty z poprzedniej niechęci.

Poruszałaś się na przeciwległym polu białokremową jasnością w ruchomych ramach opalonych nóg, rąk i głowy. Ręce poprawiające krótkość włosów otoczyły

ich ciemność złotym, słonecznym miodem wewnętrznej strony podniesionych ramion. Rozglądałaś się za piłkami, suwając się poważnie na pozbawionych obcasów nogach.

— Wiesz — powiedziałem — bez obcasów porusza się miękko i naturalnie ale nieco doziemnie i bez tej jej zwykłej smukłości. Tylko, że znów na wysokich obcasach nogi jej, zastygnięte w zgrabność, mają w sobie coś z drewnianej, sztywności sarniej podstawy tylnych nóg. — Ale wogóle uważam, że patrzenie na nią to prawdziwa estetyczna przyjemność. Wolę śledzić piękno jej ruchów niż myśleć o samem graniu. Dla tego też gram tak fatalnie — dodałem w poczuciu pewnego wyższego nad ich wąskie bieganie za piłką rozszerzenia. — Wy za to gracie istotnie niezwykle. Prawda, że gra z nią to nadzwyczajna przyjemność?... — ścisnąłem mój rwący się w rozprzestrzenienie podziw dla ciebie niespokojnem napięciem oczekiwania na mające wyzwolić je przytłaczenie „hrabiego“ — i to bez względu na to jak gra i czy samemu się wygra czy przegra.

Rozbiegane nad siatką piłki rzuciły nami znów po miękkości ziemi.

Za piłkami czy bez nich biegłem widzeniem na spotkanie oczywistego wdzięku twych ruchów. Gdy odbijałaś z lewego boku, dotykałem niem brunatnego na białych piersiach kąta rozruszanego mięśniami ramienia za szczególnie rozkosznym, żywym wzgóreczkiem od łokcia ruchliwym ku zgięciu. W odgięciu od ciała złoty spód ramienia wciskał się w obręczkę łokcia oblewając sobą przedramię. Rozdwojony małą dolinką niknął w wąskim przegubie przed dłońią. Nogi drżały w podbiegach samodzielnem życiem trudnych do uchwycenia w ciągłej zmianie napęcznień wąskich, ślicznych paseczków z przodu i z boków a szerokich spięciami i zgrubieniami mięśni z tyłu. Poważny tors poruszał się jedną całością

na niewyraźnych, drażniących cieniach ud, zamykających się i rozchodzących w prześwietlonej słońcem jasności wzburzonej, rozszerzającej się i zwężającej fałdami spodniczki.

— Koniec! — zawołałaś.

— Na nic się nie przydał zapal — powiedziałaś, gdyśmy podeszli wolno ku tobie. — Przegrał pan i tak jak zwykle.

Odgarniałaś ręką włosy z spoconego nad rozchyleniem warg czoła, uśmiechając się ironicznie przyjaznym wyzwaniem.

— Co robić?! — wparłem uśmiech kącików warg w niechcące się usunąć policzki nieruchome chęcią zachowania obojętności.

— GO-RA-co! — ściągnięciem wygiętych warg kącikami ku środkowi w owal zwiększyłaś środkową zgłoskę w trwaniu i objętości przestrzennej, lekko zarywając ostatnią.

— Chłodno jeszcze było gdyśmy zaczynali — i pobudzony nagle twemi wpatrzonemi oczyma — Słońce było jeszcze dziwnie nieśmiałe. Zieleń trawy rozbielona poranną czy nocną wilgocią a cienie drzew jasnoniebieskie i rozpylone w konturach. Niebieskość ciszy w powietrzu podtrzymywała szczebioty i gęste w niej szklane dzwoneczki. Chmurki goniły po niebie jak nasze piłki nad ziemią a wiatr przyklepał nam koszule do ciała — mówiłem szybko, żartobliwie, akcentując zaczynające zdania głoski.

— A teraz? — zwolniona z słów okrągłość warg twoich rozciągnęła się wszerek w szerokość radosnego uśmiechu.

— Teraz — dobywasz zemnie rozwartością dużych źrenic i wdziękiem przechylonej twarzy — teraz koszula przyklepia się sama bez wiatru. W rozbielenie zieloności murawy powpadały już dawno złotożółte ułamki słońca.

Jaskrawą, silną żółtością odcięła się silnie od czerni granatowej cieni. Dzwoneczki zagubiły się w ogólnym szumie a puste przedtem ścieżki parku podeszały się pod coraz to liczniejszych przechodniów. Powietrze zgęstniało gorącem a niebo jest już całe błękitne.

— Nie skończył pan o swoim rzucie — zwróciła się niespodziewanie ku niemu.

pozbawiony oparcia o żywość twych plastycznych oczu. — Udało mi się poprostu dać piłce taki obrót — mówił „hrabia“ — zachwiany nieco wewnątrz — że musiała pójść fałszem — znieruchomiałem w odrębność samotnej równowagi w pustce obojętnego, płaskiego dookoła z wjednoczonym w nie, splaszczonym nagle, nachylonym twoim profilem.

gdy i ja usiadłem obok ciebie na ławce, zaokrąglony miękko u góry prostokąt twych ciemnych włosów przedzielonych wpłyną w nie jasną linią delikatnej skóry przedziału oddzielił mnie od drażniącego mi nieustannie prawe ucho głosu „hrabiego“.

tęga młoda niewiasta na korcie przedemną w wolnych od chwytania piłek chwilach poruszała na boki zawieszonymi tęgich w bluzce piersi, bezwładnie chwiejąc rękami. Po każdym ruchu jej ramion ku górze, nie zobaczywszy ciemnych pod pachami włosów, czekałem z napięciem na ruch następny. Grube nogi przypadły niezgrabnie do ziemi, jedynie odsłaniającemi mi się uniesieniem sukni ukrytymi w niej dogórnymi zgrubieniami przykuwając widzenie.

drażniącemi wzdłużeniami poszczególnych tonów jego ponad znaczeniem już słów brzmiącego nieustannie głosu naciskany w mem odosobnionem milczeniu wgiałem w siebie skrzywione brakiem oparcia plecy. Zmuszony swędzącą nierówność ławki rozplotłem ręce znad kolan założonych na siebie i przesunąłem się,

oparty na rękach, cokolwiek na bok. Nogi postawiłem obie na ziemi i poprawiłem niewyłażącą koszulę.

szerokie rozplaszczanie założonej na lewe kolano twej łydki martwej zimną kamiennością białego marmuru z żyłkami czarnych pod przeźroczystością pończoszki włosków zniekształciło przykrym kontrastem zbytnią w tej chwili cienkość twej kostki. Oparta na kolanie łokciem, oddzielona ode mnie odwróceniem głowy ku trwaniu jego głosu, z brodą w schodku zgiętej dłoni — To ciekawe — zaszeleściłaś o zasłaniające wargi zagięte palce, wzruszając lekko brzoskwiniowy policzek.

— Wie pani, „św. Jan“ stworzył coś naprawdę pięknego — wypełniłem szybko swe słowa w dawno oczekiwane przerwanie jego głosu. — Coś zupełnie innego, niż to, co dotąd pokazywałem pani na wystawach jego obrazów — wypukłością twych dużych, piwnych źrenic, ujętych między długorzęse, wyraziście w oczodoły wrysowane grube powieki ześrodkowany w radość — Tyłem zwrócony koń czarny — ożywiłem się jeszcze bardziej — i oparty o siodło mężczyzna. Kobieta różowoceglana nagość schylona nad białością charta. Obok druga ceglasta pełnia kobiecego ciała a dalej czarność sukni podkreślona koszykiem róż białych. Za pierwszym koniem koń drugi i twarz ludzka a z tyłu wysokie domy żółto-czerwonoszarobiałe — z brodą na złączonych dłoniach rąk opartych łokciami o rozstawione szeroko uda „hrabia“ patrzy udanie obojętnie w zupełną nieciekawość grającej. — Ale to tylko zewnętrzny opis. Formy plastycznej i barwnej, właściwej treści obrazu nie potrafię w żaden sposób pani opisać. To można tylko wyczuć samemu. Wy-widzieć — uśmiechnąłem się.

— To ciekawe — powiedziałaś, cofając najmniejszy palec z pośrodku warg umięśnionych. Wyjęłaś brodę z dłoni i podłożyłaś pod nią wierzch ręki.

— Bardzo — zwiększyłem rozruszanie zadowolenia

o milczącą obojętność „hrabiego“, na którego podniesionej wraz z głową ku górze wyprostowaniem kciuków, wysuniętej pogardliwie wardze lśniły wilgotne cząsteczki nieba. — Właściwie wartość nadaje temu dopiero właściwe jemu przetopienie farby w światło i kolor. Odczłowieczenie niejako osób, odrzeczenie rzeczy. Nie jest to już potem farba wmalowana w kontury ale istotny w tem świetle, wpojony w ton całości kolor, włożony w zarysy odkształconego kształtu. To daje rozkosz patrzenia i to jest prawdziwym obrazem.

— Ja jego nie rozumiem — zwrócił ku nam zao krąglony dołem kwadrat grubej w rysach, zakończonej jasnym trójkątem włosów głowy. — Dla mnie to nie jest sztuka.

— Potrzeba własnej pracy, by móc się wczuć jak należy w cudzą.

— Patrzenie na obraz ma być przyjemnością nie pracą — rzekł, kładąc ręce na szerokich udach i po chwili sprostował w górę rozłamaną trzykrotnie kremową swą jasność. Rozszerzony w biodrach zniknięciem rąk w kieszeniach od spodni wolno oddalił się na parę kroków od nas.

— A ja nie rozumiem — spojrzałem na ciebie a potem na wyprasowane kanty jego kremowych, zgniecionych małemi fałdami w zgięciu spodni, kończące się ostremi zygzakami pod zawieszonemi w materji wielkimi pośladkami — jak można tak jednym zdaniem, bez próby odrobiny dobrej woli wyczucia przekreślać coś, w co inny wkłada godziny i dni, żeby nie powiedzieć lata maksymalnego na jaki go stać wysiłku. Jest to własne duchowe lenistwo mieć za ostateczne kryterjum.

— Nad czem pan teraz pracuje?

od rozrosłej nagle we mnie własnej pracy, widzianej w myślowym skrócie zakłębiły się przed cieśniną ust

szukające za kształtem słów nieokreślenia — Ja... zacząłem w radosnej chęci udzielenia ci własnego wewnętrzznego rozcieplenia i opadłem w sobie cofając się z odrazą przed śmieszną, nic nie mówiącą szorstkością dźwięku — gniotę tam jakieś głupstwo. Być może, że z tego coś będzie — odrzucona gwałtowną niemożnością wypowiedzenia się w słowie prężność czucia znikła pod lekceważącym uśmiechem.

Wyszczupliłaś się jeszcze więcej oszczupleniem górnej połowy ciała lekkim, czerwonym zakietem, który zdążył ci podać przedemną szerokobarczysty za toba „hrabia“. Z pochyloną głową strzepywałaś kurz i układałaś czerwone fałdy wokoło pozostawionego w środku białego pasa.

Kręta w zieleni trawy, wązka piaskowość ścieżek naprostowywała się kilkakrotnie na nas tuż przy nas. Ściemniona w szarą ziemię, rozparłszy na boki zieloność, podniosła siebie i nas ku żelaznej kracie bramy i zmieniła się w niebieskawo-popielate, rozerwane dziurami czerwonej ziemi, odmierzone latarniami, betonowe sklepienie domiastowej alei.

Skierowane ku twej eleganckiej wiotkości żrenice mijających nas lub mijanych na ławkach wśród szpaleru drzew ludzi wyprostowywały mnie początkowo w sztywną dumę zadowolonej pewności siebie. Za każdym jednak przypadkowym, niemożnością dostosowania się do twoich i jego kroków spowodowaniem, potrąceniem łokciem o twe ramię lub dłonią o dłoń rozluźniał się zwany związek mych coraz to mniej pewnych na twardości betonu nóg z ciałem, którego poczucie stało się chwiejne i niewygodne, nie dające się ukryć przed przenikliwymi spojrzeniami przechodniów. Każdym potrąceniem, za które już nawet niemożę przeproszać, wyłączany coraz więcej w przykrem poczuciu siebie poza twoje zdecydowane, szybkie, zgrane z nim

kroczenie naprzód, obijam się w otaczającym powietrzu, siłąc się opieraniem wzroku o przemijające szczegóły utrzymać mą chwiejną zbyteczność w posuwaniu się obok waszych głosów.

Wyrażną we mnie bliskość przeciętego poprzeczną ulicą końca alei przy której pożegnam się ja się już pożegnam nazbyt pomału dosuwa się w rzeczywistości do mego coraz przykrzejszego, w niemożności doczekania się, poczucia własnej niepotrzebnej tymczasowości.

przecznica bezsilnie ociera szybko swą szerokość o moją tętniącą, oślepiającą niezdolność do stanowczego ruchu czy słowa i pozostaje daleko w tyle, z pozostałym w niej, straconym wyzwoleniem.

ale w połowie ulicy, w nagle wyrzuconym jakby ponad własną, wleczoną przez ciebie i jego, bierność jakimś mną obcym, ściśniętym w zupełny brak czucia. — Już się pan wraca? — zatrzymała się twa daleka, niewyraźna postać — Wracam — przemówiło coś gdzieś pozamną

i odczuwszy ledwo obcość twojej dłoni i jego, szybkim obrotem zostawiłem was poza oddalaną szybkimi krokami sztywnością własnego beczucia. Dopiero po paru krokach, zapadła we mnie niezrozumiałość poszczególnych dźwięków wyrównała się w jasny układ słów twoich: niech pan nie zapomni o następnym razie.

szedłem o wiele już wolniej w pustej obojętności zewnętrznej, rozciskany z beczucia żalem, że nie jestem dalej przy tobie, gdy nagle ciepłem uderzeniem do głowy, które rzedniało, osypując się drżeniem wzdłuż ciała, znieruchomiałem w miejscu. Na zgiętych palcach lewej ręki uwyraźniony, ciężarem obciążony, sznurek włożył szeroką przestrzeń ulicy między mną zastygłym w odwróceniu za tobą a twą daleką, wązką białoczerwoną smukłością obok szerokiego „hrabiego“. oddam ci piłki dziś wieczór wróciłem zewnętrznym i wewnętrznym

nym sobą do ruchu, posuwając się w poprzednim kierunku.

Czas pogięty zygzakiem przed zniechęcającą prostą pracy do spełnienia zatracił się wraz ze mną wobec jedynie istocie rzeczywistości formującego się przede mną i przeze mnie kształtu i wrócił znów wraz z znużeniem ciała i myśli, wksztalcony niecierpliwością oczekiwania w przestrzeń od „teraz“ do „wkrótce“.

— Wiedziałam, że pan dziś przyjdzie — gęłaś dźwięki głosu wzmożonego zanikłym w ciemności, po zamknięciu drzwi przedpokoju, wdzięku twych kształtów i szczerością okazanego mi uśmiechu.

— Piłki mogą być pani wcześniej potrzebne — mówiłem w stronę chrzestzenia klucza w zamku — wolałem je więc wcześniej przynieść.

Zwężona wybitnie obustronnem obrysowaniem światłem zaczerniałaś się w zielonej jasności otwartych drzwi. Gdy wszedłem, pozbawiona kontrastu ciemności zieloność stłumiła się w szarawość pokoju, oddzieloną od ciemnej za oknem zieleni olbrzymich kasztanów dwukrotnie wzdłuż okien w przejrzystą zielen liści i czerwień kwiatowych gron pelargonij wświetlonem słońcem.

— Dobrze, że pan przyszedł — opadłaś popielata z białocęglastymi załamaniem kwadracików w różnobarwność kanapy. — Jestem dziś jakaś zmęczona. Nie chce mi się nic robić i zresztą nie mam co robić.

pocierałaś dłońmi kolana, pochylając się i odchylając co chwila.

— Ja zaś miałbym, ale mi się serdecznie niechce. — Spłaszczyłem trójkątną piramidę ujętych siatką piłek na ciemnej narzutce stołu i wglębiłem się w drugi koniec kanapy.

— Jednem słowem dobraliśmy się — uśmiechnęłaś się, podkładając lewą nogę pod siebie. Zwrócona ku mnie wcisnęłaś ramię i policzek w oparcie.

— Właśnie — odpowiedziałem uśmiechem, siadając więcej bokiem.

— To bardzo ciekawe, co pan dziś rano mi mówił. Dużo nie rozumiałam, ale to było interesujące niezmiernie.

— Zajmuje to panią?

— Niezwykłe.

cofnąłem się widzeniem między niewyraźną w oddali twarz twoją a rozszerzoną we mnie pustkę oczekiwania.

— Tak, to naprawdę ciekawe — wróciłem wzrokiem w jasność i półcienie nałożone na podłużność twojej twarzy. — A wie pani, że... podsunąłem głos mój pod wzajemne me i twoje patrzenie po sobie. Świadomością wyrzucając z początku z ruchu ust słowa i chwytając zaraz następne, straciłem jednak potem i to czucie i wysunięty poza własną świadomość, utożsamilem się z treścią tworzącej się we mnie, ale jakby poza mną, mowy. Wreszcie i słowa stały się nie tak wyraźne, mimowolne prawie, zespolone z szerokiem rozszerzeniem nieokreślonych czuć, na których dalekich krańcach wzruszyły się ruchliwością two rozchylone wargi, powodując żywszy ich wypływ w słowach. Małoznaczność szczegółów zamknięcia w ściany pokoju zarywała niekiedy te krańce, ściągając je chwilami gwałtownie w świadomość rozpostartą daleko ponad osiągalność zmysłami, aż w jakiejś chwili podsunęła się całkiem blisko, już naturalna w wymiarach, prostokątem jasnego w przyćmieniu ściany okna. Poprzez szare kwiaty wnętrza pokoju zrównane z szarością zaoknia.

— Niema już słońca wśród kwiatów — stwierdziłem.

— Ściemniło się — ty rzekłaś, odrywając się od oparcia kanapy. Uwolnioną z pod policzka dłonią spo-
częłaś na kostce podłożonej pod siebie nogi.

— Pani pokój, za dnia zwłaszcza, ma taki prze-
dziwny urok. Na ścianach ustawiczna, bezgłośna walka
rzucanego oknami przez kasztany zielonego światła
z fioletowymi cieniami skrytymi za występami mebli.
Front znaczą karminowe linje wzajemnego wnikięcia
w siebie pierwszych szeregów i krwiste półcienie następ-
nych. A dołem, w ciszy i zielonym spokoju, spoczywają
smutne pajace i czarne murzynki w miękkości niezliczo-
nych poduszek.

— To ostatnia. Nie ładna? — przechyliłaś przekor-
nie głowę.

— Owszem.

— Co ja zrobię, wszystko musi być ładne — wzbu-
dziłaś uśmiechem mój uśmiech. — Och! Ależ mi ścier-
pła noga! — podniosłaś się, utykając ku drzwiom za-
bawnie.

— Mnie też, muszę się z wstydem przyznać. Sam na-
wet nie wiem, kiedy na niej tak nieprzyzwoicie usia-
dłem — sprostowałem się zwolna.

Poprzez mruganie oślepiionych oczu zamajaczyłaś po-
chylona; trąca odwróconymi dłońmi oczy pod ciemnią
opadłych włosów.

— Co! Już tyle? — zdumiałem się, podnosząc wciąż
jeszcze mrugające i podrażnione oczy z jasnego w ciem-
nych prostokątach zaszybia międzyoknia na ciebie. Ten
zegar chyba całkiem nie baje?

— Jeszcze jak! — powieki twe mrugały zaczerwie-
nione ponad odjętymi od nich palcami. — Słyszać aż
nadto, tylko myśmy go nie bardzo słyszeli.

— To z panią tak czas szybko schodzi — uśmie-
chnąłem się, prostując nieco piersi i odginając nieznac-
nie ramiona. Odgięciem do tyłu łokci wpukłone na

chwile w materję małe twe piersi spłaszczyły się i odrazu zagasły.

— Pan tak ciekawie mówi.

— Pani zasługa. Nie moja — obracałem oczyma za tobą.

— Doprawdy? — śmiałaś się z niedowierzaniem z nad brody rozszerzonej odsłonięciem delikatnego podgardla. Z odgiętą do tyłu głową, oparta na rękach podłożonych o brzeg szafy, chwiałaś lekko wygiętem ciałem.

— Zupełnie szczerze — mówiłem w wdzięk rozchylonych przychylnością warg twoich i cząstek żrenic w zwięzonych skróceniem twarzy powiekach. — Pani umie tak nadzwyczajnie słuchać, że nie można poprostu nie mówić. Nie jestem z natury rozmowny. Ale taka jest w pani oczach chęć zrozumienia, że można stać się naprawdę wysoce wymownym. Nie każdy umie tak słuchać. Oczy pani są jak skarbonka, w której chętnie słyszy się stuk własnych zapracowanych groszy i złotych myśli i zwiedzeń.

— Interesuje mnie dużo rzeczy i dużo chciałabym wiedzieć. Lubię poważną rozmowę. To jest takie niezwykle kształcące.

— Przytem posiada pani inteligencję podtrzymywania rozmowy.

— Kobieta to powinna posiadać — wygięłaś głos łukiem podniesionego w środku zdania tonu, kołysząc dalej głową i ciałem.

— Ale nie każda potrafi!

Sprostowałaś się wolno za mojem zbliżeniem. Z prawem ramieniem podniesionem do czerwonego policzka przechylonej, uśmiechniętej twarzy, odgięta do tyłu, nacisnęłaś ciepłą siłą miękkiej mimo to dłoni na moją.

— A za trzy dni gramy. Żeby pan nie zapomniał o tem! — osypałaś się w przedpokoju na mnie świetlistą dźwiękliwością mówienia.

— Nie zapomnę — powiedziałem zza progu, stykając jeszcze raz mój uśmiech z twoim.

Na moją powiększoną trzymanym w zębach papierosem, równą ważnością mijanym ludziom zadowoloną pewnością siebie nałożył miłe zdziwienie niespodziewanem zaistnieniem swem na drugiej stronie ulicy. Z również wzruszoną uśmiechem twarzą szybszym ruchem ramion usztyniony jeszcze więcej w postaci, zwiększał swą nieruchomo prostą w ramionach głowę wprost ku mnie przez jezdnię.

— Nareszcie się zjawił — powiedziałem w czarne między promykami kącików ust radosne resztki uczciwych źrenic.

— Byłem u ciebie — zadrasnął miło uszy po dwukrotnem zetknięciu się zemną nieogoleniem policzków, gdy ręce jeszcze trwały w złączeniu. — Włóczysz się, zamiast być w domu!

Uśmiechnąłem się, wzmożony przy nim w sobie dopiero co pozostałemi za mną chwilami. — Długo zostajesz? — spytałem.

— Jutro z powrotem — powiedział.

— Tak szybko?

— Nie mogę dłużej — zabłysnął złotą z pomiędzy warg gwiazdką, podnosząc ku brodzie w szarotki rzeźbioną rękoiść laski.

— Z jeden, dwa dni chociaż. Byłoby o czem pomówić.

— Pewnie — drgnął kilkakrotnie wargami z źrenicami skierowanemi poza mnie. — Ale widzisz, stanowczo nie mogę.

ściiany domów zaczęły nachodzić znów ku mnie i ku niemu i osuwać się poza me wzmocnione możliwością głośnego wypowiedzenia się radosne rozszerzone poczucie siebie. Odbarwiona rozstrzępionem światłem latarni daleka szarość drzew odzyskiwała część zieleni w pełnem świetle tuż przy nas.

— Wiesz, — oddalałem się od drzew co chwila mimo zbliżania się do nich — postanowiłem codziennie ćwiczyć się jak najwięcej. Wzmocnieniem ciała powiększyć wewnętrzne wobec innych poczucie siebie.

— Wiesz, — rzekłem nagle — ja teraz jakoś mniej lubię „hrabiego“. Dawniej to go naprawdę lubiłem.

— Morus chłop z niego i szczerą duszą.

— Zanadto jest pewnym siebie. Dużo rzeczy zaczyna u niego mnie drażnić.

— Elegancki. Postawny. On się umie dobrze ubierać.

podwinęła się pode mnie drewnianość ławki. Z wypchniętymi ku górze jej zagiętym brzegiem nogami, resztą ciała wciągnięty w zapadłe wklęsnięcie, trwałem chwilę szelestami z dookoła tuż przy nim.

wysadzone wysiłkiem nabrzmiałych korzeni nad ziemię grube pnie drzew, naprzemian z ławkami włączone w cień wokoło ogromnego koła niezliczonych w siebie wnikać półcieniami światła i cieni przed nami.

— Nie wiem — powiedziałem — czy on umie się właściwie ubierać. Przy bliższem wpatrzeniu ubranie jego jest raczej grube w materji, w guście i wcale nie wytworne, może nawet przesadzone w szczegółach. Tylko jego wygimnastykowana, związana w sobie wspinala szerokobarczysta, sprężysta, nieco może przyciężka postać jest elegancka i narzuca się ponad ubranie. Eleganckim! „Św. Jan“ jest eleganckim naprawdę. Wytworny w materji i kroju i subtelnem dobieraniu w odcieniach odpowiednich barw najdrobniejszych szczegółów. Tylko że niedbałością ruchów czy brakiem związa-

nia mięśni w istotną jednolitość zwartej współzależności ciała (ruchy u niego nie wychodzą poza minimum konieczności codziennych) odbiera ubraniu, gdy ma go na sobie to co w nie z taką starannością włożył. Ubranie jego jest eleganckie poza nim a ubranie „hrabiego“ jedynie i tylko na nim.

poza mojem coraz częstszem zapatrzeniem w siebie, przerywanem niekiedy jego przemijającym zaraz głosem ciągle poszurgiwanie chropowatości podeszew w nie-dalekiej alei i wrzecionowate wwarczania się aut z ulicy.

rozsuwane na boki rzadkiem trwaniem jego słów i jeszcze rzadszych moich, zsuwało się z powrotem nasiloną głośnością w płaszczyźnie słuchu, delikatniejąc przy dłuższem istnieniu, szumienie dalekiej przed nami za krzakami, tródzielnie za czarnością pni drzew jaśniejącej kawiarni.

poszczególne poszarpania niewyraźnych liści bliżej dobyte bładem światłem latarń z ogólnej bezbarwnej ciemni,

a potem zupełnie już prawie leżąc wygodnie na ławce, coraz częściej, zamiast wewnątrz siebie, dotykałem widzeniem ażurowej, dalekiej nade mną kopuły czarnej masy liści, wsklepionej w seledyn nieba.

— ...taki biały dworek — zaistniałem świadomością znaczenia słów jego — z ganeczkiem na białych kolumnkach, zasłanianych częściowo winem. A ona to ma taki śliczny, słoneczny, paniński pokoik...

...wświetlona przez kasztany ponad słoneczną czerwienią pelargonij w dwóch oknach zielona szarość pokoju twego. Fioletowe cienie karminowymi wnikięciami łączą się z jasno-zielonemi ścianami... — Jasny słoneczny pokoik z widokiem — głos jego — na pola, lecące na złamanie karku w dolinę.

— Nie wiem, wiesz — zaistniał znowu po chwili głosem, poruszeniem się i rozszczepionemi o żwir ude-

zreniami laski — ale zdaje mi się... Tak się ogromnie wypytuje o wszystko co robię. Widać, że ją to nadzwyczajnie zajmuje.

— Ostatecznie to jeszcze nie musi nic mówić. To najłatwiejszy sposób prowadzenia rozmowy.

wwiercony i wzrosły ryk auta wytrwał chwilę, zeszczuplał i zniknął.

— Kobieta, widzisz, — powiedział głośniejszym głosem, pewnie i mimo to drżącym — nie tyle interesuje się dziełem, ile tym który to dzieło stworzył.

— Tak myślisz? — nad czym pan teraz pracuje? gnie się i okrągla z owalu głowa wewnątrz czoła a zarazem jakby poza niem w szarozielonej znów niewyraźności ścian podścielonej miękkością poduszek.

— Przecież! — potwierdził. — Zresztą, widzisz, to można wyczytać w oczach — wpatrzona we mnie wyrazistość twoich oczu. — Raz przysunęła tak do mnie głowę, że włosy jej dotykały mej twarzy. A ciepło ramienia jej też nieraz już przy sobie czułem.

przylutona do oparcia kanapy, z podłożoną pod niewyraźność głowy ręką, wpatrzona we mnie wyrazistością dużych rozwartych oczu; za nią, poprzez nią cała twa postać mała i niewyraźna, wypełniona w całe pole widzenia zajęte równocześnie przez przeźroczystą, tak wielką jak i ona głowę. Z źrenicami w kącikach powiek, z miękkim podbródkiem nad wyciągniętą twardszą szyją „dużo mnie rzeczy interesuje nad czym pan teraz pracuje?“

— Wiesz, — skupilem się w przyjemność wyzwolenia wewnętrznej chęci w słowach — chciałbym mieć takie kremowe spodnie. Żeby to tak, psiakość, można mieć wszystko, tak jakby się samemu chciało!

— Białe spodnie nie są wcale tak drogie — powiedział.

— Kiedy nie o to chodzi. Tylko musiałbym przed-

tem mieć dużo innych rzeczy potrzebniejszych od białych spodni. Dopiero wtedy mógłbym mieć odpowiednie do nich poczucie siebie... Białe spodnie to nie tylko rzecz sama w sobie ale, jakby powiedzieć: symbol.

w dziurach kopuły rudość. Sunąca na nią szybko rozstrzępionymi mackami czarność zatapia sobą kopułę liści i niebo.

zcalone z drobniutkich otarć dwóch chropowatości skrzypnięciu rzadkich już w alei kroków trwają krócej lub dłużej, wolniejszym lub szybszym następstwem we mnie wraz z dotkliwymi w ciszy nieczęstymi wstrząsami motorów i rozwarciami syren.

Krótkie, małe, dobitne, zimne dotknięcia na rękach i twarzy.

w spapierzone liście drzew wsypał się gęsty piasek. Srebrne niteczki zsunęły się z nich na ziemię. Zgęstniały, przysłoniły dalsze plany, postawiły się nieczystą szybą przed drzewa spłaszczoną w odbarwioną popielatą szarość tekturowej kulisy.

Niezgrabnymi skokami poprzez kałuże podbiegające pary śmieszą nas i innych, uspokojonych po biegu na drewnianej, twardej podłodze kiosku. niespokojne bąbelki wypukują się z głośnem pękaniem na wysiąklej nad spopielaoną ziemię czarności wody. Stwardniałe, przemoczone rękawy drażnią szorstko mokre ręce w zapachu zgrubiałej wilgocią materji.

— Wiesz, jak tylko dostałem twą kartkę — uśmiechałem się wkrótce do niego — odrazu była mi coś podejrzana. Pisałeś o budzącej się wiosnie, śpiewaniu ptaszków, białokwitnących sadach w czasie, gdy sad koło mnie dawno już opadł z bieli, srebrny jedynie drżącymi spodami liści. Widziałem więc, że wiosna jest tylko w tobie i że nie patrząc co jest naprawdę wokół, poprostu nie zdolny opisać nazewnątrż tego co miałeś w sobie, dałeś temu wyraz na kartce konwencjonalnym sposobem.

Przytem zbyt była długa przerwa od ostatniego listu a zbyt krótka treść przysłanej mi nareszcie radosnoromantycznej pocztówki. Nie dziwię ci się teraz, że ci się niechce dłużej tu zostać. Trudno, przyjaźń kończy się tam, gdzie się zaczyna miłość.

Szarość popielata usunęła się z drzew, różniczkujących się coraz więcej w barwie. Pnie rozdęte z powrotem w okrągłość podtrzymywały rozeszłe przestrzenia listowie. Spłaszczona czerń uspokojonych kałuż krajała się migotliwym przelotem srebrnych strzał, krzesanych przez rzadkie krople.

niezliczonemi snopkami promyków świetlnych wyodrębnione, umyte ziarenka piasku, lśniące zdaleka skupieniami błysków, nikły za naszym zbliżeniem pochłonięte przez czarną ziemię.

Żrenice mijanych twarzy zatrzymują się na jasnej odrazu dla nich mojej wybitnej odrębności wśród innych. W głębokości mych oczu, których łagodną rozwartość mam w twarzy, wyraźne dla wszystkich wzniesienie ponad powszedniość wyłącznej niezwykłości mnie samego. Prostując się ciągle w plecach idę wśród ludzkich postaci, wzmacniając poczucie ważnej mej jedyności o ich potwierdzające spojrzenia. Podchodzę w nie gorliwie widzeniem, przeskakując niem przykrość niezwróconych ku mnie zupełnie albo zbyt krótko kobiecych zwłaszcza twarzy. Wstrzymując się od popatrzenia w zwierciadła wystaw, widzę mimo to odbitą w nich mą interesującą postać.

śmieszny, zabawny jesteś niema w tobie co widzieć i też nie w tobie niezwykłego nie widać patrzysz też w wszystkie twarze, które mijają i nie w nich osobliwego nie widzisz obojęny dla nich i płaski przechodzisz a oni przechodzą dla ciebie jesteś osioł i zarozumiały i najzupełniej nieinteresujący dla innych.

prawy kącik ust podcisnął się uśmiechem jednostronnie w policzek. Ponad utkwionemi już tylko powierzchownie we mnie coraz to innemi oczyma dotknąłem wzrokiem dalekiej głębi ulicy.

Nagle ściśnięcie wewnętrzne pchnęło mnie silniej naprzód na szybciej poruszających się nogach i dopiero zrównany z niewiele w kształtach i barwie podobną postacią spostrzegłem swoją pomyłkę. Spostrzegłszy cię potem w parę chwil naprzeciwko siebie naprawdę, opadły

z poprzedniego daremnego napięcia w obojętność, z odruchowo zdjętym kapeluszem przeszedłem jakby nie sobą szybko obok, niezdolny ani do zatrzymania się ani do rozmowy. W tej chwili jednak część ulicy z poza mnie znalazła się przede mną a w trójkąciku szwu pleców w mym wzroku smukła i nieznaczna biodrami przeciwskalała się zgrabnie wśród ludzi. Podana nieco naprzód, wkulona ramionami, z złączonemi na jasnobrunatnym płaszczyku rękami szybkim i drobnym krokiem wciskała się w rozstępujących na boki ludzi. Zasuwali się zaraz za tobą przeźroczyści, tak, że bez przerwy widziałem cię w gęstniejącym tłumie niewiele mniejszą ale coraz to dalszą.

Wtem weszła między nas rozjaśniona, połyskiem drgająca czerwona plama osadziła mnie uderzeniem na miejscu. Zmniejszona, ściągnięta uspokoiła się w piwną brunatność źrenic i łuczek ledwie widocznych w nawiasie światła i cienia uśmiechu wąskich na opalonej twarzy warg.

— Odkąd to mnie unikasz? — powiedział.

— Ja? Skądże. Nie patrzałem tylko.

ale gdy odsłonił mi widok, niknąc z oczu, zrównany ze mną, ulica była już na swoim miejscu a trójkąciکی szwu palt przede mną nieprzeźroczyste.

— Mnie też — odpowiedziałem — wywlekło z pracowni słońce. Glina stała się tak odpychająco oślizgła a zamknięcie w czterech ścianach tak beznadziejnie ponurem, że najzupełniej logicznie zatęskniłem za czarną kawą. — Z głową obojętnie pochyloną na ramię przedzielone półkolem grubej, trzcinowej, tkwiącej poniżej w dłoni laski, stawiał niedbale, bezwładnie nogi, opadając ciałem kolejno z jednej na drugą. — Rozkosznie to tak czasem wywinać się swem lenistwem z pod przykrego nacisku własnej chęci, pragnącej wmęczenia czegoś widzialnego jedynie dotąd w nas samych w oporną

widzialność materji. Po chwilowych wyrzutach sumienia, z bezsłońca pracowni wejść w słońce poza nią. Stać się równą innym cząstką wolno idącego tłumu, oddając na jego rzecz całą swą indywidualną właściwość oprócz wartości widzenia.

wysunięty wraz z nim z życia w spokój patrzenia w nie z poza zbrudzonej deszczami szyby, trwam nieznużenie bezgłośnym w słońce po osrebrzonych niemych ruchach wolnych, długich, barwnych pudełek tramwajów, wpelzających pod bezruch wyciągniętych nad nimi łukowatych ramion słupów, obwieszonych na końcach białymi zauszniczkami lamp-perelek.

— Dziwne jest życie oglądane zza szyby — cofając się w oparcie kanapy nie wypuszczam ze siebie zaochnia. — Pełniejsze, i istotniejsze jakby, może przez to, że się w niem nie bierze udziału.

pod rozpiętem ogromnem zadrutowaniem potężnych tramwajowych przewodów, dochodzących pod okno wtwierdzonym w mur, zniekształconym kurzem hakiem, nieustająca, ciągle zmienna ruchliwość niewielkich w dole ludzi.

— Gdy pierwszy raz — zaczął „św. Jan“, patrząc na ręce na stole — miałem lunetę w rękę, skierowałem ją w jakąś niewidoczną dla gołych oczu mglistość u stóp gór dalekich. Zobaczyłem pasącego spokojnie gęsi nad rowem staruszkę w białej koszuli. Ale zaraz musiałem na dłuższą chwilę odłożyć lunetę, takiego doznałem wstrząsu. Tak coś niesamowitego było w wyrazistości tego dalekiego i blizkiego mi zarazem maleńkiego życia ludzkiego, któremu nagle tak niedyskretnie, wbrew jego woli i wiedzy, wprost nieludzkiem wglądnięciem wyrzuciłem zniewagę.

— Siedzieliśmy na ławce do późnej nocy — rosnąca w szklaneczce czarna, banieczkami okolona zawartość skracając szybko ku górze lejący się w nią z srebrnego

w ręku „św. Jana“ dzbanuszką strumień czarnej kawy. — Zabawna była jego pewna siebie co do niej nie-pewność. Bez przerwy przytaczał mi rozmaite fakty, które miały świadczyć o jej miłości i patrzył z zabawnym niepokojem co ja na to powiem. A gdy ja czy to pod wpływem tej jego dziecinnie śmiesznej w tej chwili twarzy, czy też nie wiem już z jakiego innego powodu, może poprostu jemu na przekór z jakiejś prymitywnej zazdrości, z pewną przyjemnością nawet starałem się go niejako otrzeźwić i wytłumaczyć czemś całkiem naturalnem, co on brał za oznakę uczucia, to milknął na czas pewien, ale z miny jego i słów późniejszych widziałem, że jest zupełnie innego niżeli ja zdania i że przekonania jego ani na włos w nim nie zachwiałem. Że nie chodziło mu wcale o to czy i co ja powiem, ale aby jeszcze raz głośno przejść rozkosz upewnienia się o tem, o czem już dawno był przekonany wewnątrz. Może nawet nie o to, abym istotnie słuchał, (przyznaję się, że nie bardzo słuchałem), — daleka miękkość twej skulonej na kanapie postaci i bliskość wpatrzonych we mnie z podłożonej ręką twarzy źrenic — Rozumiem jednak, że jest to wielka przyjemność — odsunąłem wyrazistością słów nieco dalej widzenie ciebie ode mnie — móc głośno rozmawiać „o niej“. Przywodzić na pamięć urok przeżytych chwil, sytuacji i spojrzeń, słów własnych i słów jej.

Opuściwszy zwyraźnioną nagle w kącie przypadkowość żółtej twarzy, pochyloną nad pozbawioną drukiem białości gazetą, oparłem się na krótką chwilę widzeniem o spokojną obojętność blizkiej, czerwonej gładkości twarzy „św. Jana“, unieruchomioną podpierającą ją dłonią nad wolnymi jednostajnymi poruszeniami drugiej ręki. Jawiący się w ciemnym spodzie naprzemian z żółtem chropawem poszarpaniem cukru srebrny półksiężyc łyżeczki stukał pod poruszającemi go palcami.

— Dziwna jest ta zupełna niemożność wczucia się

w uczucia drugich. Najwyżej możemy wzbudzić w sobie przez analogję coś podobnego, ale i wtedy odczuwamy tylko siebie, nie jego. Wprost śmieszna wydała mi się jego tkliwość z jaką udzielił mi tajemnicy imienia jej i nazwiska. Wprost zabawne było jego ku mnie spojrzenie, gdy wymawiał owe nic mi nie mówiące zestawienie liter. Pospolite, nawet nie ładne imię i dosyć częste nazwisko, pod które nawet żadnej twarzy nie byłem w stanie podłożyć — mówiłem jakby ponad jakąś podesłaną we mnie przed moje istotne wnętrze płaskością. — A jednak dla niego ten szkielecik obojętnych dla mnie liter to jak muszka maleńka wokoło której nasklepiała się złota jasność bursztynu. Te słowa — głos mój jest nagle najistotniejszym rozszerzonym w czucie mną samym — to tylko wewnętrzny znak na trwający wokoło niego ogrom wzruszeń, skrót teraźniejszego odczucia zsumowanych w esencję godzin i chwil ubiegłego czasu. Jednakże zawsze dla innych dźwięk imienia jest dla nas wciąż odmienną wartością, zmienianą i zwiększaną coraz to nowemi naszymi doznaniem ważnej dla nas istoty. Jest w tem nie tyle ona ile my sami, ona przez nas a raczej my przez nią. Właściwie niema imienia ani niema nazwiska a jest tylko splot uczuć dźwiękiem słów tych wzwołony w nas z nową mocą.

rudawemi skręceniami włosów silniej nachylony nad jednostajnością ruchów ręki, z jasnobrunatną materją przedramienia wzdłuż burakowo podłożonej tafli stolika, jednakowo wciąż obojętny nad samotnie się już tylko w ciemnym spodzie szklanki jawiącym srebrnym, złotym ku środkowi półksiężycem łyżeczki.

w białą graniastość cukru, wrzuconego w przeźroczy stość mojej szklaneczki wżarła się szybko żółtawobrunatna szarość. Ciemna brunatność kawy podniosła się ponad nią aż do samego brzegu.

— Zżyłem się z nim niezwykle — dotknięty z powro-

tem o tackę lekki dzbanuszek zaciężył chwilę w palcach. — Lubię go nawet a może przedewszystkiem za tę lekką chropawość głosu, tak go wraz z wyrazem oczu świetnie wyrażającą, a która ociera się mile o uszy jak drapiący rozkosznie, liżący koci języczek lub ciepły porowaty głaz granitowy ocierany policzkiem lub ręką. Kiedyś wydawał mi się ironiczny i sztywny jak jego zakopiańska laseczka, a teraz... nie wiem, czy zauważyłeś, na przykład, jak dziwnym jest, gdy się żegna. Używa słów słyszanych codziennie a jednak wibracją zciszonego głosu, jakimś ugrzecznoniem w szacunku cofnięciem się pochyleniem ciała w siebie i nadewszystko pełnem jakby wdzięczności usprawiedliwiania się swoistem spojrzeniem czarnych, błyszczących oczu ceni w tym komu podaje rękę godność człowieczą, nie tracąc mimo to swojej. Nawet sposobem palenia papierosa lub samem trzymaniem szklanki z herbatą w ręce robi się tak niezwykłym, że miałbym ochotę porwania go w uścisk i zyskania mu jak największego dostępnego nam dobra, zwłaszcza ile razy o nim po takiej chwili rozmyślałam. Bo oczywiście w danej chwili trudno jest wyjść poza siebie a uścisk męski robi komiczne wrażenie. Podaję mu tylko dłoń silniej niż innym i w spojrzenie wpycham całą moją tkliwość. Tylko co w niem można wyczytać? A sam zostaję z bezsilną słów w sobie, które, czem więcej chce się w nie włożyć tem trudniej z własnego uczucia zawstydzienia wydobyć.

oparty wygodnie o ścianę wgłębienia okna, z spokojnymi rękami na szkle buraczkowem drgał lekko wciągniętymi w głąb kącikami ledwo widocznych wąskich warg, piwnymi tęczówkami, ciemnymi pod ledwoznacznością brwi nikłych, spojony z mojem widzeniem.

— Wydaje ci się to śmiesznem?

odłączył się na chwilę drgnięciem źrenic ku oknu.

— Ludzie — poruszył wargami, — łącząc się znów

wzrokiem zemną, — nie powinni mieć wogóle nazwisk. tylko ujętą w jedno lub dwa słowa istotę wrażenia które odnoszą z nich inni.

ciemna grubość rozchylenia warg jego zniknęła za ich nagłem zamknięciem a równocześnie białka podobnie kładły się pod podniesione ku górze źrenice. Podniosłem i ja oczy w brzmiały nad nami znajomy głos z szerokiej, jasnoblondniebieskożrenicznej twarzy i zetknąłem dłoń z jego dłonią.

— Owszem. Dlaczego nie. Bardzo chętnie — odpowiedziałem mu nakrywając rozszerzoną we mnie, wstrzymywaną ciałem radość zadowolenia. — Lubię poznawać coraz to nowe niewiasty.

„Św. Jan“ powoli wstając, zrównał się głową z nami.

— Jabyś wolał...

— Cobyś tam wolał... chwycony pod rękę zwrócił się wraz z nami w przejście do drugiej sali.

onieśmielony szerokim uśmiechem równych warg i śmiałymi utkwieniami obrzucających nasze trzy twarze brunatnych źrenic, opuściłem się na krzesło wraz z wyczuwaną na sobie powierzchnią własnego ciała. Wkrótce jednak wyzwolony szybko z siebie uśmiechem jej równiutkich w rozwarciu średniogrubych warg zębów zaistniałem wyłącznie jasnym, przyjemnym wyrazem oczu, rozdzielonych prostym nieco szerokim nosem pod gęstą, nie dochodzącą do brwi, równo obciętą grzywką ciemnokasztanowatych włosów.

gdy po krótkim przypomnieniu się odsuwanych i dosuwanych krzeseł niepodpierające mnie już buciki i stopy przestały znów dla mnie istnieć, źrenice jej zatrzymywały się już tylko na mnie i na „św. Janie“. A że on milczał w cieniu, niedbale wparty w krzesło, z głową wpadniętą w ramiona, z rękami w kieszeniach marynarki po bokach uwypuklonego nieco pozycją brzucha, widziałem coraz częściej szeroki, ciemny w barwie owal

jej twarzy, rozbielany polyskiem zębów pod wpływem moich powiedzeń.

— Pan to zupełnie na artystę-malarza wygląda — zwróciła się nagle ku niemu.

— To mu pani sprawiła przyjemność! — rozszerzyła mi się twarz uśmiechem. — Proszę mu powiedzieć, że ma wygląd urzędnika banku lub kupca, to zyska pani z pewnością jego sympatię.

zaokrąglona w grzbiecie oparciem złączonych przedramion o uda patrzała w niego z głową odgiętą do tyłu. Krótka z pod popielatej, przylegającej czapeczki ciemność włosów zagiętym ostrym ogonkiem wchodzących w śniady policzek. Proste pod grzywką czoło nad występem równego nosa.

— Przecież pan maluje obrazy?

— Maluję — nie poruszył się nawet — cóż z tego?

Lekkie zaciśnięcie warg i wysunięta nieco okrągłość brody. Niebiesko popielaty sweter z trójkącikiem jasno-żółtej plamy pod krótką i silną szyją.

— Tem samym więc jest pan...

— Tym, który maluje obrazy.

— Artystą — powiedziała z naciskiem.

— Nie wiem, — skrzywił w uśmiechu wargi — co to artysta. Ja czuję jak każdy człowiek.

— A zdolności?

— Każdy ma pewną zdolność. Każdy w swoim rodzaju artystą. Każdy w swoim zakresie twórcą... a najczęściej chyba: kobieta. Tworząca życie.

nagle wystąpienie czerwieni zniebiesczyło rozbłysłe silnemi światłami białka jej oczu. Z opuszczonemi powiekami nadziała po chwili skróconą zgrubieniem czerwień warg na koniec żółtawej słomki, wsadzonej w szklanekę. Malinowa, pełna banieczek zawartość jej osunęła się gwałtownie na dół.

„Św. Jan“ ożywił się i oparł przedramionami na stole.

— Cóż tak nadzwyczajnego robimy my, jak pani powiada, „artyści“? Chodzimy po świecie jak inni, jemy o ile nas stać to samo, co jedzą inni i jak wszyscy żyjemy i odbieramy wrażenia. Każdy sobie tylko właściwe, zależnie od fizjologicznej konstrukcji. My „artyści“ — uśmiechnął się przy tem — mamy tylko zdolność i zawodowo wyrobioną umiejętność wypowiadania w materiale plastycznodźwiękowym interesujących nas w tym celu części otrzymywanych wrażeń. I koniec. To wszystko.

ostre światelko z błyszczących niteczek biegło w górę i w dół żółtej słomki tkwiącej w bieli ruszających ją tam i zpowrotem zębów. Żrenica skierowana ku niemu wśród częstych mrugań szerokootwartych powiek.

— Z uczucia tworzyć, nie z wrażeń.

— Uczucie to szereg wrażeń.

— A artyzm?

— Artyzm! — drgnął pogardliwie kącikami warg i obrócił się żrenicami ku sali. — Nazwa nie ma żadnego znaczenia — oparł się zpowrotem o krzesło. — Wiem tylko czem się różnię a czem nie różnię od innych.

— Nie zna go pani jeszcze — wtrąciłem z uśmiechem w jej jeszcze ku niemu zdumienie twarzy. — On tak jak dziecko. Zamiast jaśniejącego z dala oślepiająco światła pokazał kopeć szkła, swąd nafty i polerowaną blachę odbłasku i teraz się uśmiecha złośliwie.

Wyjęła z ust słomkę i sprostowała się oparciem o kanapę, podnosząc piersiami sweter. Na ciemnopopielatej, szerokorozłożonej biodrami spodniczce, w różowej pulchności rąk żółte zygzaki spłaszczonego źdźbła słomy owijały się dookoła miękkich, zwężających się ku okrągłym paznokciom, niedługich, ruszających się bezustannie palców.

„Św. Jan“ objął rękami splecionymi podniesione w górę kolana.

— Jest taki śmietnik z niepotrzebnych do życia kawałków — mówił wolno — daleko poza codziennego życia obrębem. Wsadzone tam delikatne i rzadkie, luksusowe, zbyteczne kwiaty wzrastają w deszczu fantazji i sztucznem świetle rzucanych z dusz reflektorów. Jest tragizm z tytanicznych zmagania ducha i ciała, w jasnej mimo to samotności, ku której się spoziera z fałszywą w swej nieświadomej szczerości, pełną westchnień tęsknotą, ku miejscu pobytu wyimaginowanych nadludzi-nieludzi.

— Nie rozumiem o czym pan mówi?

— O sztuce, proszę pani. Waszej sztuce.. dalekiej, obcej, nierozumianej w swej łatwej zrozumiałości, na odległość wielbionej a w rzeczywistości wykrajanej z życia, jedynie podobieństwem do natury lub własnego sentymentalizmu mierzonej.

jasność jej miękkich, okrągłych rąk w bezruchu na ciemni sukni.

— A jednak jesteście inni — zaczęła nieruchoma, z rękami w wzajemnem zwarcu — samotni w sobie. Za obrębem normalnego społeczeństwa. Tragiczni bolem wszechczułym. Wielcy.

— Niema wielkich i małych — ręce jej drgnęły. — Są popularni najwyżej — wgarbił się głową w ramiona, z dłońmi na brzegach krzesła. — Każdy jednak potrzebny i zbyteczny na świecie. Nikt nie jest niedozastąpienia. Wartość względna? Poprostu podaż i popyt. Tragiczni? tak, ale wszyscy. Jedna nam wszystkim wspólna tragedia: bezmyślność. Nie wiem zresztą jak inni, mówię głównie za siebie — cofnął uśmiech z jej twarzy poza nią. — Głębia myśli? Dlaczego głębia? Myśl jest wszak równa myśli. Umiejętność mówienia nie pokrywa się z umiejętnością czucia. Nikt nie ma mono-

polu cierpieć za miliony. Tysiące ludzi tak cierpi, prostych i zwykłych i nikt ich za to nie chwali a dla innych pozostają przy tem nieznani. My samotni? — znów oparty przedramieniem o stolik, a brodą o wachlarzowate zetknięcie się wyprostowanych palców, powierzchnią oczu pomiędzy nas zwrócony — mówię jakbym sam był co najmniej pisarzem — zetknął źrenice z jej w niego wpatrzeniem nieruchomem — choć mógłbym nim być. Wyłącznie kwestja odmiennej techniki... Samotni — patrzył znów w siebie — któż nie jest naprawdę samotny... Kogo możemy jasno poznać dokładnie? Kto jest w stanie zcałić się z cudzem życiem choćby tak tylko niewiele. Kto może bez kłamstwa powiedzieć, że nie jest właściwie zawsze sam z sobą, choćby był z kimś najbardziej mu drogim... A my? Poprostu my o tem mówimy. My to wypowiadamy. Czy pani — podbiegł po chwili milczenia w jej twarz oczyma — nigdy nie czuje się też tak poza nawiasem?

jednako wciąż nieruchoma wyprostowanym w górę na okrągłości szerokiej bioder torsem, zwrócona poza nas ku oknu, nałożonemu dwoma błyszczącemi, maleńkiemi linjami na wypukłość jej oka. Długotrójkatny mały palec poruszał się powtarzaniem wciąż wgiętem naciskaniem na kostkę zaciśniętej wokół innych palców prawej dłoni i ześlizgiwał się z niej gwałtownym zeskokiem.

— A jednak coś ludzi łączy — poruszyła wargami nie zmieniając kierunku oczu.

— Alkohol, który myśl niszczy. Człowiek to myśl. Myśl jednak nie jest człowiekiem. Ale łączy nas w spójnię z inną, wyodrębnioną z ciała. Nie jesteśmy samotni z myślą tych, których przy nas niema, a samotni z tymi, których cielesna obecność przy nas myśl ich czyni dla nas daleką.

— Czy to nie cudowne — wyprostował się nieco

i przekrzywił głowę — ta czerwonoziłota przejrzystość kawy na złożonem przez siebie, srebrnem wgłębieniu łyżeczki, ukształconej w kształt serca. Serca... — uśmiechnął się i włożył łyżeczkę do szklanki. — Właściwie serce ludzkie to wypełniony wszechświatami ciałek krwi wszechświat prężkowanego mięśnia.

— Mógłby pan przestać! — odwróciła mnie ku sobie podnieceniem głosu i drgnęła wyraźnym wstrząsem wraz z rozłupaniem się w dźwięki łyżeczki strząśniętej z spodka gwałtownym jej ruchem.

o twardą obojętność jego twarzy i jej rozluźnienie się opadnięciem w oparciu wywyższyłem się sam sobą i w jej oczach zadowoloną świadomością własnej wyższej delikatności i ceny.

— Płacić!

— Każdy za siebie, mój panie! — unieruchomiła mnie spojrzeniem i głosem nad krótkodźwiękiem opadającego na szkło stolika metalu. Szybkimi ruchami rąk odbarwiła rozkładające się wolno, zmięte siedzeniem fałdy spodniczki z bładożółtych, poszarpanych cząstek słomki. Sweter, obciążany na szerokich łukach wydatnych bioder, załamał się nachyloną płaszczyzną wprężonych w niego wypukłych silnie piersi. Ich ruchliwa, przykuwająca oczy wyraźnymi wzgóreczkami sutków uchwytna cielesność znikła pod gładką bezformą płaszcza. Zgięta nieco, bezgłośna nieruchomością niepatrzących, w kąt sali zwróconych żreń, szybkimi ruchami palców wiązała ukryte z boku pod podszewką płaszcza tasiemki.

Wązka, ciasna długość doprowadzającego korytarza rozstąpiła się w szerokie, wysokie, ruchome u spodu ludźmi zamknięcie ścianami domów ulicy.

szedłem obok jej milczącego, drobnym krokiem posuwania się szybko naprzód.

— Niech pani nie myśli — mówiłem, wyraźnie od-

czuwając jej przy mnie zamkniętą w sobie obecność, nieruchomym przed siebie, wzrokiem wciąż przeze mnie dotykany profilem pobudzany do głosu — że on jest zarozumiały. Gdy na przykład mówi: „odkryłem że on jest naprawdę wielkim“ o kimś który od wieków za takiego uchodzi, to dla niego jest to istotnie nowość. Nie uznaje autorytetu i nikomu in verba magistri nie wierzy, dopóki sam w sobie doznania tej prawdy nie przeżyje i istotnie w sobie w odczuciu nie przejmie. Niczego zresztą nie szuka specjalnie lub z planem. Czyta i poznaje jak mu jego środki pozwolą, w porządku, w jakim mu życie przypadkowością swą w rękę coś i w myślenie podaje. Mówi zresztą sam, że nie on ale coś za niego myśli i coś w nim rozmyśla. W głowie jego ścierają się jakieś nieociosane bryły odczuwać i głazy niedopasowane myśli, a otarty z nich proszek sypie mu się w danej chwili przez usta. Niepowiązane pozornie, paradoksalne, przeczące sobie nawzajem, niemniej najprawdziwsze odłamki jego istotnych odczuć. Logiczne z jego logiką i stąd najzupełniej prawdziwe i prawdę zawierające. Choć sprzeczne czasem ze sobą, sądy jego są zawsze ze sobą w zgodzie w tem, że jego naprawdę oddają. Jego można argumentami pokonać ale nigdy nie można przekonać, o ile sam uczuciowo w sobie tego w ten a w ten sposób nie dozna.

— I kto wie, proszę pani, — rozszerzyłem się w sobie sobą, tracąc prawie całkiem poczucie jej przy mnie — czy tak nie jest i z nami. Że wyłącznie przypadkowość doznań kształtuje nam pogląd na rzeczy i dążenie do takiej czy innej prawdy. Logiczne myślenie w myśl pewnych, pod grozą nierozumu z siebie wypływających konieczności, to coś sztucznie stworzonego, obowiązującego jedynie fachowców, jak sposób postępowania w każdym innym zawodzie czy fachu. Nie widzę powodu, dlaczego miałoby obowiązywać wszystkich i być

zarazem dowodem rozumu, gdy jest tylko poprostu ściśle fachową umiejętnością. Zwłaszcza że rozum nie jest niczem wyższem, odmiennem ani nawet różnem a tem mniej przeciwnem od uczuć, tylko ich pewną rozwojową odmianą, zbiorem uczuć właściwie pozbawionym przypisywanej mu samodzielności. Logiczność matematyczno-filozoficzna to zawód, gdy logika życia to ciągłość nielogiczności. Współistnienie przeciwieństw. Każda która jest chwila już jest przeszłością. Niema więc terażniejszości tylko przeszłość i przyszłość, a jednak czucie mi mówi że jeśli co jest dla mnie, to tylko terażniejszość. Życie kpi z naszej ludzkiej logiki i wszelkich chcących ująć je definicyj, zwłaszcza, że pochodzi w nasze doznanie coraz to inną drobiną, nigdy nie pokazując się całe.

przybliżonem ku mnie rozszerzeniem ulicy wycofany na pewien czas z siebie wzięłem znów w siebie po chwili przyjemność jej twarzy, nieruchomością swą dzielącej nas w dwie odrębne obcości.

— Panią musiał on oczywiście zadziwić. Zaniepokojona zdawała się pani i jakby zdenerwowana. Nawiasem mówiąc, było w tem pani nadzwyczajnie do twarzy.

— Cóż pan chce — wciąż jednakowo wpatrzona. — Jestem tylko zwyczajną gąską z cichego prowincjonalnego jeziora, wyrzuconą nagle w bystry strumień akademickiego życia.

— I która, gorąca wielbicielka sztuki, nareszcie zetknęła się z żywymi jej przedstawicielami, znanymi jej dotąd jedynie z powieści.

— I ja również jestem zdziwiony — zacząłem po chwili — ale tem, że on był dziś tak bardzo rozmowny. Lubi owszem niekiedy głośno przy drugich rozmyślać, ale nie lubi stanowczo kobiet, a gdy już uniknąć nie może to milczy, najwyżej kokietując uśmiechem. A już nikomu, chyba że wyjątkowo, a w każdym razie nie płci

mu wrogiej, nie pokazuje swego sezamu. Tymczasem dziś rozgadał się jak aktor i zechciał, o dziwo! nieśmiało co prawda, zaproponować pani wglądnięcie w tajniki twórcze swej duszy. Miał rację mówiąc, że jesteście twórczynie życia. Pani je w nim najwidoczniej stworzyła.

— Co pan mówi? Naprawdę?

weszła we mnie radość z jej nareszcie ku mnie zwróconych źrenic.

— Słowoda... to znaczy istotnie. Bo w pani twarzy — uśmiechem rozsunawszy obcość wjednoczyła się wraz ze mną w jednoczącą nas wspólność — jest jakaś taka niezwykła miłość (jest to rzeczownik od miły) że się po prostu nie czuje przed sobą kobiety.

— Ładny komplement. Dziękuję. Widocznie i on jej we mnie nie widział.

— Chciałem powiedzieć, że przy pani nie czuje się tej ciąglej, przykrej zmysłom obsesji od płci odmiennej, będąc natomiast wprost nieświadomie pod całym urokiem kobiety, kobiecości, ową „miłością“ wydzwigniętej niejako ponad wyłączone oddziaływanie jedynie ciałem. Jest pani z tych kobiet, które ledwie poznane zdają się znane od nie wiem jak dawna i przed którymi tak łatwo otworzyć jest siebie na roścież.

— Było mi bardzo przyjemnie — mówiła przed wielką bramą, wkulając się nieco w siebie przy podaniu ręki. — Chyba nie widzimy się po raz ostatni?

— Spodziewam się. Tutaj nie trudno się spotkać.

— A jakby się pani nie uklonił kiedy na ulicy — unieruchomiłem jeszcze raz „miłość“ jej kształtu w bramie — to nie, żeby pani nie spostrzegł, tylko czasem uważa, że to jest zupełnie zbyteczne.

i długa, w szarotki rzeźbiona zakopiańska laseczka narysowana nazbyt starannie niezręczną ręką u spodu białego kartoniku kartki.

twarda swą jasnością treść jej nacisnęła przykro na niejasną, nieokreśloną, niepewną płynność łączącą mnie z tobą. Niewstrzymana niczem ściśle określone, swą nazbyt prostą, wyraźną trzeźwością rozcisnęła ją na boki w niewyraźność, będącą mimo braku jakiegokolwiek wyraźniejszego obrazu ściśnięciem w bezkształtną jeszcze syntezę skrótu wszystkiego co między nami już było i co było możliwem, że będzie. Cząsteczki te, rozszerzone niedługo w kształty uniosły ku górze swój słabnący od ich elastyczności nacisk. Zcalone w niewyraźność matowej szyby ułożyły się w polu wewnętrznego widzenia przed majaczący za nimi znak czuciowy ciebie. Wyraźniejsza na chwilę podeszłaś pod nie. Wtedy daleka poza mnie prężność samego siebie podpłynęła wzmożonem ciepłem pod wędrującą po ciele drażliwość skóry i, podniósłszy mnie z spokojnego trwania na krzesło, znięczuliła się, równowazona głośnym ruchem moich nóg po twardej podłodze i włożeniem rąk w kieszenie od spodni.

odpychającej obcości zamkniętej w otaczające mnie czerwone ściany przeciwstawiła się wyrosła nagle chęć oparcia rozruszanego wnętrza o spokój czegoś płaskiego w wewnętrznem widzeniu, co, nie będąc niczem wyraźnem, właściwie było jednak zarazem czemś z „św. Jana“.

zanikłe między przeszłością wnętrza pracowni, z któ-

rej wyjść miałem, a blizką przyszłością ku której dążyłem poczucie terażniejszości wróciło mi dopiero w ulicy przyłgnięciem ciepła słońca do zwróconej ku niemu powierzchni rąk i twarzy.

drażniące początkowo tylko mile twarz i ręce niezliczonemi ukłuciami drobniutkich ostrz igielki słonecznego gorąca, stępione rychło, przyległy pożądaną rozkoszą płaskiego ciepła, nawet poprzez ubranie, ku rozszerzanym chętnie płucom.

Miedzy jasnemi, rozszerzonymi obnażeniem ramionami młodych kobiet, których pociągającą twarz lub masę ciała zatrzymywałem dłużej w oczach, tkwiły zmroczone przeźroczystą jasnobarwnością sukien koronkowe obtoczenia bielizną, zawieszone na miękkim ponad drgającymi od podrzutów nóg spiczastemi wzgórkami piersi zcaleniu się głęboko odsłoniętych szyi i pleców i łagodnie ruszających się ramion w ciało. Wyzywająco wstydliwie, niewzwyczajone jeszcze w tak świeżą w nasuniętych na ciało sukniach własną nagość, nachodziły na me z oczyma złączone rozdrażnienie.

— Ty! Zaglondni koniowi do dupy!

— Ee! Widzis go! Zaglondni se sam! — odkrzyknął oburzonym tonem skurozony na koźle chłopak, z lejcami w rękach, za oddalającym się w podskokach rówieśnikiem, odwracającym ku niemu twarz uśmiechniętą z nad trzymanego w obu rękach niebieskiego garnka.

Z przyjaznem roześmianiem się w tę jasną, szczerą łatwość i widoczną prostotę ich beztroskiego zetknięcia się pozostałem jednak poza dzielącą mnie od biegu życia ścianą wginającą mnie w sztywną niemożność wyjścia swą własną przyjazną ludziom istotnością poza skrepowanie ciałem. Niezdolny do bezpośredniego zetknięcia swego wnętrza z ludźmi poprzez sparaliżowanie zmysłów, rzucam zazdrosne i schlebające rozradowania w zawartą dla mnie przestrzeń.

Widok znanej mi, mocno zniszczonej zarzutki opiętej na wąskich plecach i równie zniszczonej, wypchanej, rozciągniętej jak ręczna harmonia, obwiązanej sznurem walizy przyspieszył mi kroki i pchnął szybko na drugą stronę ulicy.

Przerywane krótkimi płaszczyznami pięter i półpięter znane schody nakierowywały kilkakrotnie swą zmarszczoną pochyłość na mnie i urywanie opadały pode mnie. Szybki i pewny, między odczuwanymi w ciemności ścianami korytarza, nierobiąc ani kroku za dużo, zatrzymany wstawioną pamięcią zaporą zapukałem w twardą ciemność.

dopiero po długim trwaniu ciszy zmaterjalizowanej w słyszalne, niezależne od siebie części otwarcie drzwi wykrajało jasne plamy ścian wokoło ściemnionej sylwetki „św. Jana“.

— A! — wyrzekł z przyjaznym spokojem. Usunął się na bok odwracając w światło część poplamionego farbami, zielonego na sobie płaszcza. Łuk cienia uśmiechu połączył mu nos i usta na oświetlonej części twarzy.

— Widzę, że ci przerwałem — powiedziałem patrząc na zababraną w środku świeżem rozmazaniem farb paletę podtrzymywaną ukośnie na drewnianej paczce włożonemi w otwór pendzlami. Puste ponad nią sztalugi a wzdłuż ścian jasne drzewo prostokątów określających szarość płócien.

— Tak! — szerokie wokoło roztworzonych ust fałdy skóry przykryły oczy i pokryły czoło przechylone na bok i do tyłu. Mocujące się same z sobą zgięte ramiona wygięły mu górną część ciała i sprężyły nogi. Dopiero za zioniętem głośno: — HAa!! — opadłe z klapnięciem szczęki zwarły się silnie, ciało wróciło w rozluźnienie a na wygładzoną z fałdów twarz wystąpiły piwne źrenice i uśmiech warg wolnych od zaciśnięcia. — Przerwałeś conajmniej natchnienie — poruszył szybko powieka-

mi — czyli mówiąc poprostu — zmarszczył czoło podniesieniem brwi niewidocznych ku górze — smutną konieczność pracy.

Uczułem również rozciągnięcie policzków podbiegłem w nie rozszerzeniem ust w śmiechu.

„Św. Jan“ wolno, z namysłem wyjmował pendzle zlepięte farbą z pomiędzy czystych. Wyrównał trzonki uderzeniem o płaskość dłoni i obtoczywszy nią końce znieruchomiał, masuwając na źrenice powieki.

— To dziwne — ruszyły się jego wargi — lubię przecież swą pracę. Nawet bardzo. A cieszę się gdy mi kto przerwie. Jak wejdę raz w malowanie potrafię godzinami w niem siedzieć, ale zanim zacznę, chciałbym je jak najdalej odwlec... — oddalał się głosem odemnie, który widzeniem tkwiłem w zmiennej brudności desek podłogi — gdy na przykład mam zacząć portret, gorąco pragnę aby nie doszedł do skutku... Wiem dobrze, że mnie nie minie i w gruncie rzeczy nie chcę, by mnie ominął. Nie tylko ze względu na flotę, ale że mnie... — szara ściana obcięła równą linią podłogę — to bardzo zajmuje... — zbliżał się znów wraz z brudną podłogą ku mnie. — Równocześnie chcę i niechcę zarazem. Czekam i pragnę, by mnie coś z zewnątrz zwolniło, ale sam z własnej woli z pola nie zejść. Wkońcu staje się coś, siłą przepycha się siebie w pracę i całe poprzednie rozszarpanie mija. Chęć do pracy a chęć pracy to dwie bardzo odmienne sprawy.

W uszy wpadło wszumienie wody w miednicę.

Starając się nie wyjść butami poza dwa cienkie paski ograniczające deskę po której chodziłem od innych, poprzez cicho szeleszczące skrzypienie podeszew przykładanych do nasuwających się na linjach słoików, zgęszczonych wokoło sęków, czarnych roztarć rozdeptanego węgla, barwnych gładkich plamek przyschniętej

farby lub dokładnie odgraniczonych od jasnego drzewa ciemnych wsiąknąć oleju wsłuchiwałem się w częsty, dźwięczny szmer niepokojonej jego rękami wody, czując zarazem w głębi siebie przez zewnętrznowewnętrzne słuchowe wrażenia zepchniętą lecz niezanikłą treść własną.

— Albo à propos „natchnienia“ — doszedł do mnie znów mowa po dłuższej chwili. — Przychodzi myśl, pomysł. Nagle, niewiadomo skąd. Poprostu jest i widzimy go na ekranie mózgu, w wewnętrznym widzeniu. Mniej lub więcej wyraźny, znika lub trwa, latami czasem, wraca i pozostaje, drażni i niepokoi, aż się z nim zrobi porządek. Ale właściwie tak przychodzą wszystkie myśli a raczej obrazy-odczucia myśli. Nie ma żadnej różnicy w sposobie zjawienia, czy to jest pomysł obrazu czy tylko zjedzenia śniadania — ocierał się tuż o mnie głosem. — Czyli, że „natchnienie“ miewa właściwie każdy w zakresie swoich czynności i życie nasze to jedno wielkie „natchnienie“. Obmyślenie przyszcypki jest takim samem natchnieniem dla szewca jak obmyślenie szczegółów dramatu lub koncepcja malarska dla nas. Różnicą tylko urzeczywistnienie czyli zewnętrzne cechy zawodu. Ale monopolu na „natchnienie“ to my „artyści“ nie mamy.

Trzy fuknięcia kończone krótkim warczącym gwiżdżem dobiegły mnie z tyłu tuż przed każdorazowem lekkoszelestnem, nierównomiernem przypadnięciem strząsanych z pendzli kropel w podłogę.

— Wiesz — odwróciłem się nagle ku niemu — pisał dziś znowu kartkę a ona się też podpisała. Że jest ogromnie szczęśliwy i że mnie radzi zrobić to samo. Podpisał się „murzyn“ a ona „mzimu“ a w nawiasie: tak ona mnie, a ona: tak on mnie nazywa i narysował potem jakby zamiast podpisu swą łaskę.

uśmiechem zabezpieczyłem wewnętrzną niejasność

siebie od rozłożonego chrzęstu rzuconych przez niego obojętnie w kasetę pendzli. Wziętą w rękę paletę zaczął wycierać szmatką.

— Szkoda tylko—chodzę znów tam i zpowrotem— że podpisała się fioletowo. Nie znoszę fioletowego atramentu a zwłaszcza piszących nim kobiet. Wstrętne jest już samo pióro omszałe zaschniętym inkaustem z obrzydliwością metalicznozłotozielonych na nim błysków. A nad niem pulchne dziewczątko z zadartym noskiem, oparte na małym biurczku, trzyma poplamionemi fioletowo palcami to pióro w rękach (paznokcie oczywiście spiczastoróżowo świecące), i patrzy długimi godzinami w otwarte okno, zamysłone nad małym pustym kartonikiem kolorowego papieru, z inicjałami wytłoczonymi lub kwiatkiem. Wogóle ta cała „panieńskość“ od której się robi niedobrze. Ich myśli, bezmyśli raczej, jak kolorowe szklane banie zatknięte na ogrodowych patykach przed oknem. Śliczna, różnobarwna, marząca, odkształcona kulistością rzeczywistość, trwająca nieznużenie w rozmaitych barwach słońce w nich promiennych. Czerwone, żółte, niebieskie, srebrne, złote nastroje, wszystkie najzupełniej, najobrzydliej fałszywe. Dobrze, że przynajmniej on nie posługuje się fioletowym z sympatji ku niej.

— Wiesz — zacząłem po chwili — gdy czytam jego pismo, to niknie dla mnie odrębność jego liter i jakby on do mnie mówił z właściwą mu modulacją głosu i charakterystycznym wyrazem twarzy. Ale jak tylko na jej pismo popatrzę, widzę przedewszystkiem odrębność ułożonych w słowa liter, treść słów i nic więcej. Nawiasem mówiąc zanadto są umiarowe, takie poprostu panieńskie. Zresztą trudno, sam zawsze mówił, że zbyt wiele nie wymaga od kobiet.

rozrosłem we mnie z małej cząstki nieokreślonem pragnieniem wyjścia poza własne ciasne granice odsu-

nałem w prawie nieistnienie dalekie poza mną mijającego mnie równoczesnem chodzeniem w przeciwnym kierunku „św. Jana“.

— Czy nie masz czasem wrażenia — część siebie ująłem w okreśłość słowa — że chciałbyś być jakimś kimś innym. Pozbyć się wewnętrznego szarpania. Ujść w coś miarowo ustalonego. Nie w regularny, nudny tryb życia ale w taki wewnętrzny spokój, — uchwyciłem na chwilę wzrokiem jego podnoszenie się i opadanie na palcach. — Tylko, że w nas tego nie ma — odczułem znów siebie — i może i być nie może. Przynajmniej w nas samych mężczyznach. Wiem! Czekał — poruszyłem dłonią, zatrzymując się w miejscu — powiesz: skrępowanie, szarzyzna, codzienność — pochylonym profilem twarzy poruszał się wraz z mojem widzeniem. — Jednak zdaje mi się, że możność i konieczność duchowego współżycia...

zbiegłem się gwałtownem skupieniem sobą przed zatrzymaną tuż przy mnie podniesioną jego twarzą z rozchylonemi do podparcia mnie sprzeciwem wargami, gdy nagle zachwiałem się w sobie na chwilę, gdy niespodzianie usunął się zprzede mnie, malejąc w dół opadnięciem w zgarbione unieruchomienie na paczce, z niepokojem jedynie palców dłoni za paskiem.

Wtem huk ogromny targnął mnie bezlikiem dreszczy i uwybraźnił się w świadomości w energiczne pukanie do drzwi. Wstrząsnął się i „św. Jan“ i zastygł na mgnienie oka.

— Wlaz!! — ożywił się po chwili i wstał, prostując się i przeciągając powoli.

W ciemni otwartych drzwi wyszczerzył się ku nam uśmiech na długiej, żółtej twarzy. Spłaszczyła się raptownem obniżeniem wdół, skryta za rozszerzony w płaską okrągłość kaszkiet. Zadrzały głośno drzwi szarpnięte mocno sznurem obwiązującym wtaszczaną, nabrzmiałą

treścią walizkę. Rozdęta jak ręczna harmonja spoczęła na podłodze przed drzwiami.

Przy zamykanych drzwiach wyprostowała się szybkim rzutem w górę chuda postać. Rozszerzona uśmiechem, pozbawiona kaszkietu twarz żółta przybliżyła się wraz z ręką wyciągniętą tuż do nas.

— Prosto s kolei, prosta rzecz, do was — uniewyraźniał pośpiechem mowy słowa. — Nie byłem nawet w domu. Co robicie? co słyhać? co macie nowego?

odslonił równe zęby w uśmiechu, ledwo dotknął rąk naszych swoją i zmienił się w plecy, doskakując nachylony i wgięty w siebie, w rozpiętej zarzutce, nagłemi i skaczącemi kroczkami pod ściany.

— To znam, to znam — wrzucał między każde odchylone płótno a ścianę, wycofując stamtąd swą żółtą, nastroszoną czarnym włosem głowę. Wreszcie jedno dość duże mimo wzbraniającego okrzyku „św. Jana“ odwrócił zupełnie, oparł o ścianę i odskoczył szybko do tyłu. Z rękami w naderwanych kieszeniach zniszczonej, wolno zwisającej zarzutki, z wychyloną na długiej szyi z pomiędzy ramion głową patrzył na prostokąt płótna

w wtopioną w kolor szarobiałożółtych kamienic czerń opartego o brunatny zad koński roztartego w konturach męskiego kształtu dzielonego ceglastym kontrastem pochylonej nad białym chartem niewieściej szerokiej nagości i drugiej stojącej za nią od szarej w rogu płótna trzymającej czerwone róże w żółtym koszyku niewyraźnej jeszcze w obwiedzeniu konturów dziewczęcości.

Dawno niestrzyżone włosy wkręcały się czarnym, kręconym ogonkiem w głęboki rowek karku odsloniętego odstającym daleko, wytartym kołnierzem.

— Co to przedstawia?—zapytał, nieodrywając oczu.

— Widzicie przecież — „św. Jan“ odezwał się niechętnie po chwili, wracając znów w nasze w jednym

miejscu unieruchomienie nieustanną tamtego ruchliwością.

— Prosta rzecz, tytuł? znaczenie?

Wychylając jeszcze więcej głowę zakończoną czubkiem odstających włosów, nieruchomy wciąż patrzył w obraz.

— Wiosna, melancholja, młodość lub melancholijna młodość na wiosnę. Jak chcecie.

— Chcecie mnie, prosta rzecz, bujać. Jakosń myśl musieliście mieć przy tym.

— Malarz nie jest od tego, by myślał.

tamten rozchylił usta zażenowanym uśmiechem wyrozumiałości. Stał chwilę i nagle przycupnął przy płótnie.

— Aliści ji zrobili cycki.

W tej chwili jego postać oderznęła się ostro od jednostajnej szarości. „Św. Jan“ stał nad nim i trzymał rękę na odwróconej szybko płótnem obciągniętej ramie. Tamten sprościł się w górę i wgięty w siebie naciśnięciem rąk w kieszenach zarzutki przebiegł szybko na drugi koniec pracowni.

— Prosta rzecz, nigdy nie beńdzie z was wielki twórca, — zatrzymał się pod ścianą, — nieprzyjmujecie uwag, nie uznajecie krytyki.

„Św. Jan“ oparł się na rękach podłożonych między plecy a ścianę.

— Uznaję najsurowszą: własne malarskie sumienie.

Żółta twarz opierała się co chwila uśmiechem i pewnemi siebie tryumfującemi oczyma o mnie. Brudny kołnierzyk zsuwał się ruchami szyi z nad obstrzępionej i portarganej koszuli, odsłaniając lub zamykając żółtą soczewkę szyi.

— Prosta rzecz, ni macie o sztuce pojęcia, zielonego o sztuce pojęcia — chodził coraz szybciej i coraz większemi krokami. — Wy nigdy nie beńdziecie artysto —

coraz więcej zgięty naciskiem rąk w kieszenie. — Macie się za alfe i omegi — w twarzy jest to ku mnie to ku „św. Janowi“ ciągly grymas wymuszonego uśmiechu. — Uznajecie, że wszystko co tworzycie jest dobre — słowa jego syczały w odpryski śliny — prosta rzecz, to czysta zarozumiałość.

— Inaczej praca moja byłaby zwykłym oszustwem.

— Takby każdy miał słuszość na świecie!

— I tak jest w gruncie rzeczy istotnie.

Roztwierając lub zamykając brzegi zarzutki nie ustawał w ruchu zatrzymując się co parę kroków z potrząsaniem głową i śmiejąc się sam do siebie lub do podłogi.

— Potym się dziwić, że nawet u wielkich twórców so tak ogromne wady. Bo każdy, prosta rzecz, dla siebie wyrocznio.

— Krytyka ani na milimetr nie jest w stanie zmienić rozwoju twórców. Idą mimo was i nawet nie widzą was wcale. Wy tylko potem przejmujecie ich z trudem mimo was zdobywane prawdy i z nich lepicie waszą przebrzmiałą mądrość, ciskając jej kłody pod nogi tym, którzy po tamtych idą na przyswojenie nowych wartości. Niema błędów w twórczości. Twórcy są jacy są, ale są jednolitą całością. Tak przez was zwane błędy to zarazem najwyższe zalety. Jednych nie byłoby bez drugih. Światło i cień oto żywotna plastyczność. Twórczość nie zna wad i zalet. Zna tylko właściwości. Zna siebie.

— Ale, ale. Z wami nima wogóle co mówić. Nima-cie o historii sztuki pojęcia.

— Sztuki właściwie niema. Jest obraz, rzeźba, dom, książka, dźwięk tonów. Nie lubię pojęcia: sztuka.

— Prosta rzecz, u was nima. Jes u nas na całe szczęście. Bez nas w tym niebyłoby żadnego ładu. My dzielimy na małe i wielkie, na złe i na dobre, na prawdziwe i błędne, blizkie i dalekie natury, ziarno i plewy.

Wy na nas, prosta rzecz, oczywiście gwizdacie. Każdy ma swój zdanie, każdy ma swój prawdę. Prosta rzecz, chaos, anarchja.

oparty o krzesło, wyłączony milczeniem, trwałem niecierpliwie obok przykrej tymczasowości wypełnionej drażniącą ruchliwością rzucanego wśród ścian zestawienia jego niechlujnej, zniszczonej, rozstrzępionej garderoby i ciąglem opieraniem o niechętną obojętność mojej twarzy napastliwości syczącego głosu i pewności jego żrenic podkreślanej wyszczerzeniem śmiechu, aż prędkie wreszcie jego odejście wróci mnie z tej tymczasowości w normalne wypełnienie się w spokój istnienia.

Naraz stanął, poruszył od i do siebie łokciami tkwiących wciąż rąk w kieszeniach.

— Powiedzcie poprostu: sztuka na ulice — wykrzyknął i stojąc zgarbiony w miejscu szybkimi zwróceniami twarzy wtapiał w nas rozjaśnione żrenice.

— Słusznie — wciąż o ścianę oparty uśmiechnął się i poruszył nieco — na ulicę. W bezpośrednie odnoszenie wrażeń z obrazów, książek czy dźwięków jak się je odnosi codziennie z życia w ulicy.

Tamten zgiał się i przysiadł i ruchliwy nadmiernie w ramionach dużemi krokami biegał szybko, zatrzymując się co chwila, od ściany do ściany.

— Zasypaliś-ciesie, prosta rzecz, do reszty. Bezpośrednie odnoszenie wrażeń — głos mu ścieniał od prysków śliny i śmiechu. — Chybabyści dawali każdemu komentarz do renki. A i tak pytanie, czyby z tego cokolwiek zrozumiał.

— Nie zrozumie otumaniony przez was, gdy szuka coś, czego tam nie ma. Zupełnie uczoności nie trzeba, by odczuć uśmiech radości albo łzę smutku czy choćby tylko rozgoryczenie. Dzieło sztuki to nic więcej nad uśmiech, łzę lub gorzkość wymówki swego autora. Nie obniżam dzieł twórczych, wracam im ich istotną war-

tość — „ale skond, ale skond — przerywał tamten, rzucając się wciąż po ścianach“. — Uśmiech i łza to nie-mało. Całych lat dorobkiem jest w życiu niejeden uśmiech i łza niejedna. Głos twórcy utrwaleniem w materjale dostępny szerokim rzeszom. Zrozumiały i obcy jak każde inne słowo w codziennem życiu. Każdy po swojemu rozmawia i twórca też tak jak może po swojemu rozmawia z ludźmi. — „nimacie racji, zupełnie nimacie racji“ — Jedni odejdą nieprzekonani, w drugich coś z tego zostanie. Dziś zrozumieją to a jutro zrozumieją tamto. A jednych i drugich pobudzi do duchowego ruchu, do przemiany wewnętrznej materji. Czasem da nowe soki a czasem zada truciznę jak każde słowo w życiu. To jest wartość poszczególnych dzieł sztuki i taki jest z niej tylko pożytek. — „nimacie pojęcia, nimacie pojęcia“. — Rozmowa. Ale bezpośrednia rozmowa. Bez setek szkodliwych, zbytecznych, pośredniczących komentarzy, bez giełdy, bez spekulacji, bez — „tamten rzucał już rękami w kieszeniach ze śmiechu“ — stucznego, handlowego podbijania wartości dla wzbogacenia w sławę i w ambicję grających. Bez robienia nadludzi z ludzi, po śmierci zwłaszcza. Oto co znaczy: sztuka na ulicę.

Podskoczył ku drzwiom, zgiał się ku ziemi i wkrótce znów był przy „św. Janie“, uniewyraźniając rękę w szumie z pośpiechem przewracanych kartek. Rozpęknięta przez pół walizka jaśniała w środku rozburzoną, brudną, zmiętą bielizną.

— Oo!! — podsunął pod jego oczy otwartą książkę, wodząc silnie po kartce żółtym, brudnym paznokciem. — Przeczytajcie to a dowicie się co to jest sztuka. To najlepsza, genialna estetyka świata. Mogę wam ją chętnie zostawić.

„Św. Jan“ ujął w dwa palce kartkę.

— Za twarde. Szkoda. Papier miękki ma zawsze swoistą wartość.

Tamten popatrzał nieruchomo przez chwilę. Nagle zestrzelił rozwartość książki w całość tomu i rzucił, zgarbiwszy się ramionami.

— Prosta rzecz, jak uważacie. Chciałem wam dać dobro rade. Ja mam ogromno bibjotekę o sztuce. A sztuce i estetyce mam w małym palcu.

— Widać też, że tyle tylko — uśmiechnął się „św. Jan“ drwiąco.

Poła zarzutki sfałdowała się na podłodze a gdy wyprostował się, jednobarwność walizy dzielił już gruby sznurek. Z rękami na nowo w kieszeniach, zgarbiony, z wyciągniętą szyją, z opuszczonemi powiekami trwał przez chwilę w nieprzerywanym przez nas milczeniu.

— Jaki zdanie wasze o ostatni wystawie? — poruszył głową i bucikami w miejscu przy chwianiu końców zarzutki.

— Niemam wogóle zdania.

— Ni można z wami dziś mówić.

— Nie mówcie.

— Dlaczego trzeba zawsze mieć zdanie? — mówił „św. Jan“ odchodząc od drzwi zamkniętych za nim. — Oddziało coś na mnie i zapadło we mnie, jest i rolę swą spełnia, czy mam zdanie świadome czy nie mam. Każda chwila wrzuca nam coś do środka, choć my o tem właściwie nie wiemy. Pocóż właściwie mam mieć zawsze swe zdanie.

stał przedemną bez ruchu, z rękami za paskiem, z pochyloną, nieożywioną brakiem żrenie twarzą.

— Nie odzywałem się zupełnie, by niezatrzymywać go jeszcze dłużej — powiedziałem, opuszczając się w odczuwaną w pierwszej chwili sprężystość niewielkiej otomany. — Ja go już na ulicy spotkałem, lecz uciekłem by się nie mógł do mnie doczepić. Jego sposób mówie-

nia drażni mnie więcej, niż to co mówi a nie można się potem go pozbyć. Nie rozumie zupełnie, że może być niepożądanym. Ile razy wypraszasz go wprost od siebie a on zawsze jeszcze zadowolony powraca. Wiesz, dziś także nie jechał dorożką. I żeby choć musiał oszczędzać!

— Pytałeś mnie się poprzednio — poruszył wargami, nie podnosząc głowy ni powiek — czy chciałbym być naprawdę kimś innym. Kto wie, czy nie właśnie kimś jemu podobnym.

— Takiemu „prosta rzecz“ idjocie? — włożyłem powierzchnię twarzy w rozszerzenie żdziwieniem.

— Robi to samo co ja. Broni tego, co uważa za słuszne. Tylko, że przekonany jest, że ma bezwzględną słusność, a ja wiem, że myślę tak bo inaczej myśleć nie mogę, ale że i on myśli tak bo inaczej myśleć nie może, a jak jest istotnie, o ile jest istotnie, to nie wiem.

— Dlaczegoż więc chciałbyś mu być podobnym?

opadł bezwładnie w uwyrażnioną dookoła moich pośladek chwiejącą mną, miękką sprężystość otomany. W uspokojoną znów opuszczeniem powiek twarz jego weszły dopiero po długiej chwili nieznaczne poruszenia warg wązkich.

Wrócił w twarz życie odsłonięciem utkwionych we mnie źrenic.

— Chciałbym mieć przekonanie w bezwzględną słusność swych myśli. Wszyscy dookoła tworzą życie, przepychają się, walczą... Jak jednolite, twarde bryły wsparci o trwałą podstawę wiary we własną słusność cieszą się, płaczą, obijają i cisną, starając się siłą swego przekonania wyrobić miejsce swej prawdzie. On, „prosta rzecz“, wyrzeka się na przykład dorożki, ubrania, wygod byle zato powiększyć księgozbiór i móc być gdzieś w tyle teatru na każdej premierze lub blisko przodu na każdym wyświetlaniu nowego filmu — głos jego był cichy i wolny. — Ja nie mam tej odskoczni wiary w swoją wyłączną

słuszność. Ja wiem, że życie to jakaś nieuchwytna, nieobliczalna wypadkowa odmiennych, przeciwnych sobie nieraz prawd poszczególnych ludzi, ciągle dystansowanych przez inne. Ja nie umiem się gniewać, złościć, potępiać tych, którzy myślą inaczej ode mnie, bo wprawdzie wierzę, że tak jest jak myślę, ale nie wiem czy tak jest istotnie. Jestem jak galareta przelewająca się pod naciskiem oporu. Ja nie mam radości tworzenia, chyba że jest nią zapomnienie o sobie w pracy. Maluję, bo nic innego robić nie umiem a chciałbym może wszystko inne. Nie wiem czy żyję. Trwam tylko.

słowami jego wgnieciony w przykrą niemożność wczucia się w tę niepewność omijam zewnętrzną twarz oddalony od niej niechęcią wglądnięcia poza nią.

— Pocóż tedy wchodziłeś z nim w dyskusję? — zmieniam wreszcie głośnością głosu odległość między mną zbiegniętym onieśmieleniem w nieswojość a jego mogącą być tylko zewnętrżnie obserwowaną nieprzeźroczystością.

— W chwili dyskusji — samym dźwiękiem głosu zbliżył się wybitnie, rozejściem się z nieprzeźroczyści mniej przykry — widzę jedynie mą słuszność. Odruchowo przeciwstawiam się każdemu odmiennemu z zewnątrz ode mnie naciskowi. Lecz zaraz potem przychodzi świadomość, że nikt z nas inaczej myśleć nie może i że przekonywanie niema żadnego sensu — posuwał ręce po szorstkiej powierzchni otomany. — Dwie komórki zwały się kiedyś w łonie matki swą fizjologiczną treścią i ta zawartość rozwija się w nas logicznie. Każdy czyni co musi i każdy chce swego dobra. Każda z komórek których jesteśmy zbiorom żyje i bezustannie dąży do życia. Złodziej kradnie, siedzi w więzieniu, pozornie źle sobie robiąc, bo ci którym pośrednio czy bezpośrednio źle zrobił byli od niego silniejsi. Egoizmu niema, bo niema jego kontrastu: altruizmu, który byłby zniszcze-

niem i śmiercią. To co jest, to ciągły żywotny ruch w górę i obumieranie na pewnym poziomie.

— A jednak często zadajemy sobie ból — oparłem swe nagłe w sobie zachwianie o bezprzestrzeń — i zniszczenie, a z drugiej strony ratujemy z zewnątrz pochodzącymi uzupełnieniami brakujących nam składników zagładą grożący rozkład komórek.

Oderwał się od oparcia i spoił ze mną spokojem żrenic w rozszerzonych powiekach.

— Bo my sami, ja nasze, jest też tylko jakąś nam samym nawet niewiadomą wypadkową składających się na nas cząsteczek nas samych. Jesteśmy wogóle czemś dziwnie podwójnem. Wglądając świadomością w siebie widzę część mnie wyzwoloną od niej, cielesną, na którą ja nie mam wpływu, obcą mi całkiem, ale jednak mną będącą, bo ja bez niej istnieć nie mogę. Jest może mem ja istotnem, bo właściwie podtrzymuje me życie. Ja sam jestem u niej poprostu w służbie i całkowicie od niej prawie zależny. Nawet myśl zjawia się z nieświadomości i chwytam ją na ekranie mózgu. Ja rejestruję tylko podrzucane skądś wnioski, postanowione jakby beze mnie. Jestem tylko widzem w kinie lub gościem w restauracji, który czeka na zamówione potrawy, tylko, że obsługa jest nie zawsze sumienna i prędka a czasem podaje nie w porę. A jednak jestem czemś innem, bo z kuchnią tą często się kłócę i sprzeciwiam podawanym mi daniom. Nie mogę nawet powiedzieć, że myślę. Coś za mnie myśli, coś we mnie się dzieje i często dopiero rozmawiając z kimś stwierdzam jak i co właściwie jest we mnie i nieraz ku własnemu wielkiemu zdziwieniu widzę, że myślę zupełnie inaczej niż myślałem, że myślę i niż myślałem dawniej, a nie mam świadomości, bym sam to kiedyś przemyślał. Sam uważając się za niezmiennego, nie czując w sobie zachodzenia jakichkolwiek przemian, stwierdzam niekiedy, że mnie istotnie zmie-

niono. Co pewien czas nadjeżdża mój adjutant z meldunkiem: tu a tu pan zajechał, choć wcale nie przypominam sobie, bym wogóle gdzie jechał. Gdzie w tem wszystkim „ja“ jestem? Co jest mną a co nie jest? Świadomość czy nieświadomość?

— Nie wiem — mówię, roztrącony w dwie, obie jednak mną będące i obie jednak mi obce, części.

— I żeby chociaż miłość była przynajmniej świadoma. Ale i to nie. Świedelko z blachy dla zachowania gatunku. Zcukrowany olejek na przeczyszczenie reproduktorskiego napięcia. Oszukanie świadomości ludzkiej dla pokrycia zwierzęcego bytu gatunku. Mówię: kocham, a gram tylko uwerturę ostatecznego finału fizycznego posiedzenia. I żeby chociaż to. Ale i to nieświadomie. Bo na dnie gra instynkt rozplodu. Nie ja kocham, nie ja pożadam, ale on mnie prowadzi na smyczy jak psa się prowadzi do suki. Gdzie miłość czysta, bez ślepego nakazu? W wzajemnej świadomości obopólnej przynależności dwu dusz równej wartości?

tęczówki jego zaokrągliły się wyraźnie w wyszłem z pod szeroko rozeszłych powiek białku.

— Świadomość i nieświadomość! Widzę je tylko oddzielnie. Gdy oddam się pracy przestaję dla siebie istnieć i tylko praca istnieje a raczej ja jestem tą pracą ale bez świadomości istnienia. A jednak praca wykonana świadczy, że jeżeli kiedy, to wtedy właśnie naintenzywniej istniałem. Mówią — czoło jego sfałdowało się w zmarszczki — że wszystko tylko przez nasze ja istnieje. A mnie się czasem zdaje, że wszystko inne istnieje oprócz mego ja właśnie. Nie istniałbym, lub w jakimś rozdwojeniu, gdyby ojciec mój lub matka nie byli się ze sobą spotkali. Nie rodzę się, lecz bywam rodzony z nim wogóle jeszcze posiadam świadomość. Był czas że mnie nie było i będzie czas, że mnie nie będzie. Dlatego zdaje mi się, że mnie wogóle niema.

wtem pod zastygnięte długi czas w bezruchu gładkiej twarzy powiększone rozszerzeniem powiek i brakiem brwi wypukłości oczu podbiegł od wnętrza warg jego uśmiech.

— A jednak — rozluźnił zwróceniem ku mnie zwężonych tym uśmiechem powiek ściśnięcie mej twarzy i ciała — nic pewniejszego ponadto, że jestem i że istotnie istnieję.

— Powalasz się! — krzyknąłem w niepewność zaskoczonych źrenic „murzyna“ unieruchamiając na chwilę zgiętą jego postać w zawisnięciu nad paczką. Natychmiast jednak wyprostował się, ale dopiero po dłuższej chwili, zwróciwszy opuszczone powieki na obklepiecie gliną powierzchni skrzyni, podszedł do krzesła obok i obniżając się obsunięciem na nie podwyższył pozostawione na dawnym poziomie wraz z tkwiącym w nich szerokobrzeżnym kapeluszem ręce, oparte na prostej, rzeźbionej w szarotki laseczce prostopadłej do podłogi przed ściśle do siebie przyległemi kolanami.

— Czekałem na ciebie. Byłem pewny, że do mnie wstąpisz, wracając z dworca — powiedziałem, opadając plecyma w twardość napiętego mną płótna leżaka, zwrócony oczyma ku wyprostowanej w grzbiecie, nieruchomej sztywności „murzyna“. Nieznacznymi ruchami głowy skierowywał niespokojną ruchliwość czarnych źrenic to na mnie, to poza mnie, na boki, ku oknu, w górę lub na dół, podsuwając coraz to inne wyniosłości opalonego, wilgotnego czoła, ostre krawędzie nosa lub wystąpienia niebieskawej brody pod podkreślone jeszcze silniej czernią krótkich włosów, brwi i oczu mleczne rozprysnięcia światła.

— Pojechała już?

— Pojechała — rzekł obrócony twarzą ku oknu. Stopy rozsunały się szelestem podeszew o podłogę. Zwęzający się ku górze kapelusz nałożył na tył głowy i ująwszy w środku laskę w unieruchomione przedramionami na udach ręce, nachylił się, zgarbiony oparciem o nią

brody. — Cóż robić? — otarł się o mnie chropowatością głosu i utkwiał we mnie na chwilę zastygniętą w oczach, mimo podskoczenia uśmiechniętych końców warg w policzki, smutna bezradność źrenic. Oparty widzeniem o zewnętrzną ruchliwość jego milej mi twarzy, oddzielony wyraźną jej powierzchnią od niedostępnych mi zupełnie, trwających poza nią wewnętrznych jego odczuwań, wpatrywałem się z uczuciem przykrej nieswojości w wybitną trójwymiarowość tak odrębnej ode mnie i obcej prawie, nieznanej jego postaci.

— Smutno ci będzie bez niej — wypełniłem dzielącą nas przestrzeń, usiłując upodobnić się zewnętrznie z jego czuciami. — Nie prędko będziecie znów razem.

Raptownem wstaniem z krzesła wywyższył się znów ponad rękojeść laski, przeszedł obok mnie i zniknął z pola mego widzenia oddalając się szuraniem podeszew między stukotami laseczki poza mnie. Po chwili dochodzenia ku mnie znowu widoczny, malął ku czerwonej ścianie przede mną. Odwrócony przy niej nagle, zabawnosztywny umiejscowioną na podniesionych barkach, z nasuniętym na tył kapeluszem, głową, wzbudził we mnie pobłażliwy wewnętrzny uśmiech...

— Nie myślę tak długo czekać. Ani mi się śni — zatrzymał się przede mną, przed, pewnością jego głosu poza zeszytywnienie w zdziwieniu wcisniętym, moim uśmiechem.

— Czyżbyś chciał... — wysunąłem się poza nacisk jego osobowości.

— Przecież—potwierdził. Zaczął znów chodzić, odwracając mnie w leżaku pełnem jakby szacunku tkwieniem wzrokiem na jego twarzy.

— Czyżbyś naprawdę miał zamiar?...

— Pewnie. Już dość mam takiego życia — wydzielił się wyraźną pewnością ponad zwykłą drżącą chropowatość głosu. Uwypuklona jego ciemnem podłożeniem

się jasnożółta postać „mzimu“ uwyraźniła się bliższa we mnie od czegoś gdzieś na uboczu mojego uczucia niewyraźnego i dalekiego, będącego tobą — Jej rodzice i moi również nie chcą, byśmy zanadto zwlekali — stanowczym brzmieniem głosu i znaczeniem słów wbudowany w związaną z przyszłością, daleką ode mnie rzeczywistość istnienia, wyparł nagłym rozrostem swego samodzielnego myślenia mą zmalalała niepewność siebie w trwanie gdzieś zdala od życia, jedynie z jego podziw i uznanie we mnie budzącą, nową w nim dla mnie pełnią odrębnego działającego człowieczeństwa utożsamionego. — Życie trzeba uchwycić garścią. Życie samo do nas nie przyjdzie — odsuwał mnie coraz więcej swym głosem. Spojony silnie dłonią z postukami drewnianej laski, zjednoczony sztywnością z świadomem wyprostowaniem w pewności siebie, przesuwał się co chwila przede mną, skierowując często z pod wyzywająco na tyle głowy nałożonego kapelusza ruchliwość czarnych źrenic w rozchodzące się powoli we mnie i słabnące, niepewne poczucie własnej zbytecznej małości. — Za nieśmiały byłem dotąd, za miękki. Stawałem zawsze z tyłu, ustępując miejsca innym. Ale nikt nic za nas w życiu nie robi. Trzeba się rozpychać łokciami. Mamy je nie od parady. Miejsca! panowie. Miejsca! A nie, to fon! bo ja idę. Prosto jak uszał przed siebie. Dość mam już budowania kapliczek — źrenice jego bardzo dalekie ale głos czułem tuż blisko przy sobie. — Co tu znów dużo mówić. Prostu, trzeba mi kobiety i domu. — Rozluźniony znów wzruszeniem w chropawość głos jego wtopił się znaczeniem słów w ciepło gwałtownego we mnie rozszerzenia wewnętrznych pragnień, wybiegłych poza powierzchnię ciała ku trwającemu gdzieś z boku, mimo nieistnienia jego osoby dla mnie, niewyraźnemu brzmieniu głosu. Drżące cząstki ciała rozparły się prężnością ciepła pod miękki nacisk

ciepłego wwarcia się w nie małorealnych form niewyraźnego, przeźroczystego kobiecego ciała, gdy z wnętrza zachwianego nagłym brakiem podstawy odczucia osypał się na nie dreszcz niecierpliwego w ciele ciepła. — Ja widzisz wiele nie wymagam od kobiet. Żadnych duchowych wzlotów. Prosta uczciwość wystarczy, by...

— Gotować i rodzić dzieci — zbiegłem się nagle, obronem zeszytnieniem przeciw jego życiowej nadmą słabością realności.

— Cóż chcesz — nastroszył głos zadziorkami jakby lekkiego zakłopotania — nie mogę pragnąć w nich więcej niżli z ich przeznaczenia wynika.

— Tak przeznaczenia ciała... Mahometanie też więcej nie widzą — usamodzielnilem się nieco w sobie, wstawiając między nas lekki odruch niechęci.

— Pewnie, pewnie — przerwał mi szybko — ja wiem, że ona ci się nie mogła podobać — nałożył się znów idącym z góry wzruszeniem częstek głosu i rozdrzany z całości w luźność zrównał się mnie i pomniejszył. — Musiała ci się wydać mało wykształcona i prosta. Nie myśl, że ja sam w niej tego nie widzę — równe dotąd na płaszczyźnie cząstki głosu wyłamywały się z niej w wolność bytu. — Za dużo w niej wsi i za dużo małego miasteczka. Ma za to inne o wiele ważniejsze zalety i przez to jest mi tak bardzo droga... Rodzicom moim zawróciła poprostu w głowie i przyjęli ją jakby swą własną córkę.

...cytrynowa nikła wątlność zgrabnej, zwykłej zupełnie, dziewczęcej jej postaci wróciła mnie w szerokoobjętościową ważność siebie. Rozszerzony u góry jasnością upiętych w boczne plecionki włosów trójkąt bladej, na cienkiej długiej szyi delikatnej twarzy zaokrąglonymi bokami policzków stykający się w niewielką spiczastość brody, wypełniony bezwyrazem ogromnych jakiegoś koloru z pod dużych wygiętych rzęs źrenic. Coś jak kryza

dookoła niewielkiego dekoltu. Na tej samej płaszczyźnie niczem z jej cytrynową niewyraźnością naprawdę niezwiązane błyski wyraźniejszej ruchliwością, śmiesznej nieco w radosnym uśmiechu i namaszczeniu tkliwości jego twarzy.

— Za krótko z nią wczoraj mówiłem, by mieć o niej jakiekolwiek zdanie — wsunąłem między własne skrepowanie jej zupełną małoznacznością a wyczuwane pytające wzruszenia jego oczu, których dotknięcia unikam. — Bardzo z niej miła dziewczyna — i podniosłem po chwili cofnięty niejako sobą w siebie wzrok ku uczciwości niespokojnych, ruchliwych jego źrenic.

— Sam nawet nie przypuszczasz jakie z niej rozkoszne stworzenie. Pieści się jak rozkapryszony kociak albo znów poważna jest a czasem to zupełnie jak dziecko. Kucnęła sobie na ulicy przy naszych oswojonych, miejskich gołąbkach i myślałem, że zacznie klaskać z uciechy w ręce. Nie wyobrażasz sobie co to była za radość chodzić z nią po naszym mieście. Dotykała palcami marmury w kościołach z niedowierzaniem, że to naprawdę marmur. A zadawała czasem pytania tak dziecinnie naiwne, że miałem z nią tysiąc radości.

— Nią jest bardzo łatwo kierować — zerwał się znów gorliwością słowa. — Ja ją podciągnę do siebie. Ja jej ślepka na świat rozewrę. Wytłumaczę co piękne i dobre. A nawet nie wiesz, jakie ona ma do mnie zaufanie ogromne. Dziwię się nawet dlaczego. Z kobietą, widzisz, wszystko możemy zrobić, zwłaszcza gdy takie to jeszcze młode.

— Myślisz?

— Pewnie. Tylko z nią trzeba się umieć obchodzić. znów obniżony bezruchem ciała w krzesło, poza splecenie dłoni na rzeźbionej w szarotki lasce skierowywał odwrócone w siebie patrzenie źrenic i znieruchomienie twarzy ku oknu.

— Był wtedy taki ciepły wieczór — otarł się o mnie tkliwośmieszoną otwartością uduchowionej wspomnieniem twarzy — albo była to już noc prawie. Siedzieliśmy na ławce w ogrodzie i nie widzieliśmy się wiele. Ale czułem, że jest tuż obok i że taka jest przy mnie ciepła... Rozmowa szła nieskładnie i rwała się — idące z poza łączeń się i zerwań białego na soczystej czerwieni silnie odgraniczonych warg stalaktytu śliny cichowzruszenie głosu jego — Wreszcie zabrakło tematu i urwała się całkiem. Ja mogłem mówić jej wtedy tylko o jednym. Spytałem ją czy mnie lubi — lekko przykre treścią słów wobec silnego wzruszenia niespokojnem drżeniem powierzchni mego ciała — Powiedziała, że lubi. A czy tak samo jak innych. O nie. Inaczej. Czy więcej. O, dużo więcej. Wtedy nie wiem już jak ale złączyły się nasze ciepłe wargi. Niebo jakby z aniołami roztworzyło się nade mną a ona znalazła się w moich ramionach. A ona tak rozkosznie całuje — prężnością siebie wytrzymywałem trwanie tak poza mojej treści jego słów, nieruchomem skierowaniem głowy na bok unikając niezdolnie przykrego roztkliwienia błyskiem śmiechu i oczu jego twarzy.

— A twoja co? kocha ciebie? — uderzył mnie nagle twardem słowem.

rozbita o mą zupełną pustkę niewiedzy zbyt, niemożliwa do istnienia między mną a tobą twardość wypowiedzianego przez niego słowa osypała się rozdrobniona w niknącą nierealność po pochyłej odległości dzielącej dalekie twe niezmiernie istnienie ode mnie.

— Nie wiem — po dłuższej chwili wewnętrznego przystosowywania odwróciłem się już bezpiecznie ku niemu — nie zastanawiałem się jeszcze nad tem.

— Myślałam, że już pana nigdy nie poznam — wni-
kałaś owalną dźwięcznością mówienia w moją jedynie
na jego istnienie nastawioną gorliwość — Znam pana
obrazy, tyle już o panu słyszałam, tylko pan sam mimo
tyłokrotnych zaproszeń nie raczył się jeszcze u mnie
dotąd pojawić.

rozluźnioną w nieczucie częścią twarzy i ramienia
włożony w twą silnie odczuwaną miękką obecność, re-
szta ciała w lekkiej odrębności siebie przez zbyt blizkie
wobec mojego przyzwoicie dalekiego usiadnięcie pewnej
siebie barczystości „hrabiego“ przy tobie

— Gdyby nie to, że pani jutro wyjeżdża — wpadłem
natychmiast w zamilknięcie brzmienia głosu, od spokoj-
nej w pełnem świetle wprost naprzeciwko ciebie twa-
rzy „św. Jana“ zwracając się z uśmiechem w splaszczą-
jący ostrość twych rysów cień wysokiego oparcia buja-
ka — nie wiem, czyby mi się udało ściągnąć go tutaj
dzisiaj. Odkładał z dnia na dzień zawsze do następnego
razu mimo moich nalegających zabiegań.

poprzez zażenowanie uśmiechu piwne jego źrenice
z pod opuszczonych powiek utkwione w rękach poło-
żonych na cienkiej materji uda założonego na drugie.

— Przynajmniej za to — pochyliłaś się wraz z opar-
ciem naprzód, z uśmiechem w odgiętej do tyłu twarzy,
z długimi palcami obtoczonymi dookoła poręczy bu-
jaka, odrywając wąskość swą od oparcia — widzi mnie
pan już jako osobę dojrzałą, — opadłaś zpowrotem
w oparcie, zapadając się poza kolana zgrabnych nóg,

wydzwigniętych w górę zjawioną w tej chwili plecionką spodu siedzenia.

— Hm! — nacisnął „hrabia“ słowem nagłą mą ku niemu tak blizkiemu niechęć — przypuścmy, że tak jest istotnie.

— Mądrzejsi ludzie zastanawiali się nad tem — wszerzyłaś tonem swego oburzenia zadowolenie w me wewnętrzne ściśnięcie. Oddalona w daleką dla mnie małość postać „hrabiego“ odrazu opadła w znaczeniu.

— Całe szczęście, że nie ja — pomniejszył się jeszcze więcej w twych oczach. Ale w tej chwili wysunięciem szerokiej stopy w naciskanie na biegun bujaka wrzeczywistniony w zwartą blizkość siebiepewnego wpelnienia się w fotel, nacisnął się dotkliwiej na powtórna, nagłą od tak dalekiego twojego z nim swobodnego zespolenia w ruchu przykrość własnej mej ściśniętej chwiejnej odrębności. Z własną chęcią znajdowania się na jego miejscu, tłumioną wyczuciem niewłaściwości niemożliwego dla mnie takiego zachowania się, obcy tobie obcej mi biernością wobec niego, odczuwałem dokładnie rozpiętość czasu, rozdrabnianego i wzdłużanego wachnięciami bujaka naciskanego z przykrą mi, nonszalancją obojętnością jego nogą. Wyczuwane świadomie za żółtą plecionką podchodzącego wysoko spodu bujaka przedłużenia nóg twoich dodawały mi sztywności pod nieśmiałą ciekawość skierowywanych tam mimowoli i odwracanych jakby przed obnażeniem spojrzeń.

— Jednem słowem — zabrzmiałaś głosem przed mojem sztywnem trwaniem na krześle — jest z pana zatwardziały samotnik.

— Kto ludzi unika niekoniecznie jeszcze jest samotnikiem — uwyraźniły się spokojnie słowa „św. Jana“. — Prawdziwi samotnicy to ci, którzy w ucieczce przed sobą poszukują gwałtownie ludzi, bo sami z sobą zostać nie mogą.

Poza bezsłoneczną czerwienią u dołu okna miedzia-
nożłote światła słońca na najwyższych czubach sponu-
rzanej w niebieskawym cieniu kamienic zieleni kaszta-
nów.

— Dlaczego pan jednak ludzi unika?

— Nie chcę nudzić siebie i innych — wyrzekł po
chwili.

— Jakto? — zniszczyłaś niedługą ciszę.

— Każdy jest tylko sobą zajęty i ja jako ja nie ob-
chodzę właściwie nikogo. Ja sam też tylko myślę prze-
dewszystkiem o sobie i tylko siebie znam i mogę jako
tako rozumieć, choć i to jest czasem wątpliwe.

— Kiedy mnie na przykład interesuje pan bardzo
a tem samem i pana obecność. I co pan do tego? —
powiedziałaś, poddając się ciałem pod ruchy bujaka.

„Św. Jan“ uśmiechnął się spojrzeniem ku tobie.
Ręka jego odłączona od drugiej zatrzymała się z odchy-
lonym do tyłu łokciem na czarnej poręczy krzesła.

— Niech pani raczej powie, że to interesowanie się
mną sprawia pani przyjemność. Poprostu panią ciekawi.

— To się nazywa wdzięczność — zaśmiał się i po-
ruszył „hrabia“. Błady światłocien niewyraźnej już
w konturach na szarości ściany, grubej na sobie materji
wglębił wygodniej w fotel.

Szybkiem zesunięciem się jego bucika z biegun bu-
jaka weszłaś znów mięką delikatnością swej obecności
w blizkie czucie mej rozluźnionej z spięcia twarzy i ręki
przy równoczesnem zelzeniu powierzchni ciała. Coraz
mniej wyraźna w unieruchomionym cieniu wysokiego
oparcia, jedynie ręką obejmującą poręcz jaśniejsza, nie-
poruszona nawet szeroką, rozpartą masą „hrabiego“, za-
głębieniami oczu i rozszerzoną ciemnością rozchylo-
nych warg

— Sądzi pan — trwałaś ku „św. Janowi“ — że ob-

cujemy z ludźmi tylko, gdy w tem mamy przyjemność? — byłaś znów głosem we mnie.

— Jest w tem zawsze jakaś ukryta, przeważająca przyjemność — spojrział na rozsuwające się i zesuujące palce pozostałej na udzie ręki. — Pocóżby miał ktoś sprawiać sobie przykrość, zresztą nawet pytanie czy może, — powierzchowność słów jego. — Rozmawiamy z kimś gdy się nam nudzi, gdy chcemy z tej rozmowy skorzystać, lub — przesuwają się przed mojem wyłącznem nastawieniem na odczuwanie zespolenia z bliskością ciebie — przymusowo, gdy nas do tego obawa większej przykrości przymusza. Zwykle jednak dla przyjemności wypowiadania swych myśli lub wogóle przyjemności mówienia i interesowania drugich poprostu sobą — zainteresowaniem się twem jego słowami spowodowanem we mnie spokojnem zadowoleniem — To jest może istotny powód przyjaźni. Przekonywujemy kogoś o czemś dla wpojenia w niego uznania naszej słuszności i odniesienia nad nim w ten sposób, choć może nieświadomie zwycięstwa, — śledzę przychylnie trwanie w dźwięku niezbyt mnie obchodzących teraz jego poglądów i myśli. — Spotykamy się z ludźmi z potrzeby. Przyjemność to przecie tylko odmienny rodzaj potrzeby i niema w tem zasadniczej różnicy.

— Ma pan być może słuszność, mówiąc o codziennem stykaniu się z obojętnymi ludźmi. Ale przyzna pan, że tam gdzie chodzi o przyjaźń lub miłość, większą rolę gra w tem chęć zrobienia przyjemności drugiemu, niż sobie. Jeśli oczywiście miłość i przyjaźń są szczere. A miłość niewzajemna trwa przecież czasami tak długo. A poświęcenie, a miłosierdzie, a litość?

zwrócony twarzą i powierzchnią wzroku w rozjaśnioną zniknięciem światła i cienia, jednostajną zieloną szarość zaoknia z przyjemnością wczuwałem się w pełną samodzielność formowanej przez ciebie dźwięczności.

— Miłość to przecież — pochyłony nad rękami znów na udach równo obok siebie ułożonych nóg — tak dalece potrzeba i konieczność ciała że wola nasza nie ma na to żadnego wpływu — wpatrzony w poruszenia palców. — Robienie drugiemu przyjemności w miłości nie należy chyba do jakichś specjalnych przykrości. Miłość jest lub jej niema, czasem wbrew naszej woli... Tak wysoko cenimy przyjaźń, wyżej nawet niż miłość, a to też tylko potrzeba i przyjemność wzajemnego obcowania dwóch odpowiadających sobie, czyli potrzebujących się wzajemnie ludzi... Czy tak zwane głębsze myśli nas łączą czy tylko kieliszek z wódką, podłoże jest zawsze to samo... Nie możemy nie kochać, nie będąc nawet kochani. Niema w tem zasługi i winy. Pomagamy komuś w nieszczęściu, gdy mnie jego cierpienie tak wzruszy, że cierpiałbym gdybym zrobił inaczej. Prostu nieodparta, fanatyczna konieczność. Robimy dobrze ponieważ nie możemy źle robić.

Dłuższy czas nieruchomy, poruszył się potem wzrokiem ku twemu nieokreśleniu w ciemności.

— Karmimy w zimie za oknem nieszkodzące nam i miłe swą żywością ptaki ale niszczymy bezwzględnie pluskwy, żrące nas i wogóle paskudne, co jest zresztą zupełnie słuszne. Okrutne jest dla nas trafianie ze strzelby gołębi, ale smakuje nam zajęcza pieczeń. Pielęgnujemy chorych w szpitalu ale nie dziwnem nam jest pozbawienie kogoś latami wolności w więzieniu.

— Mamy się dać okradać? — nieskomplikowaną twardością swej odmienności wrócił „hrabia“ w miękkość.

— Poco? Nie chowajmy się tylko poza parawan słów wielkich.

— Dobrze — skoczyłem widzeniem ku niemu nad znaczeniem słów własnych, rozpierających mnie w pewną siebie wobec twej wyraźnej, mimo niepatrze-

nia ku tobie obecności w mroku ważność — mówisz miłość, gdy niepotrzebna zanika. Niejednokrotnie jednak to co nazywa się: obowiązek, zostaje i wbrew jakiegokolwiek korzyści podejmuje się niejednej czynności. A jakie mnóstwo obowiązków bez bezpośredniej dla nas korzyści powoduje nami do czynów, z których owoce będą dla następnych pokoleń.

— Zadolenie czuciowej konieczności, różnej różnym świadomościom, jest istotą korzyści. Zbyt nisko pojmujesz korzyść.

— Nie powiem, bym się z panem zgodziła. Dla mnie siostra miłosierdzia to zupełnie odmienna wartość niż zbrodniarz.

— Względna wartość społecznego wynalazku obowiązku olbrzymia. Nie w tem, że, przypuśćmy, jest słuszny, lecz, że nakładając wiarę w swą słusność łączy nas w siłę twórczą, skupiając koło tych, którzy te hasła dla jakichkolwiek celów rzucają.

— Wszystko co mówisz już było. Nie jeden to już przed tobą powiedział — rzekł „hrabia“, — świat jest już tak bardzo stary.

— Nie wiem, co to jest świat. Wiem co ja jestem. Świat jest we mnie. Wszystko, co wchodzi w moją świadomość jest nowem. Nikt jeszcze dla mnie nie mógł niczego powiedzieć. Wszystko to sam w sobie dopiero pierwszy odkrywam. Choćby to już kto przedtem powiedział, dopiero to co jest we mnie, przeze mnie, jest dla mnie.

— Czy jest tak jak ty mówisz — powiedziałem — czy jak nam się wydaje, ja wolę widzieć barwną wzorami materję, niż jej szarą odwrotną stronę.

— Dziwna jest bojaźń słów — stał się znów głos „św. Jana“ z nieruchomych w mroku warg twarzy pozabawionej szczegółów — Nieznana bliżej, niemożliwa do pojęcia w całości wypadkowa ruchów, przezwana ży-

ciem jest zawsze z nami czy bez nas ta sama. I nie do zmienienia jego wartość słowem. Ale możemy wblżyć w nią nasze o życiu pojęcie, by mniej obijać nogi o nieznaną istotę życia, gdy fikcja słów otacza nam głowę. „Ale że nogi niczem wobec głowy, mało mnie wzrusza los dolnej połowy“ jak mówił... wszystko jedno kto, bo może ja sam to mówiłem a właściwie mówimy tak wszyscy.

— Ja jednak — owalną giętkością głosu i skrzypieniem ruchomego na jaśniejszem zaokniu cienia bujaka — wolę patrzeć w barwne z widowni kulisy niż w ich przykrą szarość od tyłu — wypełniłaś się dokładnie w me kształty, spajając się ze mną wokoło ciepłego wnętrza — jeżeli tylko robią wrażenie, nie obchodzi mnie z czego są naprawdę zrobione.

— Choćby, by mieć mniej rozczarowań.

— I nie mieć żadnej radości.

— W szarości, proszę pani, — pomału wkładała się w mrok drobność słów „św. Jana“ — jest o wiele więcej i o wiele ciekawszych barw i kolorów, niż w jednostajnej jaskrawości przeciwstawień, o ile ktoś umie i chce się tego dopatrzeć.

— Ale na to trzeba być chyba ma-laarzem — rozszerzyłaś i wzdłużyłaś zgłoski długimi przeciągnięciami śmiechu.

— Będzie już teraz pani wiadomem, jaki to z niego człowiek — oparła się o mnie szorstkość i wesołość głosu „hrabiego“. — Ale musi pani wiedzieć, że jak robi się amoralnym w słowach tak jest za to arcymoralnym w czynie.

— Tybyś uważał, że o wiele lepiej odwrotnie — rzuciłem w dźwięki nagłą ku niemu niechęć, mimo sciśnięcia wywyższającego mnie nad niego zewnętrznie znaczeniem słów moich zmały natychmiast wewnętrznie

dla ciebie wobec jego tak mnie rażącej, twardej mimo rozluźnienia w mroku, zwartej, pewnej siebie inności.

— Może kto robi światło — poniosłem ostrożnie a szybko chwiejną wzruszeniem świadomość spełniania twojej woli ku istniejącemu tylko przez nią dla mnie wyłącznikowi i dla ciebie w szarą, wchłaniającą bezszczegółową, bezbarwną nieokreśloność przedmiotów, szeroką, mroczną przestrzenność wpadła jasnożółta ciasnota światła, wśród barwnych na swych codziennych miejscach, trzeźwoszywnych scisłem określeniem w szczegółach i konturach mebli.

— O! Jak to dobrze. Mnieby się strasznie wstawać nie chciało.

— Wiadomo, że pan jest bardzo wygodny — oddzieliłaś się od słów rzuconych „hrabiemu“ z wyrzutem...

prawie nieuświadomioną radość nakryłem podstawioną pod twoje słowa powierzchnią pozorną, obojętną naturalności, podkreślając ją dla siebie i dla nich skierowywaniem widzenia ponad moją ścisłą w tej chwili z tobą blizką i drogą łączność.

Twarz „św. Jana“ była znów w lekkim uśmiechu a noga znów założona na nogę.

— Może pani co zagra — rzekł „hrabia“. Rozszerzył kolana nachylając się nad nie oparciem rąk złączonych o uda.

nieruchoma ocienionym profilem w jasnym prostokacie nutowych znaków, odbitą w zamazaniu czarnego lustra pianina biegłą, rzutką ruchliwością wąskich palców dotykałaś brzmiejącej pod lśniąca, białoczną ślizkością rozliczności dołączających się do melodji tonów,

ponad których niczem niespojonem w całość, zmieniem jedynie wysokością tonów, zwykłem szeregowaniem się następstwem w czasie,

w pełnym uważnej zaciętości, łagodnym milczeniem

cieniu twarzy i wyprostowaniu nieruchomego ciała uj-
mującą delikatnością dziewczęcość

me w drżącą ku tobie tkliwość przemienienie kładła
na miłą chłopięcość wazkiego, oświetlonego, puszystego
karczku, podchodzącego głębokim rowkiem pod kaszta-
nowatą miękkość wysoko uciętych włosów, na delika-
tną pulchność wyciśniętego w wzruszająco zabawne
zgrubienie nachyleniem głowy podbródzia, na szczu-
płość ramion i pleców w granatowej prostocie sukienki,
na nieruchomą na chwiejnej śrubie krzesła wazkość
bioder pod ciągłymi ruchami łokci.

— Dosyć! — obróciłaś słowa wraz z sobą i krzesłem
i opadłaś podłożonemi pod plecy rękami do tyłu na
nagły głośny zgrzyt tonów, potem długo w niknący
szum jednodźwięku zciszących swą różnorodność.

Obojętna nieprzejrzystość opadłego kraju spodniczki
wesła między odsłonięte przelotnie założeniem nogi,
wchodzące w różowe opięcie kombinacji pozakolanowe
zgrubienia a me krótkie ściągnięcie w oczach. Nie dłu-
gie utkwienie przymrużonych źrenic „hrabiego“
w twych odsłoniętych aż poza kolana nogach obdzieliło
je na chwilę przykrą mi wyłącznością ciała i dopiero ob-
jęcie wzrokiem całej ciebie załamanej w dwa szeroko od-
wrotnie rozwarte kąty włączyło je w jednolitą odciele-
śnioną miłość całości. Wysuwając i wciągając dolną
wargę, z nachyloną ku przodowi głową, patrzałaś w ko-
niec spiczasty bucika, który na końcu wyprostowywanej
przed siebie nogi zataczał niewielkie koła. Nieruchoma
smukłość niegrubej łydki oddzielonej cienką kostką od
wygięcia ruchliwej, niewielkiej stopy usamodzielniała się
dla mnie w radosny urok niezwyklej w formie zgrabno-
ści.

Zwarta w sobie obcość „hrabiego“, nachylona opar-
ciem łokci złączonych rąk o poręczkę fotelu, znierucho-
miona upartem wpatrzaniem w ciebie.

— Muszę koniecznie mieć fotografię pani — wypchnął z poza ledwie poruszonego ściśnięcia warg, (z których dolna wciągnięta do środka) nie odrywając oczu od ciebie. — I ja ją od pani dostanę.

obezwładniony naciskiem siebie samego, z niewyraźną żółtością podłogi pod niezatrzymaną w ruchu twą stopą tuż pod powierzchnią zasięgu wzroku, zeszywniony w zupełne beczucie obcości mojej i jego zastygłem w napięciu oczekiwania.

jak najdalej wyprostowywana stopa twa, wolno i starannie określa końcem bucika jak największe możliwe koła.

— A jak nie, to co? — wolno i wyraźnie mówiłaś, podnosząc mi wzrok wraz z ulgą rozprężającego się we mnie czucia.

— Da mi ją pani napewno — nie cofał oczu, drgając z pod ściągniętych brwi wgiętymi silnie pod lekko nabrzmiałem nadwardziem kącikami wargi.

— Tak pan myśli? Zanadto pan pewny siebie — weszłaś dźwiękiem wdzięcznego głosu i ciepłą miękkością siebie w łagodne, lecz silne zespolenie ze mną wybiegłym poza siebie czuciem, przeciwko śmiesznej, dalekiej zarozumiałości „hrabiego“.

— Zobaczmy — rzucił się śmieszny poza obrębem mej i twej wzajemnie silnej przynależności.

— Zo-ba-czymy — odchyliłaś do tyłu twarz ironicznie wyzywającą ku jego denerwującemu zmaleniu w powszedniość. Sprostowana uchwyceniem rękami za krzesło, okręcałaś się w obie strony, odpychając się od jego podstawy podgiętymi pod siebie, równo przy sobie ułożonemi nogami.

— Już? — unieruchomiłaś się nagle z twarzą podniesioną ku stojącemu przed tobą „hrabiemu“. — Pan też? — „św. Jan“ prostował się wolno. — Ale pan jeszcze chyba nie idzie? — uniepewniłaś szerokością źre-

nie, utkwionych we mnie, stanowczość mego złączenia się podniesieniem się z krzesła z nimi, zwiększając miłością głosu odczucie blizkiego zamknięcia bramy.

— Ja... — weszła we mnie chwilą chwiejności konieczność zapłacenia szpery. — Zasadniczo — prze-
pchnąłem się poza jej ściśnięcie — właściwie to mi się
jeszcze wcale nie śpieszy — i wstawiłem się w niezbyt
pewną trwałość wobec krótkiej już tylko, zbytecznej
w pokoju tymczasowości dwu tamtych.

— A proszę nie zapominać o mnie, gdy wrócę —
wzdłużałaś przerwę w czasie niecierpliwąca mnie
uprzejmością, drażniąc nieprzeciwdziałaniem całowaniu
przez „hrabiego“ twej ręki. — Co do pana, to nie mam
zbyt wielkich nadziei — podałaś z uśmiechem rękę „św.
Janowi“, który uklonił się tylko. — Podobno pan nie
lubi kobiet?

— Cicha woda — przedłużał „hrabia“ — widzia-
łem go już ostatnio dwa razy z pięknokształtną i pięk-
notwarzą niewiastą.

Poprzez mimowolne prawie, krótkie ściśnięcie za-
 zdrości z zaczerwienienia „św. Jana“ wblżyłem się
w purpurową twarz jego istotną w tej chwili, życzliwą
mu, przychylnością. — Gdzie to mamy zapisać? — po-
wiedziałem, szczerym uśmiechem rozluźniając poprzed-
nie przymuszenie.

— Maluję jej portret — tłumaczył się.

— No, no. Przypuśćmy — zaśmiałem się. Jednak za
widokiem ich pleców, w opadłe natychmiast policzki
weszło bezzczucie spokoju.

i zanikłem zupełnie sobą między cząsteczkami żół-
tego w czerni liści światła nad upiorną pajęczyną cieni,
odstających od czarnego słupa latarni w dole przede
mną a głośnem śmiechem i mową trwaniem w przedpo-
koju poza mną ciebie i „hrabiego“, zacichniętem wre-
szcie tuż przed suchem przypadnięciem drzwi.

— No i? — wrzuciłaś pierwsza w pustkę dzielącą mnie od prawie płaskości twojej wyłącznie wzrokowej koło mnie obecności. Skróciłaś twarz pochyleniem nad równoległobocznymi długimi palcami rąk, prostujących na ciemnej kapie dużego między nami stołu skręconą niebieską nitkę. Weszła w ciebie objętość ciała zabłysła wilgocią żółtego światelka na odchylonej dolnej wardze.

— On rzeczywiście jest może zanadto pewny, że nikt mu się oprzeć nie może — wydobyłem ostrożnie niewielką część siebie w słowach przed niewiadomością twojej myśli.

— Fotografje me dają tylko tym, którym sama zechcę — powiedziałaś, ześrodkowana wzrokiem i palcami na nitce.

— A... mnie... bypani dała? — wtłumiłem rozedrganie popod obojętną naturalność głosu, tkwiąc wzrokiem w własnych rękach na stole.

— Kto wie? Jakby pan zaśmiał się — wrzuciłaś dźwięk głosu w me wewnętrzne wruszenie.

Szybkiem rozsunieniem rąk sprostowałaś nitkę i nie odrywając z niej oczu odrzuciłaś się w oparcie kanapy. Dotknęłaś mnie silnie brunatnością okrągłych źrenic i cofnęłaś ręce ze stołu ku sobie. Odcieleśniona wnikaniem w ciebie jedynie teraz mną będącej cieplej, dążącej ku tobie tkliwości w miękką delikatność wyłącznego istnienia dla mnie

— Niech pan usiądzie na kanapie przy mnie — weszłaś we mnie radością jedyności ciebie. — Nie lubię takiego konferowania przez stół.

— Co on właściwie studjuje? — stłumiłaś nieco brzmienie o niedalekie warg ręce, nad którymi nachyliłaś z zainteresowaniem swój profil.

— On! — uśmiechnąłem się lekceważąco, zogniały wewnętrznie wyrażnością twego znajdowania się

przy mnie i we mnie wobec maleńkiej, nicnieznacznej, tkwiącej gdzieś z boku figurki „hrabiego“. — Coś tam studjuje, przypuścimy, że prawo, lecz mógłby być też na czem innem. Obojętne mu to, czyni to bez zbytniego zapалу i najchętniejby może nic wogóle nie robił. Tylko, że nie jest aż tak zamożny choć narazie rodzice dosyć mu dają. — Jego niewyraźność zwiększyła się niespodzianie we mnie, równa prawie w sile wrażenia tobie. — To co go jedynie zajmuje, — zwróciłem w nią szukające go patrzenie — to urok swej własnej osoby. Właściwie — wwyrażniona w twarz i kształty poprzednia nieokreśloność „hrabiego“ wyparła poczucie ciebie na bok i zajęła całe wewnętrzne, zaciekawione, bezstronne widzenie, — mylnie go określiłem. Zrobiłbym w ten sposób mu krzywdę. On wcale nie siedzi jak kobieta przed lustrem. Przeciwnie. Nie o zewnętrżność mu chodzi. O osobowość. Nieświadomie może nawet. Poprostu to jego żywioł. Nie wiem czy mnie pani rozumie. On nie chce być wchłaniana przez umysł wiedzą, myślą czy choćby realizowanym przez siebie zewnętrżnie czynem, żyć tem co właściwie jest poza nami, jak większość nas istniejących właściwie tem, co nie jest nami. Chce być i żyć tylko najczystszy sobą, wagą wyłącznej swej nieformowanej z zewnątrz osobowości. Oczywiście, że nie tylko dla siebie. Przedewszystkiem dla drugich. I to nie tylko kobiet. Wogóle... Nie w czasie, ale jedynie w chwili, która istnieje... Tacy ludzie „są“ a nie działają. Nie poruszają sprężyn ale wśród nich przechodzą. Przez innych są dopiero dla siebie. Stąd zajmuje się chętnie sportem i marzy o dyplomatycznej karierze. Szuka ludzi i kobiet wszędzie, gdzie może „być“ a nie „działać“. Nie jest zły, dobry raczej, za miękki nawet. Nijaki i bezbarwny swym wewnętrzno-zewnętrżnym egocentryzmem tam, gdzie inni barwią się wyraźnym kolorem. Koleżeński i przyjacielski nawet, tylko bez czyn-

nej ciągłości. Gdzie niema bezpośredniej, tej chwilowej, bez premedytacji, korzyści dla jego osobowości, jest zimny i zupełnie nieczuły. Celowo złego nie czyni, bo wogóle raczej nie czyni, choć wyjątkowo bezwzględny i nieczuły gdy coś jego osobowości zagraża. Jest pewnym siebie, bo ma duże powodzenie u kobiet, choć może nie takie znów zaledwie duże. Trzeba przyznać, że ma też po temu warunki. Barczysty, zwinny, elegancki, postawny i nie mając zbyt wiele, nie potrzebuje jednak tak bardzo liczyć się z groszem.

— Mnie się on nie podoba. Nie lubię jasnych blondynów.

— Przyzna pani jednak, że jest ogromnie przystojny.

— Nie dla mnie — powiedziałaś.

stanowczość twego odmiennego zdania opadła lekką przykrością na zwyraźniony nagle pod jego naciskiem na mnie nalot obcości. Ale zaraz poprzez chwilową między nami pustkę zbliżyłaś się znów ku mnie wąską jasnością leżącą na granacie sukni ręki. — Bardzo pani ładnie w tej branzoletce z murzynków — wrzuciłem między nas jako nieśmiały pomost. — — Ręka ta ma jakby swe własne życie, wraz z dużymi ciemnymi kamieniami pierścionków. — — Lubię tę branzoletkę. Przepadam wogóle za złotem — oddaliłaś się nagle rzuceniem słów o podbiegłą pod nie drażliwość mojego ciała, — ale jak mnie stać na nią nie będzie, będę się umiała bez niej obejść — wblżyłaś się z powrotem w wybiegłe ku tobie ciepło tkliwości. — — Lubi pani bawić się i żyć szerokim, towarzyskiem życiem? — — Owszem. Wolę jednak takie domowe i cichy spokój codziennej pracy — wniknęłaś we mnie słowami, zespalać swą łagodność z moją. — Wie Pan, mnie się wydaje, że szczęście w małżeństwie to właściwie głównie od kobiety zależy. Czy potrafi męża zrozumieć i uczynić mu

pobyt w domu przyjemnym — czuję zjednoczenia się z tobą ciepłą między nami spójnią. — Lubi pani podróż? — Ach! Szalenie je lubię. — Ja także je lubię ogromnie. Jak będę miał auto, zabiorę panią ze sobą. — Ale koniecznie Lancię. — Dobrze. Koniecznie. Pojedziemy przez Alpy do Rzymu. — A potem do Neapolu. — A potem do Egiptu przez morze. — A stamtąd już niedaleko do Indyj. Odwiedzimy Gandiego. — A potem złożymy wizytę Australji. — No i koniecznie Tahiti. — Wygrzejemy się leniwie do słońca, żywić nas będą banany a usypiać hawajskie gitary. — A jak będę miał tylko motocykl? — Siadę z tyłu i chwycę się pana za pasek — nakładałaś śmiech oczu na brzmienie. — Tylko musi pani uważać, bym pani na zakrętach nie zgubił. — Najlepiej to — skłoniłaś się nad trzymaną na udach poduszką — aeroplan — ku mnie zwrócona twarzą. — Stanowczo. O innem nie ma nawet co mówić. — Weźmiemy dużo poduszek i będzie nam pysznie i miękko — podniosłaś się i przyległy znów wyprostowaniem się twem brzeg sukni nakrył miękki wałeczek wąskiego obojczyka, przeciętego koronkowem ramiączkiem koszuli. — Do tego czasu będę ich miała więcej. I wie pan — odrzuciłaś do tyłu włosy — zrobię panu przez wakacje poduszkę.

obok zewnętrznego, nieprzerwanego, bezświadomego prawie wypowiedania nadbiegających szybko myśli i słów istniejąc dla siebie wyłącznie śmiechem w dzwierzności twojego głosu, trwam jedynie bliskością wzruszanych śmiechem, spękanych w malutkie cząstki warg twoich i rozwarciami ku mnie, z pod ruchomego zataczenia brwi, rysowanych głęboko wyrażnie wokoło dużych źrenic powiek na przeginanej wciąż i zwracanej w różne strony niepokojonej opadaniem i odrzucaniem włosów twarzy.

— Ta niebieska nitka będzie zastawem, że pani znowu do nas powróci — rzekłem z uśmiechem, wstając.

— Zobaczymy, czy ją pan do tego czasu zachowa.

— Cóż tak uroczyście? To się u pana nie zdarza — powiedziałaś nade mną. Wyprostowałem się i nagły napór ześrodkowania mnie całego w dążenie ku tobie wparł się w zaciśnięte wargi, zwiększając ich niemoc rozwarcia. Poprzez roztkliwienie piekące otocza oczu przypadłem w drogość twojej uśmiechniętej źrenicami i wargami, przechylonej twarzy i w lubą wiotkość przegiętego oparciem o drzwi kształtu.

ciemność schodów zwiększyła nieoddalające się ode mnie wyraźne czucie ciebie poza zatrzaśniętymi z tyłu mnie drzwiami.

a w zielonem otoczu, tuż przed trwaniem przy moich wargach chłodnego napięcia powierzchni twojej dłoni, wjaśnia się niebieskawo lśniący, siateczką żyłek dotykowowidzialnych pokryty, wciąż mimo mego przesuwania się w zewnątrz ulicy wracający, czuciowo dotykalny tej ręki obraz.

— Posłała mi ostatnie tegoroczne konwalje. Szukała ich sama późną nocą, przykucnięta z lampą w ręce nad grządkami swego ogródka — widoczna w jego niespokojnych, czarnolśniących źrenicach i w drżącym z poza rozrywanego w środku karminu warg białego stalaktytu śliny wruszeniu głosu dziwnie przestrzenna w wraz z nim radość trwała przed mą przyjazną mu pobłażliwością. — Same takie dobre i miłe rzeczy mi pisze. Że mnie ogromnie kocha, że tęskni, i żebym ja jej był wiernym. Mój Boże — uśmiechnął się. Wysokimi kątami żółtego czoła wyparta niebieskość krótkich, w przedział z boku czesanych, czarnych włosów wpadała mu głęboko w czoło. — Tak jakbym ja mógł nie być wiernym memu drogiemu biedac-twu.

— Odrazu wchodząc poznałem z rozradowania twej twarzy, że nareszcie doczekałeś się listu — powiedziałem śmiejąc się. Świadome prawie czucie jego radością znikło dla mnie natychmiast za ustaniem w ruchu bezgłośnych już warg jego.

— Aaś! — krzyknął głośno i zeszytywniał wyciągnięciem się w górę.

— Arsz! — wyrzucając z hałasem proste w kolanach nogi zatrzymał się zewnętrżnością siebie przed pełnym książek stolikiem.

— prezenTUJ BRON!!

Podniesione ostrożnie z pośród papierów brunatne zeschnięcie kwiatów przytknął lekko do skróconych

zgrubieniem jak do pocałunku warg, wypchniętych przez zapadłe pod zamkniętymi powiekami policzki, śmieszny roztkliwieniem na zupełnej dla mnie nieprzeżroczystości wnętrza, namaszczeniem postawy nienaturalnej i twarzy zamknięty w sobie obcością odrębnego ode mnie, wzrokowo jedynie odczuwanego człowieczeństwa.

— nogi BROń!! — krzyknął przed położonemi znów na stole zeschnięciami kwiatów. Głośna pobudka rozległa się tryumfalnie z środka nabrzmiałych policzków.

— cznij! — i wysunął nogę dobitnie, spojony ze mną znów w spólność oddziaływującym na mnie rozśmianiem twarzy.

śmiejch zesunął się z moich policzków po podeszłej w nie ważności mej w sobie.

— Ja także dostałem dziś kartkę — okazałem się nią i jemu. — Pisz, że nie wie dlaczego, ale jest jej tam jakoś tak dziwnie smutno — istniejąc jedynie swą tak dla niego niezbitą i łatwą do odczucia wyłącznością, przyjemność wymownego z nad uśmiechu spojrzenia nieśmiałej jeszcze, mimo to zadowolonej, pewności siebie wzmocniłem o jego wyraźną przy tem obecność.

— Przyzwyczaj się. To tak zawsze z początku, gdy się jest w obcym miejscu — niemożnością zrozumienia zesunął się, nienaruszając jej prawie, po mej cichoradosnej pewności, istniejącej wobec twego dalekiego, lechtającego mnie mile smutku. bardzo serdeczne pozdrowienia i zamaszystość twego wyraźnego w niewyraźności czuciowego skrót, dużemi owalami odchylnych ku tyłowi liter, z tonem twych warg i oczu prawie zespolonego u dołu białości kartki podpisu.

— Wiesz to dziwne — istniałem dalej ważnością siebie dla niego — ale złapałem się na krótkim zresztą uczuciu, jakby pismo jej trochę mnie przykro dotknęło i to nie w treści, która była ogromnie miła, ale tylko w samym nieprzyjemnym mi i obcym, takim nie jej po-

prostu kształcie za dużych liter i dobieraniu i szeregowaniu wyrazów. Odczułem w tem jakąś fałszywą nutę egzaltacji i nienaturalności, nic z nią nie mającej wspólnego. Tak jakby jej w tem wogóle i wcale nie było... Piśmo to, to nie była ona.

— A „mzimu“ to ma miłutkie piśmo — małoznacznością słów swoich i głosu ocierał się o powierzchnię mego istnienia tobą. — Takie same drobne perelki.

— A jest to tem więcej dziwne, że ona jest zupełnie inna. Najzupełniej naturalna i szczerą, ogromnie prosta i bez cienia egzaltacji czy pozy — dotknąłem widzieliśmy jego ciągłego ruchu między ścianami. — Ubiera się niezmiernie skromnie i tylko powabem swej niezwyklej postawy i umiejętnym doбором kolorów i kroju daje wrażenie wyszukanej, kosztownej, zbytowej wprost elegancji, na którą zresztą nie mogłaby sobie znowu tak łatwo pozwolić. Prowadzi ojcu cały dom i to dawno, od śmierci matki i czyni to najzupełniej chętnie i prosto. Oczywiście, wołałaby może zajmować się czemś więcej ciekawem, ale nie słyszałem nigdy, by się na to skarżyła. Widziałem nieraz jej biegle paluszki przy zwykłej, domowej pracy i tylko coraz większą wartością swą wzbudza we mnie coraz większy szacunek.

— A „mzimu“ też zawsze znajdzie sobie coś do roboty. Pomyśl sobie, ona się nigdy nie nudzi.

— Nie myśl — przechodzę ponad jego słowami, patrząc jak przekręca w różne strony głowę z żrenicami utkwionemi w szybę dużego lustra — że jestem zupełnie wobec niej bezkrytyczny. Nie wszystko mi się u niej podoba. Nie lubię na przykład pewnego sposobu szybkiego odrzucania przez nią ręki, gdy idzie, co wybitnie psuje przyjemność patrzenia. A już zupełnie nie lubię jej niewiadomopoco gry na fortepianie. Dziecinnieje wtedy jakby wobec czegoś, czego mimo biegłości palców nie jest w stanie wpoić w jaką taką choć dla innych i dla

siebie zrozumiałą całość. Inna rzecz że wygląda wtedy miło i niezwykle pociągająco. Nie mniej wydobyte z pianina tony są tylko szszeregowane w czasie. Nie znoszę dyletantyzmu a uważam, że patefon jest o wiele tańszy i efektywniejszy w skutkach. Tracenie czasu i pieniędzy przez długie lata, by w ostatecznym finale móc wypełnić milczenie w wśród gości złem zagranieniem paru marnych kawałków do tańca lub trzechmiesięcznotrwałych melodji jest tylko jednym jeszcze balastem pozostałym po koniecznych kiedyś do edukacji panien sztukach: malarstwie, śpiewie, tańcu, muzyce i konwersacji.

— A ja to ogromnie lubię, jak mi „mzimu“ tak wieczorem coś zagra.

— Ale jeżeli nie umie wydobywać harmonji z tonów, to cudownie zato wydobywa ją samą z siebie. Nie jest wcale jakąś wybitną co do rysów pięknnością, dużo ma nawet może szczegółów z osobna nieładnych (profil nie jest zbyt regularny i jakby z dwóch nieco odmiennych, nie należących do siebie części złożony. Pod prostem w swej pochyłej linji czołem i zgarbionym nieco nosem cofniętą, trochę za duża okrągłością broda pod grubemi zmysłowemi wargami) ale wszystko w niej wpojęne jest w jakiś taki rozkosznie melodyjny, tylko kobietom właściwy wdzięk całości, że wrażeniu jego oprzeć się nie można. A przy tem słowa jej długo jeszcze po oderwaniu się od formującego je owalnego otworu warg trwają w powietrzu wraz z cząstkami śmiechu. Gną się i zwężają w środku jak tchnięte kólecčka dymu i po mału dopiero rzadną i sciszają się w uszach. Tak harmonją łagodnego brzmienia głosu i delikatną miłością kształtów i ruchów całego ciała nakłada się kojąco na dyzakordy dusz tych, którzy na nią patrzą.

— Jak sobie pomyślę, mówię ci — stawał co chwila z utkwioną we mnie, przysłaniającą jakby znaczenia jego słów powierzchnią oczu — że każdy ma do niej do-

stę, że każdy może ją widzieć, tylko ja nie, to czasem doprawdy płaczę z tęsknoty i rady dać sobie nie mogę. Pracować zupełnie nie mogę i wciąż tylko o niej myślę.

Obszerną wgiętością wesłane we mnie jego ostatnie słowa oddzieliły mnie wewnętrzną bezmyślą od odsuniętej daleko ode mnie w widzeniu twojej niejasności.

— Właściwie to nie jest nawet myślenie — popękane i wydeptane buciki jego u końca spodni pojawiały się i nikły na podłodze przedemną. — Kto wie czy myślenie wogóle istnieje. To tylko ciągle wpatrywanie się w jej obraz w sobie i powtarzanie wewnętrznem własnem mówieniem słyszalnych równocześnie jej kiedyś wypowiedzianych słów. Można je widzieć jako ściśle związane z obrazem chwili, w której były użyte. Czuje je wtedy jako nierozdzieloną w litery całość, widzę je tylko właściwie, nie słyszę ich wcale. Gdy zaś słyszę, powtarzając je w sobie, wyodrębniają się z widzenia jej postaci czy twarzy w wyraźnie widziane czy wyczuwane w ustach, drukowane wprost istnienie, poza którem jej postać tkwi ledwiewidoczna i słaba, albo też całkiem ginie. Wtedy usuwam natychmiast sztachety słów, bo wolę wpatrywać się w jej przywoływane dowolnie zjawienia. Prosto zakładam zebrane dawniej klisze w magiczną latarnię we łbie i wyświetlam sam w sobie co zechcę. Wtedy posłuszna jest każdemu memu skinieniu i zawsze taka jaka chcę, aby była. Dobra, kochająca, łagodna, moja. Dobrze to tak, na kanapie leżąc, podłożyć pod głowę ręce i mieć ją kiedy się chce przed sobą i przy sobie.

— Ja tęsknić nie umię — mglistość swą ocierał ruchem o daleką ode mnie własną zewnętrżność. — Miłość to przebywanie z sobą. Muszę mieć ją przy sobie, czuć objętość ciepłego ciała, patrzeć w cukierki oczu i móc ją w każdej chwili zobaczyć. Wtedy mogę wie-

dzieć dopiero, że kocham. A tak to zdechnę, mówię ci, zdechnę, a ona mnie kochać przestanie.

— A mnie się czasem zdaje, że miłość to może właśnie tęsknota. Gdy jesteśmy razem, to ona jest, jest przyjemność patrzenia na nią, i ja jestem, ale wiesz, miłości to jakby wtedy nie było. Dopiero gdy jej przy mnie niema, czuję naprawdę czem ona jest dla mnie w istocie.

— Ech! bo ty... — i podszedł ocienioną, nagle znów dla mnie zaistniałą odrębnością ku oknu.

— Co ja? — znikłem sobą pod niecierpliwem wpatrywaniem w niego.

— Ty widzisz — odwrócił się twarzą w cień ku mnie, — nie bierzesz rzeczy poprostu. Ja nie filozofuję. Biorę rzeczy, jak one są naprawdę.

w wspólną pomiędzy nami ważność wbliżyło się uczucie rozszerzenia wokół własnych oczu.

— Tak, — powiedziałem, — owszem, tylko jakie one są właśnie?

Wyprostowany w grzbiecie, z pięściami na udach nóg podkurczonych pod krzesło biegła żrenicami nieruchomej twarzy w coraz to innym kierunku.

— „Św. Jan“, wiesz, — mówiłem cały przejęty — zaprzecza wogóle możliwości Poznania.

złożoną na rozfruniętem nagle daleko w wszechobejmowanie wszystkiego swem znaczeniem niejasnością krótkiego, fascynującego dźwięku wypowiedzianego słowa wypełniłem się sam własną świadomością w przyjemne poczucie wielkości.

— Z nim nie można czasem wogóle mówić — rzekł „murzyn“.

— Ja też nigdy z nim nie prowadzę dyskusji. Nie można odłączać jego od tego co mówi. Dla mnie on sam razem z swojemi słowami kształtuje się w całość faktu, i jako taki zajmuje mnie, kiedy na niego spoglądam. Bo on nie tyle mówi ile przedstawia sam siebie. Ja nie tyle

słucham słów jego, ile patrzę na niego i na nie. Z nim, wiesz, nie mogę, na przykład, tak jak z tobą rozmawiać. Nie wie nawet, że mnie coś wogóle z nią łączy. Myślisz, że choć coś o niej wspomniał? Ja z nim oczywiście o tem nie mówię. Najwyżej by się z wyższością uśmiechnął. Nie mówiłem z nim nigdy o tem, ale to się w nim odrazu wyczuwa — „murzyn“ znów ruchomy od ściany do ściany. — Złości mnie niekiedy ten jego filozoficzny spokój i obojętna na drobiazgi tego świata bezczulość. Jego nic nie jest w stanie poruszyć, a on to czasem coś powie takiego, że jakby piękny, pełen słońca i cienia, piaskiem wysłany, kręty wawóz, którym idziemy, rozstał się nagle w szarą bezbrzeżność bezwidnokręgowej płaszczyzny, na której chwyta nas potwornie przykra bojaźń przestrzeni, bo niema o co oprzeć się okiem lub ręką, a nawet pod nogami brak ziemi. Albo jakby nagle zerwał zaporę śluzy, a ja, zamiast nad ślicznem odbijającym mnie i piękno świata zwierciadłem wody, stoję ze wstrętem nad pustym dołem o zielonych, oślizgłych od wody ścianach, zamkniętych porowatę, wilgotnem dnem, pełnem żółtej zgniłości wodorostów. A on nic. Uśmiecha się tylko z zadowoleniem i patrzy jakby z cichą radością... Ale naogół mówi bardzo ciekawie i coś mnie do niego silnie pociąga.

— Zdechnę, mówię ci, zdechnę — znów nieruchomy twarzą przed lustrem — a ona mnie kochać nie będzie!

— Nie zdechniesz — mówię — będzie cię kochać.

— Myślisz? — dotknął mnie niespokojnością żrenic.

— Myślę.

— Ale bo ty nie wiesz — oparł znów bezradność swych żrenic o moje — jakie ona ma powodzenie. Ilu miała już wielbicieli a ilu ich jeszcze posiada. I to w dodatku z majątkiem i zewnątrznie lepiej się prezentujących ode mnie, który mam krzywe oczy i fizys nie nadbyt piękną.

— Kocha cię. Pisze ci przecież o tem wyraźnie.

— Pewnie. Pewnie. Sam sobie to ciągle powtarzam. Tylko widzisz boję się, że mi ją z przed nosa kto świeśnie. Każda minuta mej nieobecności przy niej, podkopuje jej miłość do mnie. Pisałem do niej dziś rano, ale teraz jeszcze raz muszę do niej napisać.

rozgorzałe starte butami betonowe płyty chodników koloru wystygłego popiołu ciemnieją polane wodą i lśniące smugami rozpylonych w nie błysków wydają miękki wilgotny zapach na sunące wśród szpaleru drzew tłumy nachodzą wieczorami coraz to inne upajające zapachy drzew kwiatów i woni oczy przechodzących pod niemi w poddrzewiowych ciemnościach kobiet jakoś głębiej i silniej wzierają w moje mimo to duszno jest w mieście i smutno może z powodu upałów a może z innej przyczyny co do mnie wiem dobrze czemu mi smutno nieprędko jednak będę znowu wesoły mile wspominam tyle chwil wspólnie spędzonych

pozostała we mnie po słowach niedopowiedzianą w nich, nie mogącą jednak ujść twemu odczuciu istotną ich dla ciebie, ciepłą zawartością upewniony w szerokim poczuciu radości, podesłanem wewnętrznym uśmiechem — Ja też dziś napisałem list do niej — z życzliwą pobłażliwością obejmuję w widzenie niespokojną wciąż między ścianami, zaistniałą dla mnie zpowrotem, zaciemniającą się co chwila przed oknem, ruchliwość „murzyna“. — Jutro go z pewnością dostanie. Wrzuciłem go umyślnie do skrzynki pocztowej na dworcu.

Czerwone na białości serwety między błyszczzeniami ciemniejszych od niej kieliszków, małe, gładkie ręce „św. Jana“, z równymi, wązkimi palcami, o pielęgnowanych pięciobokach dużych paznokci oddaliły się, nie poruszając się z miejsca, ode mnie wraz z ogólnem wrażeniem, drobiazgowej nakryciem, powierzchni stołu, odsunięte niewyraźnością rozszerzoną między mną a nimi, w którą wkreśliły się inne kształty. Weszłe w odczucie okole moich ust podsunęło się pod zastygnięcie w uśmiechu.

— Parę dni temu — oparłem się widzeniem o spokój jedynie w owalu twarzy „św. Jana“ wyraźnej piwności żrenic — byłem tu z jedną niewiastą. — Siłą dźwięku „z niewiastą“ wzmożony w poczuciu siebie, dotknąwszy przelotnie wzrokiem równą mi obecnie siebiepewność „hrabiego“, którego stale obok „św. Jana“ zwartą w grubem ubraniu, o stół opartą szerokość wciąż mimo niepatrzenia czułem, — Chciała koniecznie być tutaj i zobaczyć co tu właściwie się dzieje — pozostałem wzrokiem przy zylastej, włoskami ciemnymi pokrytej, wąskiej płaskości ręki „murzyna“, zakrywającej chudemi, rozgrubionemi w stawach palcami, o małych soczewkowatych, przy skórze obciętych paznokciach dół zmarszczonej między i ponad brwiami, nad niezręcznie w palcach trzymanym papierosem, twarzy. — Była cała przejęta wchodząc. Udawała zabawnie, że to niby nie dla niej, a na wszystkie strony strzygła nieśmiało zabawnie oczyma, przyglądając się przedewszystkiem tak

jakoś zabawnie kobietom. Zainteresował ją także spis potraw, zwłaszcza po prawej swej stronie. Zaczęło jej się nawet podobać. Mówiła, że jest tu wcale wesoło, przyjemnie. Jedynie może cokolwiek za drogo, (to prawda) i że nie rozumie co w tem jest złego z wyjątkiem marnowania pieniędzy. Zaczęła się zupełnie swobodnie śmiać i rozglądać, gdy ja czekałem tylko, co będzie dalej. Usłyszawszy coś dwuznacznego, zaczerwieniła się, przestała tak swobodnie rozglądać, ale wciąż udawała, że wszystko w porządku. Potem zrobiła się całkiem nieruchoma i sztywna, z wyjątkiem rąk, któremi coś poruszała na stole i miała strasznie zabawne spojrzenie gdy zobaczyła zbyt obnażone ciało. Ale dopiero, gdy jedna z tutejszych „cór domu“ — słowo to wraz z uśmiechem pchnąłem wyraźnie wzrokiem ku obojętności „hrabiego“, poprzedzając ją jakby znowu małoznaczącość tuż przy nim — weszła między stoliki i zaczęła się dosiadać do mężczyzn, zbliżając się w naszym kierunku, poderwała się nagle. Powiedziała tylko: chodźmy już, z bojaźnią, jakby u mnie szukała opieki. Po drodze oświadczyła jednak, że może jako kobieta, zwłaszcza że nie przyzwyczajona, uczuła się mocno nieswojo, ale że właściwie nie w tem takiego nie było, że wyobrażała to sobie zupełnie inaczej, ale gdy spytałem: jak, nie umiała tego oczywiście określić. Tyle, że nie było w tem nic niezwykłego, prawie to co gdzie indziej, i tylko trzy razy drożej. Widziałem, że była jakby zdziwiona i jakby rozczarowana, choć w gruncie rzeczy więcej by tam już, przynajmniej na razie, nie poszła.

wykwintne, sfałdowane ubranie „św. Jana“ leżało osunięte niedbale w kanapę pod jego głową, między wyprostowaną, uśmiechającą się wciąż ruchliwością czarniawych źrenic sztywnością „murzyna“ a opartą przedramieniem o białość serwety dumną pewnością siebie „hrabiego“, w którego śniadej, szerokiej, umięśnionej

ręce między grubemi, niezbyt krótkimi, dużą łukowatą jasnością poza różowość nasady długich paznokci zakończonemi palcami, tkwił cienki, długi, kremowy papieros.

żółta, wolna od stolików przestrzeń podłogi w środku amfiteatralnego wyrywania się z czerni ubrań męskich barwności kobiecych, jasności twarzy i rąk na błyszczącej zastawie stolików była wciąż jeszcze pusta.

— Ciekawe jak tak zwane porządne kobiety patrzają na te, które uważają za „takie“ — mówiłem dalej. — Gdy jej niektóre z nich pokazałem, patrzała na nie z pewnem zdziwieniem i jakby z niedowierzaniem, zdziwiona poprostu tem, że to są takie jak i ona kobiety. A oprócz zaciekawienia i zrozumiałej odrazy, patrzała w nie jakby z pewnym szacunkiem, podziwem nawet.

— Kto wie — „murzyn“ — może jest w tem nawet i zawiść — uśmiechnął się, dotykając nas po kolei ruchliwą czernią źrenic.

— Co to: kto wie? Napewno — włączył nareszcie w nas głos i nieokreśloność źrenic „hrabia“.

— Pewnie — „murzyn“ obiegił nas znowu wzrokiem. — Zło jest dziwnie pociągające.

rozprzestrzeniona nagle we mnie chęć zaprzeczenia spłaszczyła się o przykry nacisk doświadczeń.

— Zło. — poruszył „św. Jan“ wargi i wbliżył się ku mnie oparciem przedramienia o białość. — Wydaje się dalekie od nas, wyraźnie odgraniczone, za jakimś murem, którego twardość musi nas przy przybliżeniu odtrącić. Gdy tymczasem zła ani dobra jako czegoś samostnego niema. Gdy zbliżymy się i wejdziemy w środek, jest tylko zwykła, życiowa czynność, konieczna w danej chwili a zatem ni zła ni dobra. „Jest“ to wszystko co o niej można powiedzieć. Gdy wjeżdżam na wysokim nasypie koleją do miasta, duży w sobie i wielki z okna wagonu, patrzę z odrazą na niezliczone w dole dalekie

mnóstwo mijających uliczek i domów. Obce, odpychające, odrażające, bezpowietrzne klatki, zamykające ludzi w beznadziejną czarność wnętrza, zakratowaną białymi krzyżykami okiennic. Odrapane ściany wokół maleńkich, bezsłonecznych podwórz. Bezpiekno ulic, szara potworna brzydota i beznadziejność nudy tego bezliku jednostajnych okien. Myślę wtedy, że ja nie mógłbym tam mieszkać, i żałuję tych, którzy muszą. Ale zaraz przy wyjściu z dworca, rozrosłe już ponad mnie, przybliżone do mnie, trwające przy mnie domy są mi ogromnie przyjemne. Maleję w szerokości ulic i zupełnie nie żal mi ludzi a w własnych ścianach ogarnia mnie miłe uczucie swojskości. A przecież dom jeden z tych które dopiero co z okna pociągu z odrazą widziałem, a szeroka, jasna przestrzenność wnętrza to ta sama czarność za białym krzyżykiem okiennic, na którą dopiero co z taką patrzałem odrazą. Jestem w środku i widzę zupełnie inaczej. Rzeczy same w sobie pozostały te same. Są poprostu. A jednak stosunek mój do nich się zmienił.

— Zanadto chciałbyś życie uprościć. Nie wiem, czy ono jest znowu tak bardzo proste.

— A ja niewiem — uśmiechnął się, zmiętą serwetę stołu wyrównując ciemną różowością dłoni w białość — co to jest życie. Wiem, że ja jestem, powiedzmy „żyję“, że ty jesteś, on jest i są inni. Ale życia jako jakiejś całości nie czuję. Mówimy: życie, ludzkość, społeczeństwo, naród, państwo. A właściwie jest tylko jednostka, jedna, druga, miliony. A nic niema z tamtego naprawdę... To co jest, to jednostkowe poczucie, że jest się i że są inni — patrząca poza mnie piwność jego źrenic zao-krągliła się rozszerzeniem powiek. Ledwie widoczne brwi podeszły pod fałdy czoła. Podciągnął się nieco w górę na rękach i, znieruchomiony, odsunął je, leżące wciąż na kanapie, trochę na bok od siebie. Z wyrówna-

niem czoła, opuszczone powieki spłaszczyły zpowrotem źrenice. — Sprowadzono dziś materję i energję w jedność: elektron. Ciało i duch też musi mieć swoją jedność. To instynkt życia. Myśl zachowania siebie w ciśnieńszem i szerszem znaczeniu. Owego ja, co nie jest identyczne z ciałem. To jedynie tłumaczy wszystko dotąd niezrozumiałe. Istnienie zła, które jest dobrem jednego ze szkodą innego. Niekoniecznie zresztą człowieka. Złote myśli ludowe, zwykle sobie przeczące, mówią: dobro zawsze ostatecznie zwycięża, a prawda jak oliwa na wierzch wychodzi. Ale zwycięża i na wierzch wychodzi tylko zorganizowana siła. Nie jest właściwie cnotą skromność i słabość. Cnotą jest poczucie swej siły. Poszczególne dobra, wychodząc z samozachowawczego instynktu, wspólnego ludziom, nakrywają się częściami w ciemny środek jądra. Ale boki są mocno niejasne, blade i wprost sobie czasem przeciwne. A już ludzkie rzadko się nakrywa z zwierzęciem. Prawo jest tylko... — źrenice jego tkwiły na mnie nieruchomo czas dłuższy. Wreszcie wązkie wargi wgięły się końcami w uśmiech policzka. — Właściwie może to jest wszystko bez sensu co mówię. Może jest tak a może całkiem inaczej. Żeby to można stworzyć coś coby było wytłumaczeniem wszystkiego. Powiedzieć sobie: tak właśnie jest i by nie było myśli: a może być, że jest jednak inaczej. Byłoby tak dobrze żyć wtedy. Cóż kiedy „tak“ i „nie“ istnieje w najprymitywniejszym języku...

za ściemnieniem światła na ciepłą nad mem nagłem cofnięciem się sobą w wewnętrzne ściśnięcie gorliwości oczu nacisnęła jasna w mrocznem zaciśnięciu patrzących ruchliwość kobiecego ciała, oginającego się w przyćmieniu kolorowych światła w obiegu dookoła pochylonej nieco ciemnej sztywności mężczyzny. Wbliżone w jedynoważność na niewyraźności dookoła okrągliło, gięło i prostowało swe zwinne przegięcia o jego ja-

sne, wyciągnięte ku niemu do uchwytu ręce, oddzielone białością manszetów od czerni smokinga. Opadało na nie, a odrzucone gwałtownie, wracało rytmiczne, spojone wpatrzaniem oczu i nieustającym uśmiechem warg z głębokim cieniem pod równymi, gładkimi brwiami w bladej jego, nieruchomej pod lśniącą gładkością włosów twarzy. Wreszcie zasunęła się w małoznaczność nieustająca w ruchu nieuchwytność rąk, nóg i głowy a zaistniały dla mnie głównie mniej ruchome, jedynie czasami przez obroty niknące drobne, oroszone srebrem piersi i nakryty srebrną przepaską tajemniczy trójwgląb zbiegu wypukłej grubości ud i podbrzusza w samym środku szerokiego zakola bioder.

bezglównem zniknięciem smokingowo cielesnego, lśniącego srebrem ruchu w jedną całość z zbliżoną ku niemu, rozruszana szmerem, trzechstronnie go obejmującą ciemnością włączony pusty środek sali

zniknął niedługo nakryty żywością kobiecych kształtów. Z nad ciągłego za rytmem melodji mieszania się, oddalania, obracania w tańcu obciśniętych dookoła ich piersi i bioder czarnoaksamitnych kurteczek, z pod nieustannych skrzyżowań trzymany w podniesionych rękach szpad powyodrębniały się spajające się z patrzącymi spojrzenia podczernionych oczu i rozśmiane rozsunięcia wyraziście czerwonych warg na mniej lub więcej pociągających rysami, wyszminkowanych twarzach, uciętych górą skośną czernią beretów z dużemi białemi strusiami piórami. Wzbudzona we mnie, rozruszana ich wyłącznem istnieniem łatwem do zdobycia ciałem, gorąca ku zamkniętej w wyuzdaniu ich twarzy tajemniczo-
nęczącej całości rozpusty ciekawość wparła się silnie w niezależnie ode mnie wstrzymującą mnie od jaskrawo odrażającego zewnątrz tych twarzy powierzchnię mnie samego — lśnienia wysokich do kolan, w ciągłym ruchu

czarnych, zgrabnych butów, oddzielonych różową grubością nagich ud od czerni krótkich spodenek — która rozluźniła się jednak pod miękkim dotknięciem smutnośmiejących się, pozbawionych wyuzdania oczu na owalu odmiennej wśród innych twarzy, nie wymalowanej tak bardzo jaskrawo. Godnością ujmującej smukłości zodosobniona w rytmicznej przynależności ruchów tańca, zalotnem kółkiem ciemnego na wysokim czole loczka, marzącym w spokoju twarzy cieniem oczu i ironiczną linią wąskich warg odcieleśniona w głębię wewnętrzznego życia myślą, wrównała się łagodną treścią swej duszy w rozprzestrzenioną we mnie przychylną jej tkliwość.

— Ma w sobie coś marząco smutnego — włączyłem „murzyna“, „św. Jana“ i „hrabiego“ w siebie. — Jest taka zupełnie inna od reszty. Inteligentna, o głębi wewnętrzznego życia — oparłem znów swe widzenie o czoło wysokie z loczkiem.

— Kurwa jak wszystkie inne — z wgniecioną naciśnięciem słów „hrabiego“ przestrzennością, przykro zniepewniony w śmieszna chwiejność, uczułem się nieswój na chwilę nawet wobec czarnych i piwnych źrenic.

— Chętniebym z nią pomówił — włączył się we mnie „murzyn“, niespokojną ruchliwością źrenic biegnąc szybko po naszych.

— O czym? — spójni naszej „hrabia“ przeciwstawił kwadrat swej twarzy, wypełniony grubością warg, nosa i powiek. — Dwadzieścia złotych to cała dla niej rozmowa. — Sprostował ramię, pociągnięte odrzuceniem się jego z nad stołu w oparcie. Skośnym w czole i linji nosa profilem nad wysuniętą pogardliwie wargą zwrócony był w rozjaśnioną znów salę.

— Co my właściwie o nich wiemy — wypowiadała miłe lekkochwiejność „murzyna“, wznosząca nas w pełnię pocucia siły nad nim, opadłym w daleką nam

plaskość. — Podchodzimy do nich jedynie od strony nóg rozłożonych i taksujemy szerokość pośladków. — „a skąd chciałbyś podchodzić — „hrabia“ — — To człowiek jak każdy inny.

— O ile nawet nie lepszy — podniosłem się w sobie.

— Przecież — potwierdził.

— Czego chcecie w nich szukać? — uderzył w nas rozdrażnieniem głosu. — Piękna duszy, ideałów i dobra? W kobiecie jest tylko ciało i zmysły. Zaspokojenie naturalnego instynktu to wszystko, czego kobiecie od nas, a nam od kobiety potrzeba.

okręcana ruchami jego palców, ciemniejsza na białej serwecie przeźroczystość okręcanego kieliszka ocierała się około tkwiących poza nią i w niej nieruchomych w miejscu światełek.

— Natura. Zgoda. — wpędzoną w wąskość słów całą moją zawistną inność przeciwstawiłem lekkim poczuciem dumy nienawistnej mi w tej chwili jego pewnej siebie wrogości. — Ale czy koniecznie to tylko najniższa, zwierzęca forma naszego bytu? Jeżeli naturą nazywamy ślepy instynkt rozrodczy, który posiada byle pies lub małpa, to w równej mierze nazwać musimy naturą każdą chęć świadomego wyjścia ponad to. Jeżeli naturą jest dla ciebie nadużywanie ludzkie wyłącznie cełom rozrodczym u zwierząt służącej konieczności rozrodczej, to taką samą naturą tylko w kierunku przeciwnym jest odbiegnięcie od niej ku społecznej, religijnej i seksualnej etyką uszlachetnionej miłości, będącej koniecznością duszy. A jeżeli myśli i czucia są ściśle zależne od fizjologicznego składu tkanek mózgu i wogóle ciała, to ta według ciebie nasza nienaturalność jest równie prawdziwą a bodaj czy nie większą koniecznością natury jak twoja. Taka sama będzie różnica i odległość między rozpadającym się na dwoje wymoczkiem a skomplikowanym ssakiem, jak między zapładnianiem byle

jakiej ludzkiej samicy a monogamicznem pojęciem małżeństwa. Powoływanie się na naturę to czasami najwyższa nienaturalność. W każdym razie uważanie kobiet za wyłącznie aparat rozrodczy i naczynie zaspokajania zmysłów nie jest wcale więcej uprawnioną „naturą“ jak pragnienie zaspokojenia tęsknot ku pięknu i dobru w doszukiwaniu się ich w duszy kobiecej. Wszystko ostatecznie sprowadza się do miejsca w ewolucyjnym...

— Nieśmiały mi jesteście — przerwał mi — to wszystko. Dla was kobieta to eteryczna zjawia bez najprostszych fizjologicznych potrzeb. Nie jedzą, nie piją, nie sr.. — A wcześniej czy później... — dodał — rozszereżając oczerwienione powieki wokoło bładoniebieskich źrenic. — Eh! Zresztą przekonacie się sami. Kobiet nie można szanować więcej, niż one same sobie tego życzą.

— Obojętnym mi czy i ile... — „bo z kobietą trzeba twardo — uśmiechał się gdzieś z boku „murzyn“ drażniąc — — pokażesz mi takich, o jakich mówisz, zwłaszcza że zapewne znasz tylko takie. Być może, że ja znam i inne. Mniejsza o to. Wiara w kobietę, to dla mnie poprostu wiara w cel życia, w ludzkość, w siebie, w wartość istnienia. Oplwanie jej, to oplwanie wszystkiego co drogie. Stosunek do kobiet to stosunek do wszystkiego. Można nie wierzyć w Boga osobowego, nie wierzyć w grzech, zło i dobro, a dążyć do piękna i dobra, ale bez wiary w kobietę nie można. To zwornik, który trzyma szeroko rozczłonkowane sklepienie naszego do świata stosunku. Gdy on wypadnie, zawali się wszystko do reszty.

wyrazistość tyłko dla siebie istnienia wtulonego w kąt kanapy łagodnego uśmieszku „św. Jana“ i obce mi zadowolenie czarnożółtoniebieskiej twarzy „murzyna“ wycofało mą w ich obcości zbyteczność w istnienie własną godnością wobec twej dalekiej we mnie niewyraźności. Zespolony z wyrazistością białości serwety, wyzbyłem się

na chwilę przykrego czucia samotnego jedynobycia, istniejąc prostowaniem palcami licznych, pełnych chropowatości utkania zagieć.

trwające już od pewnego czasu przy mnie ciężkie, chwiejne tony — Wyprostowana postać „hrabiego“ zmałała szerokością pleców zatrzymała się nad coraz gęstszym w barwny ruch wyrrywających się od stolików par środkiem sali — wślizgnęły się we mnie przemożnie wnikliwą gładkością melodji, drażliwej chropowatemi właściwościami instrumentów. Gwałtownem rozparciem wycisnęły w nieistnienie poza mną rozkawalkowanie wewnętrzznego widzenia i jedyne już w mem czuciu, wyzbyte z wgieć i wygieć wzajemnej wysokości rozplynęły się w jednię promiennego szczęścia, która, przenikając przez zniszczony opór ciała w zewnętrzną rzeczywistość, wwałiła jej realność w jedyną we mnie świadomość złotoczerwonej błogości trwania w bezprzestrzennej, bez siły ciężkości, rozplaszczonej z wąskiego ostrza terażniejszości w jedyną miarę nieskończoności czasu, przebieganej kołysaniem nieuświadamianego rytmu.

zesunięta ze mnie nagłem zanieistnieniem melodji ciepła świadomość zdolności odczucia i dania pełni szczęścia wróciła mą chłodną trzeźwość w głośną koło mnie ciszę.

— Dziwne jak taka muzyka owłada nami wprost siłą. Podbija poprostu nogi i kładzie bezwolnych na sobie, i nie da się z świadomości usunąć.

— A znowu prawdziwa, istotnie wartościowa muzyka — dodałem po chwili — przechodzi mimo nas niezauważona, o ile nie natężymy uwagi.

Niespodzianą zwykłością takiego poprostu zaistnienia tuż przy nas uśmiechu wązkich warg i kolistego loczka na czole wprostowany zerwaniem się z miejsca w wybitny nacisk drżącej powierzchni własnego ciała

dotknąłem sztywnością dłoni jej wyciągniętej ku nam nad stołem ręki.

otarta o przewrażliwione czucie mego kolana wyprężona twardość jej nogi, gdy czarna w różowe kwiatki i w długich rękawach siadała między mną a „murzy-nem“, wypełniła natychmiast w miękką dotychczas bezcielesność jej kształtów pełnię ciała w wyprężające materję stożkowate piersi, szeroką płaskość bioder i w obecność jej niewidocznych nóg, odczuwanych wyraźnie pod stołem.

przed lekko drżącą niepewnością siebie, oparta o naturalną swobodę ruchów i słów niezbędnego mi teraz, przyjemnego istnienia „hrabiego“, siedzącego naprzeciwko, trwała nowa dla mnie, krępująca me poruszenia bliskość jej podbrunatnionych oczu, bez śladu marzącego cienia. Wązka linja brwi farbą malowanego luku, podwyższonego nad nie od połowy, przedłużona daleko poza ich naturalny koniec. Dwie jaskrawo czerwone plamki w środku górnej i jedna dolnej wargi. Miękkie za duże podbrodzie wypuklane i wpuklane brzmieniem nieprzyjemnego głosu.

przeźroczyste złoto drżało w większych już kieliszkach trzymanyh przez podniesione ręce. Spiczaste, czerwone paznokcie jej silnie świecące.

— A pan? — zwróciła się ku „św. Janowi“, nieruchomemu z rękami na udach. — Co za męszczyzna s pana?

kąciaki ust wbiegły mu w nabrzmiałą tłustość policzków.

— Mężkość według fizjologii to podobno coś całkiem innego.

wciąż wyraźna jej, ciepła dotknięciem ud, trójwymiarowa obecność przy mnie.

matowostalowa w białości serwety plama wilgoci coraz większa wobec opadającej szybko, żółtej, dolnej

części wysokiej flaszki, okrągłej od błysków we szkle.

naokoło nieprzeźroczystości, czernią w różowe kwiatki osłoniętego wnętrza, zakrzepłego beztreścią popolitości głosu, osklepiona odpychająca powszedniość zewnątrz ciała i bezgłębna bezmyśl oczu odprężyła mnie z wewnętrznego ku niej dążenia. Jedyne widzeniem odczuwana, zmiotczała w sobie, istniała wraz z innymi obok mego znudzonego i znużonego opadnięcia w kanapę.

ale ledwie znikła pod ramię z „hrabią“ w słabem świetle bocznej uliczki, we mnie już tylko w widzeniu będącą dla mnie jej smukłą, miękką postać odcieleśniło zaraz pierwotne rozmarzenie pełnych głębi tajnego życia oczu.

W widzeniu mem jedynie dotąd, daleko ode mnie, nieruchomem na podjum zastygnięciem w piękno istniejące nagie jej kształty weszły blizkiem ciepłem kobiecej cielesności, żywej zaniepokojeniem wstrząśniętych głuchem uderzeniem bosych stóp o podłogę miękkich, kremowych piersi i powabem ciemnego trójkąta łona, w silną krótkość odczucia jej mną całym, zanim przed niezmienną nad śmiesznem, brzydkiem w ruchu bosego stąpania trzęsieniem się delikatnych, różowych pośladków gładkość śniadych pleców nasunął się zakrywający tę jasność czerwony parawan. Opięte na drewnianych ramach czerwone płótno zadrgało, i niknięciem i zjawianiem się na niem ostrych, zmieniających miejsce krawędzi, wypukłości i wzgórków trwało między mną a niewidoczną dla mnie lecz wyczuwaną poza niem wyraźnie obecnością jej ciała.

Nagle płótno wyrównało się. Przed płaskiem bezżyciem ściany plastyczna żywość złotoopalonych jej ramion obciągała w dół sfałdowaną na masie szerokich bioder popielatą, z niebieskimi wkładkami na piersiach, obcisłą, krótką do nagich kolan sukienkę.

— Wy chyba nic dziś nie macie na sobie, tak szybko się pani ubiera — powiedziałem z uśmiechem.

zajaśnienie równiutkich białych zębów w ciemnoczerwonym rozciągnięciu warg włączyło jej radość w moją.

jasnozielonawy, prosty przedział w gładkim owalu ciemnych włosów znalazł się tuż nad otrzepującymi dół przyległej do wypukłości uda sukienki rękami, które

wkrótce z zwijanej w gruby walek białości skarpetki wylaniały żółtą, silną, niecienką kostkę zgrabnej w swej krótkiej, zwartej grubości, włoskami drobnymi pokrytej, na gipsowej głowie postawionej nogi. Wstrząs wyprostowanej głowy odrzucił włosy z nad zaczerwienionej twarzy.

Oddalając z rąk gruzelkowatą ślizkość rozmoczonej w wodzie miednicy gliny, obejmowałem widzeniem ciemny pod światło, w lustro nachylony jej profil. Wpylona w puszystość wąziutka linijka światła obrysowywała zaokrąglony kwadrat włosów, od równego ich ucięcia nad krótką szyją aż do grzywki na czole. Cień trzymającej puszek z pudrem ręki zasłaniał co chwila nitkę światła, z prostego nosa cofającą się schodkami warg ku trochę naprzód wystającej brodzie.

— Strasznie przyjemnie się pani przyglądać. A najwięcej to tym figlarnym zakrzywionym ogonkom — dodałem po chwili — wchodzącym w policzki. Muszę się na przykład przyznać, że nie lubię pani podawać płaszcza, bo wolę patrzeć z daleka, jak zgrabnie go pani wkłada.

— Zepsuje mnie pan do reszty — uśmiechnęła się w lustro, wycierając twarz chustką.

z złotej w palcach puderniczki zdmuchnęła krótką jasność w szarość przed sobą. Nad błyszczącą złocistością zamknęła porowatość torebki. Między wyrosłą jasnością podniesionych, pełnem światłem oświetlonych, miękko w łokciach zgiętych ramion granatowy berecik naciskał się na gładko czesane włosy.

— Już pani idzie? Szkoda. Ale popołudniu jak zawsze?

Nieruchome trwanie w spokoju ciszy pełnego bezżycia wnętrza czterech ścian, pozbawione widocznej w oczach, uśmiechu, głósie, zamkniętej w objętości ciała jej samej.

W szarozieloną tymczasowość bezwładu gliny na niskim kawalecie wpatrywaniem wwierając z siebie mające w nią wejść życie formą, niecierpliwy pragnieniem dalszego jej kształtowania wyczuwającymi braki palcami, stałem w niemocy nad nudą szerokiej dziury urwanego czasu, którego bieg dalszy w ogromnie dalekiem jutrze.

Szare, szorstkie, owinięte dookoła szmaty, oblane wodą, ściemniały i zmiękły. Zzieleniło się, pozbawione żółtości zeschnięcia, powalanie gliną na drzewie kawaletu. Ciemne pod nim, jaskrawożółte miejscami plamy wilgoci, wszczepione włoskowatym wnikaniami w jasność zaglinionych desek podłogi, rozszerzone teraz gwałtownie w obrównane brzegi, uniosły w górę odbite w nich srebro odwrotności okna, drgające wciąż od opadających w dół kropel.

żółta gorącość słońca z zaoknia wobec niebieskawego chłodu białej martwoty gipsowych form, rozłożonych wokoło pracowni.

dookoła złotej w zamkniętych oczach czerwieni prześwietlonych powiek słyszalne drżenie przestrzeni, dalekiej od rzadkich wpadnięć blizkich, zgłuszonych okrzyków i szmerów nad przyległym na piersiach, na brzuchu, na rozłożonych bez ruchu nogach, i na opartem o wilgoć czoła ramieniu naciskiem gorąca. Z pod pach i od strony braku ciepła co chwilowe, lechtliwe, wolne zbiegnięcia chłodnego potu na piasek.

Nierówne opadnięcie zimna na brzuch i nogi rozsunało mi nagle powieki, odrywając od piasku plecy ku podkurczonym pode mnie łydkom.

mokry, kudłaty pies tkwił szybką wibracją sierści w otaczającej go mgłę rozbitej na drobny pył wody.

— Pódziesz! — krzyknęła za zadartym w biegu ogo-

nem, unoszącym się i opadającym wraz z zadem nad przeskakiwanymi kamieniami.

— To bydlę! — uśmiechnąłem się ku niej, trąc dłonią swędzące od szorstkości piasku plecy. — I to tak w sam raz przed nami.

cienie drzew z tamtego wysokiego brzegu były już na powierzchni wody, drgając na niej nieznacznie w konturach.

łśniąca jedwabistą wilgocią czarnego, przyległego dokładnie do wypukłości piersi i wgłębień brzucha kostjumu zgrabna kobieca nagość utrwałała się przez chwilę w mojem widzeniu, gnąc się i chyląc z oddalaniem od tułowia ramionami, w ostrożnem stawianiu nóg na ostre kamienie, podsuwające się pod nią wraz z brzegiem, aż malejąca plecami zaczęła oddalać się istotnie po nieruchomym już pod nią brzegu rzeki.

— Właściwie każda odpowiadająca kobieta powinna się przymusowo, na nasze żądanie, oddawać nam jako model — głos „św. Jana“ wrócił znów przede mnie miłość jej twarzy i jego poza nią na piasku rozciągniętą jaśniejszość ciała.

— Byłyby to kobiety upadłe w sztukę — uśmiechnąłem się.

— Byłyby to przedewszystkiem piękne — powiedziała.

— Interesujące tylko, nie piękne — dorzucił.

— Wy art... przepraszam, malujący, rzeźbiący szukacie wyłącznie piękna. Sztuka to piękno.

— Piękno — powtórzył „św. Jan“ cicho. Leżąc z podpartą na łokciu głową, gładził drugą dłonią nierówny piasek przed sobą.

ta sama wciąż w ciągłej inności, ciemnobrunatna masa wody sunie bezgłośnie, niezmordowanie wpływając powierzchnią wciąż sama w siebie migotliwą krótkotrwałością maleńkich, wszędzie na niej, spiralnych lejków.

Wpół leżąc, podparta na łokciach, tkwiła żrenicami z pomiędzy podniesionych ramion na ruchu wyprostowanych nóg, które roztwierając się i zamykając, zgarniały między siebie zielony piasek, przesypujący się niekiedy ponad żółte kostki zpowrotem w wygrzebane piętami półkoliste wgłębienia.

— Pani to ma w sobie taką jakąś niezwykłą prostotę bycia — powiedziałem nagle. — Przy pani poprostu nie można być nienaturalnym.

Nogi jej ustały w ruchu. Kącik warg wzniosł się i opadł.

— Czy wogóle można być nienaturalnym? — spytała, nie patrząc na mnie. — Każdy jest chyba tym, kim być może i musi.

— A jednak jedni wydają się sobą, a inni zupełnie nienaturalni. A pani to czyni wszystko z taką ujmującą prostotą, bezpretensjonalnością, szczerością, jakiej się u kobiet naogół nie widzi. Przy pani traci znaczenie wszelka dwuznaczność i nawet, proszę mnie źle nie zrozumieć, wstydlivość. Wszystko jest, jakie jest. Poprostu pragnie się z panią rozmawiać o wszystkim, nie czując potrzeby tajenia. W tem jest dla nas, proszę mi wierzyć, niezwykły i rzadki urok.

— Dziwi pana, że zgodziłam się tak łatwo być u pana modelem. Zdaje mi się, że prawie każda kobieta, o ile nie uważa się za wybitnie ~~nieładną~~ (czy jest taka? — uśmiechnęła się) a zwłaszcza gdy jest zbudowana dobrze, będzie raczej dumna z uznania jej za godną, i nie odmówi, o ile się ją umiejętnie do tego nakłoni. Pierwsze zażenowanie zmieni się wkrótce w taką samą naturalność, z jaką poddaje się badaniom lekarza. Nie uważam by ten kawałek szmatki na mnie miał co ze mną wspólnego i bym była inną bez niego. Jestem jaka jestem — dodała, uśmiechając się do mnie. — A przy tem mam tę radość, że przyczyniam się do powstania czegoś,

co było dla mnie zawsze czemś dziwnie wielkiem i cennem.

Głowa jej opadła na podłożone ręce. W jasnej pasze, ujętej w przerwany ciemniejszym ramieniem owal ramiączka suchej materji kostjumu ciemny pęczek włosów. Patrząc nieruchomemi źrenicami w niebo, podciągnęła ku sobie nogi, zwierając łydkę z udem nabrzmieniem mięśni wokoło łukowatej linii zetknięcia.

— Pani nie umie chyba kłamać?

— Nie umię. Chciałabym umieć. Nie dobrze jest być szczerą zanadto. Nie dobrze nie umieć kłamać.

zmięta, mała popielatość sukienki przy białości skarpetek, obok wiśniowych cząstek nakrytych niemi bucików tuż przy jej głowie, niedaleko krzaku wikliny.

— Nie umię tego w słowach wyrazić, ale ja ogromnie potrzebuję swobody. Boję się być skrepowaną. Boję się więzów.

— Kiedyś i na to czas przyjdzie.

— Dziękuję. Na razie mi dobrze samej. Chcę się jeszcze rozglądnąć po świecie.

— A miłość?

— Która — zaśmiała się — od „miły“?

— Tamta.

— Miłość... miłość to wielkie...świństwo — rzuciła szybko i, zaczerwieniona aż po piersi, zerwała się natychmiast.

naciskiem jej słów wywołane wrażenie beczucia w sobie rozsunęła wkrótce przyjemność oparcia się widzeniem o nieruchome nad wodą piękno jej formy.

— Zabawnie to brzmi w jej ustach, u niej, która cała jest jakby do miłości w obydwu znaczeniach stworzona. — poruszała palcami stopy w wodzie — Ogromnie lubię nadzwyczajną zwartość jej ciała — powiedziałem ku „św. Janowi“, który uśmiechał się, patrząc na nią. — Ona dopiero bez sukni jest sobą. Poszczególne

części jej ciała, z wyjątkiem piersi, nie są może bez wad, a zwłaszcza nogi, nieco za grube w kostkach, ale wszystkie szczegóły nikną, związane w doskonałą jedność wrażenia zwartej jędrności kształtu, przebiegającego pod jakby zaciąsną skórą. Nie widzę w niej ani rąk, ani nóg, ani twarzy, tylko zawsze statyczną doskonałość spojonej w sobie niezwykle formy całości. Przez to, że mi się w wrażeniu nie rozpada na części, jest dla mnie naprawdę piękną — odepchnięta o nasze ku niej uśmiechnięte spojrzenie odwróciła się znowu w pochylenie nad wodą. — Strasznie z niej rozkoszne stworzenie. U innych kobiet nieprzeźroczysta powierzchnia ciała nakrywa sobą odpychającą w nich, dobrze nam znaną beztreść myśli. A ona zdaje się przeźroczysta zupełnie swem nieznanem nam myśłacem i blizkiem wnętrzem. Przez to prawie jest dla mnie nietykalną i nie budzącą pożądania. Doskonale się z nią czuję i przy niej, ale nie wiem, czybym się mógł w niej tak prosto jak w innej, zwyczajnie zakochać.

— Mówiłam, że nie dobrze być szczerą — z lekkim uśmiechem dochodziła ku nam powoli. — Co teraz pomyślicie o mnie.

— To, że jest z pani złota dziewczyna — wypowiadam siebie do niej ku górze. — Cudownie prosta, droga nam i przez nas wszystkich ogromnie kochana. Czy pani wie, że my panią od dawna już nazywamy w naszych rozmowach „Jasną“?

nasunięta na mą z jej rozjaśnionej twarzy przyjemność, wkładana przez podniesione ramiona i głowę zmietłość wiotkiej, popielatej materji uspokoiła się i wyrównała w suknię wokoło odkształconych ukryciem pod nią bioder i piersi.

„Św. Jan“ poruszył się siadając. Jaśniejsze, podkurczone pod brodę kolana oddzielił od stóp ciemniejszym objęciem ramion.

— Nikt, proszę pani, nie szuka właściwie piękna — mówił przed siebie w wodę. — Ani my, ani nikt inny.

— Jakto? — spojrzała ku jego zwróconym ku niej podniesieniem i obróceniem głowy żrenicom.

— Każdy ma w sobie sobie właściwe piękno. Nikt nie szuka chęci jedzenia, bo chęć jedzenia ma w sobie... Niema żadnego stałego, absolutnego poza nami piękna. A i to w nas samych nieustannie się zmienia. Stałą jest tylko chęć doznawania piękna. Równie konieczna jak obiad, o ile się rozwijamy normalnie. Piękno to pewien wzajemny do siebie stosunek barw, linji, formy, dźwięku, wyobrażenia, który czyni naszym zmysłom wrażenie przyjemne, czyli szerzej: zajmuje nas poprostu. To co jest naokoło nas nie jest brzydkie ni ładne. Jest tylko. Piękno narzucamy zewnątrz z siebie my sami tam, gdzie znajdujemy żądane stosunki lub gdzie stwarzamy je sami, przyczem przyjemne dla jednych może być i bywa przykre dla drugich. W nas samych piękno nasze ulega ciągłym zmianom. Dziwię się nieraz, że coś mi się mogło kiedyś podobać. Nazywamy to: wyrabianie smaku, znawstwo, postępowanie naprzód. Dlaczego? Poprostu zmiana, zwykła i naturalna naszym dążeniom. Czem kto więcej się pięknem zajmuje, tem szybciej je w sobie zmienia. Dla podrażnienia zubożetniałych poprzedniem zmysłów szukamy nowego. Istotą pocucia piękna, nieświadomą prawie jest użyteczność dla nas oglądanego przedmiotu. Chłopu podoba się koń silny i rośli, hodoocy wyścigowemu tak smukły, że się o mało w brzuchu nie przerwie. (dla mnie, nawiasem mówiąc ten ostatni paskudny) Inny ideał zewnętrznego piękna kobiety ma ten, który od niej wymaga tylko gospodarstwa, dzieci i zmysłów niż ten kto szuka i duchowego współzycia. Gama grecka służąca kiedyś innym celom jest dla nas jakaś niepełna. Inne jest piękno kobiety ubranej a inne piękno ciała. Niezwykle smukła w ubraniu, bez niego

może być nawet odstraszaająca chudością, gdy niejedno piękno nagości w ubraniu zupełnie ginie.

— Ach! — krzyknęła nagle „Jasna“ — jak ślicznie! powietrzem przed nami przepłynął łukiem, sam jak łuk wygięty, wysoko nad rozwartą wyrwą w ziemi duży wilczur i dosięgnawszy ziemi małał gwałtownie podskakującym zadem dalej nad brzegiem. Płaska, długa łódka rytmicznorównymi odrzutami białych wiosel posuwała się biegiem po będącej już zupełnie w cieniu drzew wodzie.

— Piękno jest z nas a nie z poza nas, z zewnątrz. Piękno to trwanie w pewnej wzajemnej za- i należności, użytecznej nam najszerszą użytecznością. Rytmiczny ruch łodzi mknącej, pies nieruchomy wygięciem w powietrzu to piękno. Ta sama łódź przewrócona, ten sam pies w migawkowym zdjęciu, pochylony do środka łapami, z językiem pełnym zmęczenia naogół nie będzie pięknym. Ktoś z daleka piękny, zbliżka wystąpieniem szczegółów zmieniony w wzajemnym stosunku swych składowych części staje się brzydkim. Mówimy: zdawało nam się. Ale on wtedy istotnie był pięknym. Piękność kobiety brzydnie w grymasie złości, a brzydota staje się piękną niekiedy w uśmiechu. Radość wolimy niż smutek i stąd z użyteczności piękno.

z bucikami w ręku siedziała nieporuszona twarzą ku wodzie.

— Ale dzieło sztuki jest pięknem — powiedziała, nie odwracając głowy.

— Widzimy w niem piękno — spojrzał ku jej nieruchomości. — Obraz, rzeźba, utwór słowa, kompozycja muzyczna, budynek, obraz na ekranie, na scenie jest tylko pewną utrwaloną w materjale zapomocą elementów danej dziedziny wypowiedania się nową wartością, stworzoną przez twórcę zainteresowanego czemś z szeroko pojętej natury. Bo natura to las i krowa, drapacz

chmur i brud na ścianie, maszyna, słowo, myśl własna i cudza, żywa i zakrzepła w książce, a nadewszystko ja własne świadome i nieświadome. Własne w czemś piękno może, choć nie musi być powodem zainteresowanie się twórcy. Dzieło sztuki jest wartością jak każda inna. ni piękną ni brzydką. Dopiero my patrząc czy słuchając, odczuwamy w niem lub nie to, co uważamy za piękno, zależnie od tego, jaki stosunek wzajemny do siebie elementów danego rodzaju tworzenia jest dla nas pięknym. Piękno nasze wysubtelnia się, powiedzmy: specjalizuje bez przerwy w miarę stwarzanych ciągle zmiennymi zainteresowaniami się twórców nowych wartości. Zainteresowania tworzą nowe wartości a przez to i nowe piękna. Piękno to rzecz w nas wtórna, w miarę oddziaływania wnętrza. Czem więcej zmiennie i podległe wpływom, tem więcej daje radości. Znaństwo to poddawanie się wpływom a brak swego wyłącznego zdania. Mieć radość z „sztuki“, to nie mieć własnego zdania. Tworzyć zaś to wyłącznie mieć tylko swe zdanie.

nieporuszonosc jej przed siebie zrenicami nieruchomej twarzy jest jeszcze w słońcu. — Wydaje się to teraz pani zapewne zanadto skomplikowane. Ale gdy tak właśnie podejdzie pani ku tworzonym i stworzonym wartościom, wszystko stanie się zrozumiałe i proste. Równą radość sprawi Venus kolegi Praksytelesa jak i kolorowy niebotyk kolegi Corbusiera. A gdy z tamtą pozorną prostotą poza naszego, niezmiennego ideału piękna i „sztuki“, nie zrozumie pani nic i wejdzie tylko w głąb rozczarowań. Nie tylko w tem zresztą, we wszystkim — dodał, powolnem podniesieniem się głową i pierśmi w jaskrawej żółtości światła nad zniebieszczonemi nagle nogami, pozostałemi w cieniu.

— Tak — włożyłem się w przyjemność mówienia ku niej. — Potem „sztuki“ się już nie widzi, ani nie wie czy wogóle istnieje. Nie wie się gdzie jest i co jest

i czy wogóle jest piękno, ale czuje się niezwykle rozkosz podbierania ręką człowieka przerobionego materiału z nieruchomego w nim współistnienia wzajemną zależnością przyjemnych nam linii, barw, form i kształtów, coraz to innych i ciekawszych swem pięknem z narastaniem nowych wartości. To, co kiedyś zdawało się wprawdzie wielkie, ale niedostępne i niezrozumiałe jak daleka oślepiająca kula, niedostępne i niezrozumiałe nie istnieje już. Jesteśmy jakby w jej środku, wobec składających się malutkich, pozbawionych wielkości cząsteczek codziennych poczynąń poszczególnych rąk ludzkich. Ale wyczuwana w ich istnieniu blizka, dostępna nam radość patrzenia w nie jest już dla nas nieodzowną koniecznością higieny ducha.

nagły dreszcz wrócił mnie z szerokiego istnienia czemś wielkiem w wstrząs poczucia siebie.

— Chłodno już — stwierdziłem głośno.

milcząc nachyleniem twarzy ku trzymanym w ocienionych rękach bucikom, zaczęła „Jasna“ wkładać w nie powoli obieloną skarpetką stopę.

„św. Jan“ rozglądał się, pocierając ręką po ciele.

niewyraźna w kształcie na nieco mniej ciemnej ścianie czarność bylej formy dzbanka, wwyższonej w nią cieniem paczki, jakby jeszcze wypukła słabem niby błyszczeniem w mroku wrównujących się w siebie jednakobezbarwną szarością cieni i zagasłych płaszczyzn byłych światel, wessanych przez „górne światło“.

przełamaniem się w szmery powierzchni kanapy wrócona znów w moje czucie obecność przy mnie „Jasnej“ podeszła nieznacznym ruchem pod uwyraźnione u spodu mego szerokiego trwania ciemnią ciszy pośladki. Szelest sukni rozszarzył ciemność podłogi wokół zjawionej na niej zupełnej czarność bućka o niskim obcasie i grubej kostki nogi założonej wysoko na drugą, skrytą dla mnie w cieniu kanapy. Na zdwojonych poza tem w cień i szarość udach „św. Jana“ kręte fałdami wyprasowania kantów.

— Nie wiem czemu — podszedłem głównie ku niej sobą, wyjaśniając jej niewidoczną odczuwalność w sobie, a ledwie dotykając czuciem nieznacznego istnienia poza nią „św. Jana“ — ale gdy tak patrzałem na nich, na niego i na nią, to jakby nie była to miłość. Widziałem w nim zabawną, dziecinną prawie o nią, niespokojną troskliwość, a w niej tę jej odrębną całość i wyłączność zamknięcia się sobą w nieznanem swem byciu... Bo ciekawe, że właśnie wtedy zaistniała dla mnie naprawdę. Rozprawialiśmy długo, my mężczyźni o kobietach i o miłości a ona milczała i tylko raz lekko uśmiechnęła się w sobie. Zapytałem się jej, ot tak sobie, bez zaintereso-

wania się nawet, czemu się śmieje. Powiedziała tylko: nic, nic, tak sobie. Nic więcej. I odrazu, nie wiem skąd i dlaczego przestała być dla mnie czemś płaskim, o które wzrok się oślizga, a zaistniała jakąś wpierającą się w wzrok przestrzennością, zamykającą w sobie istotność rzeczywistego istnienia odrębnem, obcem mi życiem myśli. Uczułem się prawie zmniejszony przez to i nie mogłem nie popatrzeć w jej nagle mi objawioną ludzką pełnowartościowość z szacunkiem, i może nawet jakby z bojaźnią. I odrazu zaistniała dla mnie równocześnie i jako kobieta, choćby tem, że spostrzegłem, iż nie jest wcale, jak dotąd myślałem blondynką... Otóż, być może, że przez to on wydał mi się przy niej jak podskakujący na sznurku splaszczony pajac, zabawnośmieszny tem, że chciał kiedyś kierować tą nagle dla mnie w samodzielność, najzupełniej od niego uniezależnionego spojrzenia na świat przestrzenioną jaźnią. Wiem, że on ją kocha i że ona go kocha... — oddalony od słyszenia samego siebie wwartą nagle we mnie z delikatną siłą bezzmysłową, niewyraźną cielesnością kobiecej jaźni podsunąłem się gwałtownie pod ciepły, twardy drzeniem, nacisk skroni złotoświetlnem wniknięciem w zupełne z jej jasnością zrozumienie, trwając wpojony w bezczasową bezprzestrzenność szczęścia. Z silnego odczucia miękkiego, wyraźnego szczegółami wypukłego kobiecego ciała „waza alabastrowa z wetkniętymi w nią kwiatami zewnętrznych powabów, syconemi nieskazitelną duszą, spojona z ciałem w piękno“ — Zresztą samo to słowo: kocham—wydźwignąłem się po dłuższej chwili wysiłonym wstrząsem ponad czucie wjednoczenia dwujaźni, unosząc z sobą malejące powoli płatki skroni — jest jakoś zbyt twarde w dźwięku. Szkielet jego zupełnie prawie przeciwstawia się temu, co między dwojgiem ludzi zachodzi. Słowo: zakochałem się, położone między mną a kimś innym, jest obce niewspółmiernością,

ubliżające nawet swą drewnianą oschłością. Już słowo: miłość ma w sobie coś więcej, gdy się je mówi, ale jednak położone w czuciu pomiędzy dwoje ludzi jest niczem. Ale właściwie żadne słowo nie nadaje się na określenie tego, co dzieje się, gdy w naszym wewnętrznym widzeniu i wewnętrznej mowie „ona“ zmienioną już jest na „ty“, zanim jeszcze dźwięk ten wypowie się w mowie głośnej. Słowa te w uczuciu jak kamień w żarze rażą swą czarną, obcą maleńkością.

— Dziwna jest magja słów — utożsamioną ze mną, rozciśniętą szeroko w mroku, jasnawą we mnie pustkę podparła opadnięta nisko w kanapę luźność dźwięków głosu „św. Jana“ rozdrobnieniem z wyczuwalnych z nim warg, wyraźniejszych od jego nieistnienia sobą w ciemności. — Są jakąś zbitą, ściśle określoną i ograniczoną w sobie całością, budzącą w nas silny oddźwięk a gdy znajdziemy się w środku składającego się na dane pojęcie, w miejscu i czasie w niedosięgalność czuciem rozmazanego, rozdrobnienia w rozliczność faktów, to istnieją te tylko nagie fakty, przyciągające, odpychające lub obojętne, ale samego tkwiącego w słowie pojęcia niema. Na przykład: morderstwo, zbrodnia. Byłem raz na rozprawie sądowej. Zeznania oskarżonego, świadków, pytania sądu, mniej lub więcej ciekawe, czasem odrażające tem wdzieraniem się w życie jednostki. Oskarżony zwykły jak inny człowiek. Budził nawet sympatię we mnie tem czemś zamkniętem w nim, może energią czynu, a może poprostu tem, że był w danej chwili bezbronny. Było narzędzie mordu, były okoliczności, były słowa o czyjemś zejściu za świata przez niego. Ale w tem zbiegnięciu się takich mimo wszystko codziennych faktów jednego nie było: zbrodni. Rozlazła się niejako, rozmieniła na drobne. I nie było nawet zbrodniarza. Nawet później, długo jeszcze potem, to wszystko widziane i słyszane, nie dało się jakoś ściągnąć i złożyć

w: zbrodnia! i zbrodniarz! Powtarzałem w sobie: to była zbrodnia, to był zbrodniarz. Rafinowany nawet. A mimo to, czego jako rozłożonego w czasie doznałem nie dawało mi nic z tej wielkiej wzruszeniowej siły jaka tkwi w krótkim pojęciu: zbrodnia. Porozkładane na płaszczyźnie ziarenka całości nie mogły najść jakoś na siebie w całość wrażenia. Dopiero po długim czasie, gdy siła odczutej rzeczywistości zmaleje — dość wyraźne już teraz z boku patrzenia jaśnienie na ciemni dzban-ka — podchodzi swą skupiającą się resztką w pojęcie i stwarza z niem jedność. — dotknięte bezpośrednio środkiem mego widzenia, zadrgawszy wwążeniami, nachodzone przez przelatujące przed niem coraz szybciej półksiężycowate cienie, skurczyło się i znikło całkiem pod ich zgęszczeniem. Ukazało się jednak natychmiast zpowrotem, gdy środek patrzenia oparłem na pozornej wyrazności odgraniczenia od ściany, stojących obok, ledwiewidocznych krosien.

— Ja też — rozszerzyłem się zaraz głośnym sobą ponad już nieistnienie jego głosem, cofając się zmęczonym wwołaniem ruchu cieni na zanikłą pod nimi ledwowyraźność krosna widzeniem ku sobie — powtarzałem bez przerwy: to jest jego, ich ślub, ich wesele, ale tego wszystkiego jakby nie było. Nie czułem zupełnie, by działo się coś wielkiego, przełomowego dla nich, co tkwi jasne do odczucia w tych słowach. Za zwykłe to wszystko było, za codzienne, za rzeczywiste prawie. Zły byłem nawet na siebie za to, bo ogromnie przecież go lubię i wiem czem to dla niego było. Cóż kiedy znudzony byłem raczej, niechętnie krytyczny a tego wielkiego, ważnego w sobie, ku czemu przecież jechałem, nie czułem.

podsunąłem się zwyrażniony otarciem na rękach nieco ku gorze.

— Możliwe — odczucie pleców nikło powoli w opar-

cie poza mną—że przyczyną tego jest i całe tło w którym się to odbyło. Wnętrze domu, będącego tylko odskocznią do życia w polu i gospodarstwa. Dom w którym się śpi, choruje i rodzi dzieci i w który się nie ponad to, co najkonieczniejsze nie wkłada i to bynajmniej nie z braku pieniędzy, lecz z braku potrzeby. Gdzie odłóżące od ściany tapety równie nie rażą mieszkańców jak i ich wzory wraz z olejnymi, w bronzowanych ramach „ręcznymi“ na płótnie powiększeniami widoczków jakichś i kwiatów, dziełami ciotek lub babek, a którym jeszcze pajaki i muchy nie zdołały nadać cech starej, flamandzkiej szkoły. Jedynem czemś ponadmaterjalnem w tej dorywczosci istnienia był dźwięk rozstrojonego fortepianu. Sam dźwięk, nie zespalanie tych dźwięków. Sama metaliczna wartość potraconej w nim struny, wibracją swą podchodzącej rozkosznie aż w środek serca. A właściwie może nawet nie ta dorywczosc domu, ile jego właśnie odcodziennienie się na tę jedną krótkotrwałość nocy. To zepchnięcie tej, choć przykrej, ale jednak normalności w odtrącający bezład kulis dla efektu teatralnego chwili. W bezład usuniętych na strych i do sieni porozbieranych łóżek, szaf i reszty mebli, młodszych dzieci uśpionych po kątach w kuchni. Ta wykolejona z biegu ogromnym dla chwili wysiłkiem normalność nadawała temu usuwającemu ją dzianiu się, rozpostartemu w jej należytnej przestrzeni, przykrą, pasorzytniczą dorywczosc, trywialność wprost, potęgowaną hałaśliwością i ruchliwością obecnych oraz ochydnością zakulisową, niewolnikami ku radości panów przepełnionej kuchni, zaśmieconej resztkami błyszczącego stołu. A do tego własne wysunięcie się nieprzespaną nocą z normalnego czucia w niesmak zmęczenia. I przytem ta świadomość przypadku, że akurat tam dostał po skończeniu studjów chwilowe zajęcie, przez co ją najzupełniej przypadkiem poznał. Że równie dobrze mógł

trafić na tysiąc innych, gdyby nie ta przypadkowość, narzucająca nam tak wprost od niechcienia to, co winno być wynikiem najgłębszego wzajemnego doboru, a co najważniejsza: woli i chcenia. On, widzi pani, nie jest przytem tym, któryby proch mógł wynaleźć. Celem jego jest nie samotwórcza praca, ale przez nią możność wpłynięcia w uspokojenie się normalnością o dom własny opartego życia. Życie jego nigdy nie było łatwem. Prawo i materialna zależność, i to wcale nie luksusowa, łączyło jego rodzinę. Nie było w niej tego trzeciego boku, który zamyka żyjących z sobą w trójkąt dośrodkowego ciepła. Pustką i zimnem wiewało przez otwór do wnętrza. Przyzwyczajenie i swoista ku niemu, nie wypowiedziana zresztą zbytnio na zewnątrz, miłość ojca i matki łagodziła naogół ostrości. Ale najczęściej przez niego przechodziły wszelkie domowe spięcia i burze, szarpiąc nim podwójnie, bo ze względu na siebie i innych. On nigdy o tem jako o krzywdzie nie mówił. Przeciwnie. Spokojnie, naturalnie, bez żalu, jakby stwierdzał najnaturalniejszą rzecz w świecie. I teraz ostatecznie znalazł się w świątyni miłości, on który zawsze powtarzał: wielbię świątynię miłości ale wolę jej zaciszne kapliczki. Na kalendarzu „murzyna“ powinny już więc od-tąd być dni tylko same czerwone.

pod moje rozejście się przykrością twego dalekiego ode mnie istnienia podeszła zolbrzymiona na całą ciemność, jedynie w niej wyraźnie obecna, dokładna określo-
ność tykania.

— Zegarek — szepnąłem, istniejąc tem z przyjemnością czas dłuższy.

— Zastanawiam się często, co mnie w nim właściwie pociąga. Nie mówię z nim o własnych plastycznych wy-czuciach. Zresztą o tem mówić wogóle trudno, to wy-żywa się wystarczająco w pracy. Przytem czuję po jego wzroku i zdaniach utartych, które czasem wygłasza, że

to co robię jest dla niego czemś najzupełniej dwuwymiarowo płaskim, oglądanem poprostu przez grzeczność. Ja jego zajęcie znam właściwie tylko z nazwania i obojętne jest mi co robi. To co czuję, to tylko potrzebę oparcia się tem, co jest mną poza pracą, odczuciem w stosunku do reszty wrogiej mi ludzi o właśnie to, co jest z niego też poza zajęciem i też nim w stosunku do innych wrogich mu ludzi, i to nie wrogich świadomie, lecz tylko innością siebie. Poprostu nie muszę przy nim czuć siebie zbiegniętego własną odrębnością w obronność jak wobec tylu innych — przypadkowym zetknięciem się naprężoną powierzchnią swej ręki z mą odrazu wyolbrzymioną w czuciu dłonią zwyrażnioną w istotną przy mnie obecność, narzuciła się na mnie z zbyt silną cielesnością ciężaru ciała. — Przepraszam — oderwałem szybko rękę, rozbiegłem po mnie promykami drgania rzucony nagle ku lampie.

— A to ładnie! — wsunąłem się natychmiast po przejściu oślepienia poza uśmiech i słowa z uczuciem lekkiego wypadnięcia za nawias wobec ich zaistnienia w rozjaśnieniu pracowni podemną. — Będę naprawdę o panią zazdrosny. Wysiłam myśl, by was jak najlepiej zabawić, a wy się tu bawicie jak dzieci. A cały czas czułem jakieś chrześzczenia i błyszczenia w tej stronie.

— Chciałbym się móc bawić jak dziecko — mrużył jeszcze wraz z nią pod zmarszczkami czoła powieki, trzymając w zamkniętej dłoni zwisającą jeszcze z jej palców białosć sztucznych, małych perełek — przynajmniej wtedy byłbym naprawdę sobą.

— A teraz musicie odprowadzić mnie obaj do domu — sprostowała się sobą przede mną. — Bo my kobiety dorastamy już może do swojej wolności, ale wy mężczyźni długo jeszcze nie dorośniecie do naszej — do dała z uśmiechem źrenic na zegarku na rękę.

Drobność rozlicznych, czarnych znaczków zaistniała nagle szarem na białej powierzchni ułożeniem w całość ustępów, z których zewnętrzności, obcej mi nieznajomą, płaszczyzną patrzenia jedynie przebieżoną, ukrytą w nich treścią wylaniały się coraz to inne poszczególne słowa w zrozumiałość, nie łączoną jednak przeze mnie w żaden rozumiały związek. Poza zwiększone rozpętnieniem w niewyraźność zamglenia ułożenie liter w rzędkie wszerzyła się, oddalając je, twoja siedząca na kanapie w widzeniu obecność. Wbliżyła się ku mnie tak bardzo, że objąłem ją silnie wywłaszczonemi z ciała rękami, czując przyjemność okrągłej, cieplej delikatności twych ramion w zaistniałej lekkim drżeniu powierzchni mych rzeczywistych dłoni trzymających w nieruchomem oparciu się łokciami o poręcz leżaka otwartą przede mną książkę. Daleką za tobą, poprzez twą przeźroczyłość i przeźroczystość dookoła pracowni, niewyraźną u kresu dnia chwilą zobaczenia się z tobą usuniętą na chwilę na bok, znajdujesz się zaraz wraz ze mną w zielonej szarości, odgradzonej płomienną czerwienią od zielonego w zaokniu słońca, poddając dłoń memu wzruszonemu nad nią nachyleniu. Zwiększona w wyłączne widzenie niebieskawa jasność posiatkowanej porami twej dłoni trwa chłodnem napięciem tuż przy wyrażeniu przeze mnie odczuwanym, poza mnie wyszłym zewnętrznym konturem warg moich przychodzę by wrócić zastaw — uśmiecham się w nieruchomych wargach — ceną zastawu jest pani naprawdę? — z przechyloną, rozszerzoną

utrefieniem głową — nie myślałam że pan będzie o tem pamiętał — przechylaniem smukłej miękkości i zaokrąglonym wargami głosem wpelniona wraz ze mną w jedność pełnego zewnętrznego i wewnętrznego wspolenia współ-czucia — a pani czy pamiętała o mnie? zażenowany uśmiech twej twarzy — podoba się panu? podoba a najwięcej to, że ją pani własnoręcznie dla mnie zrobiła dobrze, że już jest pani nareszcie nie mogłem się poprostu doczekać teraz już nie będzie mi smutno a pani czy też będzie jeszcze tak smutno — z przechylonej przekornie twej twarzy — jak wtedy gdy pani pisała kartkę — przedczuta przyjemność suwa mi się rozluźnionym wokoło warg weszłych w czucie uśmiechem.

Zawieszoną na stojącym na stole kalendarzu falistość delikatnej, niebieskiej nitki włączam w pełne zadowolenia wpatrywanie się w własne rozradowanie — przychodzę by wrócić zastaw ceną zastawu jest pani — Wyprężona między skręcającemi ją palcami rąk zwiększa się w blizkiem patrzeniu, zgrubiona w wyraźne splecenie z niezliczonych włókienek, otoczonych nastrzępieniem puszką ceną zastawu jest pani oglądanego drażniącym roztkliwieniem oka.

Żółta, długa, świecąca srebrem błysku przeźroczysta cygarniczka, z zatkniętym w nią papierosem zwyrażnia się twardo w zębach — istnieję wszczepionym we mnie i poza mnie przyjemnym, pozbawionym jakiegokolwiek wyraźnego widzenia spokojem — przed zmalął prawie w ledwo odczucie u kresu dnia chwilą. Po każdym pociągnięciu wżarte znów głębiej w umniejszoną kremowozielonkawą okrągłość jarzące odpryski przygasają zaraz w czerń, ponad którą wykwitają natychmiast popielate wynurzenia napierającej chropowatości popiołu. Wzdłużona oczekiwaniem przerwa w ciszy wybiega z stuknięcia w cygarniczkę palcem ku wyraźnemu, lekkimu cup-

nięciu przypadłego do podłogi popiołu. Lekkochwiejna, jaśniejsza bokami, niebieskawa rurka dymu wysnuta z nieruchomego papierosa rozchwiewa się z rozwężykowania nade mną w rozklębione wwijanie i rzędzie na tle ciemnoczerwonej ściany.

Wtem blizka przy mnie obecność wwiększonej we mnie, dalekiej, oczekującej mnie chwili zamyka skrócony przed sobą czas, nieistniejący już wcale poza nią.

własna nieprzynależność do podchodzącej zaledwie pod dotyk widzenia martwoty obcej mi nagle białości gipsów i sfiolconej czerwieni wnętrza wraz z ponurością zza okna i wyłączone przez dłuższy czas istnienie widzianą wokół mnie, rozmienioną w zmienną drobność różnokształtnością w ulicy.

barwnością kwiatów w ciemnej głębi za złotemi za szybą literami zawrócony w długie przed nimi zatracenie się między jasnobarwnym ich, złączonym z tobą drobnokształtem a koniecznością wydania pieniędzy, poszedłem wreszcie dalej, uwolniony z niepewności poczuć własnej przy bukiecie i z bukietem śmieszności. Cofniętym z przed starannie oglądanych koszul i krawatek wzrokiem nieśmiało, z niedowierzaniem dotykam niby przelotnie jakby nie mojego, obcego, dalekiego w odbiciu bocznych zwierciadeł swego profilu.

wpatrzone w coraz to wolniej od tak już dawna na zmianę z żywością ludzi i spodami kamienie podchodzące pode mnie kwadratowe płyty chodników, których linji złączeń nie dotykam odmierzonymi krokami,

— wyrzucone łukiem zza odrapanego muru do połowy wąskiej, skośnemi ścianami starych domów ściśnionej dołem, niezaludnionej uliczki, nagie od spodu, nakryte szelestem liści konary zasuwwały się popade mnie pomału —

trwam wewnątrz bezczuciem zupełnej na radość czy smutek napierającej mnie obojętności w ciągłej nie-

istotności bycia wobec równoległej wciąż w czasie, nieuchronnie muszącej nadejść tak niedalekiej rzeczywistości

— blaszane z daleka jasnością odbitego światła lamp szyby, nikną tuż przy mnie z przed czarnej bezdni prostokątnych przebić w murach wstrzymywanej wstawionemi w nie podwójnemi krzyżami jaśniejszych okien —

aby wreszcie wciśniętą pod ściśniętą powierzchnię mnie samego drżącą, chwiejną w nogach niepewność wieść świadomie bezwolnie ku twardej, przykrej, (zbliżanej każdym nowem zapadnięciem się dalekiej kopuły kościoła w narastającą na nią moimi krokami ciemność drzew szarych u końca zbiegającej ku dołowi, równemi kostkami wysoko sklepionej uliczki,) już tuż tuż nieodwołalnej konieczności stanięcia przed tobą.

wyzwolony z wszelkiego odczuwania siebie przez wyraźne za spotężnioną tem białością profilowanego drzewa drzwi przestrzenne twoje istnienie, po szybkim przesunięciu się twardych, ostrych (zapięte!) guzików spodni o miękkość palców prawej ręki, trwam czuciem słuchu w trójwymiarowości pozadrzwia sprzestrzenionej w dobitną wyczuwalność wtargnięciem wrosłego w nią z mej woli szeregodźwięku dzwonka.

— Panienska jest już?

— Jezd jus.

Zbliżyłem szybko me oszołomione wśród dwóch rozrosłych poza mnie daleko na zewnątrz nacisków w skroniach, drżące beczucie ku współszklanym drzwiom mglistym wyraźnością tego co jest i będzie za niemi. Nagłe ich zanieistnienie przede mną — Ah? — twój głos i napór na mnie wraz z natychmiastowem zasunięciem się twem po za mnie i trzask drzwi — a na zwolnionych z krótkiego nacisku przyparcia do ciebie po-

wierzchni przedramion, ud i dłoni niepokojące odczucie podłożonej miękką twardością twego ciała materji sukni.

przy mnie, od dziwnie wyłącznych sobą, choć zwyczajnych i tylu innym podobnych, niepięknych nawet w elektrycznem świetle przedmiotów pokoju odciętym czemś przeźroczystem w równorządne wśród nich istnienie w zastygniętym czasie, ledwie wzruszonym szybkim zjawieniem się i zniknięciem służącej z czemś w rękę odbiegłej od trzasku szafy

— Przepraszam, musiałam się przebrać — znalazł się nagle wreszcie zmniejszony dźwięk twego głosu. — Nie spodziewałam się jeszcze dzisiaj nikogo. Proszę, niech pan usiądzie — wcisnęłaś się między stół a kanapę, zgięta podbieraniem rękoma sukni i opadłaś w jej chwiejący się chrzęst przykrą ciężkością ciała. — Co u pana nowego? — uderzyłaś słowem w mą momentalną niepewność siebie wzmożoną tak przerażająco trzeźwą przede mną plastycznością istnienia kształtów twej nie złączonej zupełnie ze mną a obcej mi nieprzenikliwości, zamkniętej w tobie dla mnie odrębności innego człowieka.

— U mnie? — zewnętrznym uśmiechem przesłoniłem przykreść zupełnej we mnie pustki, wnieśmielony w odczuwalną sztywność ledwosiedzenia na krześle. — A pani jak się bawiła? — wysunąłem się z siebie w niepewną jeszcze, ostrożną wspólność z tobą. Osunięciem z chropawego koloru ściany na wyrazistość owalu twej twarzy upewniającego mnie widzenia wyczuwając w niej rosnące, zbliżające cię ku mnie rozstępywanie się nieprzenikliwości powierzchni, oparłem już pewniejszy siebie przedramiona na kapie stołu.

— Ja? Nadzwyczajnie! — poruszyłaś się założeniem nogi na nogę, przechylając nieco na bok i do tyłu głowę. — Żałuję, że nie mogłam pozostać dłużej — włożyłaś mnie nagle ścisnięciem przy sercu w dotkliwą przy-

krość nicnieznaczenia dla twego istnienia w tej chwili przeszłością. — Ciągłe zabawy i dancingi — trwaniem widzeniem tuż przed różnobarwnem zadzierganiem z nittek kapy stołu — a że miałam ogromne powodzenie bawiłam się poprostu świetnie — chronię się od dotknięcia niem zniekształconej rozruszaniem wspomnień twojej twarzy, wytrzymując z trudem bolesne, długie ożywienie twego głosu, spłaszczonego w zewnętrżność wgąć i wygiąć wobec mej wewnętrznej od ciebie inności.

— Pani tak... lubi... się bawić? — wydobywam wreszcie z pod siebie nieśmiało ku twemu nie dotykanemu wzrokiem poza mną mniej ode mnie wyraźnemu istnieniu.

— SzaLeenie — nacisnęłaś me ku tobie napięte w oczekiwaniu słów wyprzestreszenie. — Nie mam na szczęście inklinacji na mniszkę. Lubię ogromnie śmiać się i bawić. Nie znoszę nudy i głęboko idących dociekań. Wolę wesołość niż smutek i wolę dobrą komedję lub operetkę, niż dramat — zolbrzymionym i wzdłużonym z owalu w ostre zygzaki głosem przeciwstawiałaś mi się wyzywająco, — Dość jest dramatów w życiu — wcieśniając mnie w tem większą niemożność wyjścia poza własną przykrą mi niewymownie odmiennność.

— Nie wiedziałem, że dla pani zabawa jest wszystkim — wypchnąłem wreszcie z trudem po długiej chwili z wewnętrznego poza zwartemi silnie mięśniami twarzy i warg drżenia.

— Pan by chciał, aby była niczem? — obcy twój głos nazewnątrz mego słyszenia.

— Dziwię się, że to pani wystarcza — stężały powagą własnego wnętrza, którego twa wroga mi lekkość

— Uważa pan, że nie powinnam się bawić? — nie dotykała zupełnie zrównaną w prostolinijność twardością dźwięków głosu.

— Uważam... — uczułem twą już nic nie obchodzącą

mnie obcość. — Uważam, że to wyłącznie rzecz pani. Nie mogę za panią rozstrzygać.

— Pan uważa tak, a ja uważam inaczej. Trudno. Różnimy się jak pan widzi w zdaniach — uderzenia twego rozdrażnionego głosu osunęły się o moją zupełną nieczułość, wraz z odgłosem ubijających tłumiącą je miękkość poduszki dłoni.

Zupełnie odrętwiały w zbytnim wewnętrznym i zewnętrznym nacisku, z rękami nieruchomymi na stole, oparłem wreszcie spokój widzenia o dalekie mi, niczem już mnie nie dotyczące zewnętrzne twojej osoby.

— Pani powinna mieć bogatego męża — wyodrębniony ze mnie, spokojny, rzeczowy głos mój czułem jak obcy przed sobą. — Inaczej nie będzie pani nigdy szczęśliwą.

— Rozumie się — rozdrobniony w cząstki śmiech twój nie przenikał niewzruszoności mej twardej jednolitości. — Ślub musi być z paradą i koniecznie karetą z białymi końmi — dotykałaś mnie bez przerwy wyrazistością źrenic z przechylonej, pochylonej i w ciągłym ruchu, wraz z wyrównującymi nakrywającą kolana poduszkę rękami, twarzy. — Muszę mieć dużo gości, biżuterji i sukien. Dom będę prowadziła otwarty i wogóle szalone życie — śmiałaś się rozruszaniem pochyleniem, daleka od mego wprost skamienienia, z ustaniem słów zanieistniała prawie dla mego unieruchomionego na krześle o stół opartego, długotrwałego, szczątkowego w ledwo odczuwalności drżenia istnienia zaciśniętym dokładnie samym sobą przed daleką, zieloną w kwiatki (kwiat wkręca się esem korzonka w stylizowane liście) ścianą przede mną.

ale nagleś twem zniecierpliwionem oddaleniem się ku oknu od nudy mej głupiej niemożności wyjścia choć jednym słowem z bezruchu trwania widzeniem na ścianie zaistniała mimo niewidzenia cię aż nadto wyraźnie

naciągałaś sobą wyciągniętą ze mnie całą zjawioną odrazu, silnie odczuta współmaleźność ku tobie mojego pozostałego w pozornem zewnętrznem beczuciu obojętności wewnętrznego ściśnięcia. Długie naprężenie we mnie czy jeszcze do mnie powrócisz czy zechcesz do mnie powrócić oczekiwania, wzmaganego w niekończące się, wzdłużane drobnymi szmerami twe dalekie pod lustrem z tyłu poza mną oddalenie ode mnie, złagodniało wreszcie, ulżone twem zbliżeniem się w poprzednie twe miejsce. Oderwane od tkwienia na rękach widzenie zmiękczyło cię w bliższą mi jakoś twoją mniejobcość.

— Nie powiem, aby pan był dzisiaj wyjątkowo rozmowny — powiedziałaś, stawiając na stół otworzoną własnie małą flaszeczkę.

— Ja... tak... czasem — z trudem przeciskałem przez wargi cząstkę ogromu wewnętrznego skondenzowania uczuć — sam nie wiem, ale zupełnie nie wiem... nie mogę czegokolwiek jakoś w słowa wydobyć — uczulem się dziwnie niewieleznacznym wobec twej zadziwiającej swobody ruchów.

— Powinien pan wtedy nie przychodzić do ludzi — mówiłaś w różowe paznokcie, pokrywając je z zainteresowaniem nakładanym czarnym pendzelkiem lakierem.

— Jestem może... zanadto wrażliwym — istnieję na równi z tobą po przeciwległej stronie dzielącej nas i łączącej płaszczyzny. — Byle drobnostka jest czasem w stanie uwięzić mi jakby głos w gardle.

— Możemy milczeć. Nikt nam nie każe mówić — nienawistna obcość twej obojętnie odchylonej, świecącej wilgocią warg twarzy, przechylanej kilkakrotnie nad rozstawioną w palcach na stole wąskością przykrej sztucznym, wstrętnym mi blaskiem paznokci, lewą twą dłońią. Niemożność i zarazem konieczność natychmiastowego uwolnienia twej znudzonej mem, poza twardem

ściśnięciem zębów, milczeniem obojętności od mej zupełnej zawstydzającej mnie zbyteczności.

— A co? może nieładne? — z wyzywającym uśmiechem podsunęłaś rękę ku mnie, naciśniętemu silniej twoją swobodą.

— Nienaturalne — wycisnąłem ze siebie, mimo wszystko złączony jakby czemś z tobą.

— Co się pan zna. Wygodne i koniec. Niech pan pokaże swoją.

w paznokcie wielkiego palca wysuniętej jakby wbrew mnie samemu ręki nałożone delikatnem łaskotaniem pociągnąć pendzelka zimno lakieru rozluźniło mnie wewnątrz wpartem poprzez niechęć zadowoleniem z znalezienia się w polu twego mną chwilowego zajęcia.

miłozabawnie świecąca wilgocią, zwiększona przybliżeniem ku mnie mięsista wargą, odchylona głęboko nad coraz to nowemi odczuciami lechliwego w paznokciach, przyjemnego zimna, opuszczone długorzęse powieki, włożone głębokiem wcięciem w bliskość rozstąpionej w wyrazistość szczegółów miękkości twej prawie takiej jak zawsze twarzy i wątłość twych bark i ramion coraz śmielej wbliżana we mnie coraz mniej onieśmielonem patrzeniem.

— Czytał pan co ciekawego? — odłożyłaś pendzelek na bok, głęboko wgiętą owalnością dźwięku przylegając w me słabe już, trzymające się jednak jeszcze zdala, poczucie siebie.

— Owszem — oswajam się jakby z obcem mi świeceniem lakieru na cofniętej ku mnie w złączenie z drugą na kapie stołu ręce. —

wyzuwany pomału układanemi powoli, z rozmysłem w słowa zdaniami z odczucia poprzedniej, przykrej, własnej odrębności rozszerzanem coraz więcej we mnie przejęciem w siebie istotnej ponad łatwością wypływających dźwięków treści mówienia, zaczynam istnieć

wreszcie wyłącznem odczuwaniem we mnie chętnego ku mnie zasłuchania twej blizkiej znów twarzy,

aż będąc już tylko sobą, w coraz dłuższych między słowami przerwach mówienia rozdwarzając się w sobie wewnątrznie oddzielam wreszcie istnienie wyłącznie tobą od nakrytego dłuższem zamilknięciem, wschodzącego we mnie nieśmiało, ciepłego, niepewnego jeszcze na wyjście poza mnie, wzrastającego roztkliwienia ku tobie.

— Dlaczego było pani wtedy tak smutno, gdy pani do mnie pisała kartkę? — stałem się już tylko znierruchomiałą w cichość tkliwośćią, ciebie z siebie wesławszy w blizką mi moją z twą ze mną wspólną współ-czuciem wątki.

— Skądże mam znowu wiedzieć — kańciastym z skrzywienia ust głosem — Pisałam do tyłu ludzi — uderzyłaś o nagle ściągnięcie się moje w wpatrzoną nie-ruchomo w ścianę przede mną sztywność jednoczucia natychmiastowego po kilku jeszcze posunięciach długo-trwających wskazówek zegara usunięcia mej zbytcej, utrudzającej ciebie i mnie, śmiesznej inności z przed twej znudzonej, wrogiej mi, nienawistnej, przykro przy mnie trwającej obojętności. Trwając wewnątrz bez-czuciem w szeleście dwu wokoło głowy wstążek przesuwającego się powietrza i w wyrzutach szybkich nóg w omal że nieupadanie w nachyleniu ku ziemi, coraz dalszy jestem od pozostałej za zatrzaśniętymi, białymi drzwiami odpadłej ze mnie istoty życia opuszczonego nieodwołalnie wyłączeniem poza mnie.

w niejasną w wzajemnych stosunkach niewyraźność cieni, światła i ruchu wokoło wyjaśniona dokładnie, do-brotliwa i owalnobrzniąca przede mną, rozrosłaś gwałtownie w ślepienie blasku, w białość, w którą już już wejść miałem, gdy szarpnięty nagle wrzaskiem i hałasem na bok w ciemność czerwonożółtą kuliście w środku.

w bramie kawiarni znanej włożyłem się zrozumieniem w utkwione dopiero co we mnie wrzaski: o mało a byłoby już może po panu.

z zimnym marmurem stolika pod ręką, wstrząsany śmiechem z własnej przy stole mowy i towarzysza mego. którego przybliżanie się masą ciała i odpadanie w śmiechu odczuwałem ramieniem, istniałem silnym, bardzo silnym naciskiem na czoło znieruchomiałego rozdrażnienia przy wyginającej się w drobne składane odcinki, obcej mi punktem wyjścia i zajścia, przepływem jedynie świadomej linii rozmowy. Weszła wreszcie w świadomość, w silne splecenie rąk werżnięta, zczerniała, niebieska nitka rozparła mnie nagle podeszłem pod bezsilność i niemoc załzawionych oczu wszystkim przeze mnie i z mojej winy niedopowiedzianem ci i pominiętem, zduszonem w pozostanie we mnie na zawsze.

co ci mogę właściwie zarzucić sam się przez ten czas doskonale bawiłem — przedrosły cię w mglistość wewnętrzne nad ruchem ust, widzialne słowa — sam jestem wszystkiemu winien ty niczemu nie jesteś winna nic się właściwie nie stało wszystko było naturalne niewieleznaczące i małe byłem zanadto wrażliwy byłem poprostu śmieszny co właściwie ma być między nami skończone

Za rozejściem się w bezczuci uuspokojenia nieruchomych wewnątrz ust ruchów mięśni sztachety słów zapadły się i rozstały z przed zamazanego, bezkształtnego czucia ciebie, zajmującego całe pole wewnętrznego widzenia. Wwyrażnione na niem niedługo jedynowielkie twe wargi, ruchliwe okrągłością, podpinięte opuszczonymi, długorzęsami powiekami zmały wraz z niemi, włożone w owal twojej twarzy, nakryty gładką miękkością włosów. Wyolbrzymiły się z niego ku mnie duże, okrągłe źrenice, otoczone wrysowaniem roztworzonych szeroko powiek, wzbliżając się we mnie wilgotnem światłem wypukłej, odchylonej, dolnej, odgiętej wargi. Delikatny, puszysty rowek karczku w wysokie, terasowate obcięcie gęstych włosów włączony czarnem ich, rzadkiem odrastaniem. Rozparłszy twarz swą małą sobą osadziłaś się we mnie, skurczona niedbale w kącie kanapy. I znów wwiększona samą tylko twarzą nachylała głowę nad stołem z odchyloną, świecą wilgocią i miłością całej siebie mięsistą wargą.

W wyolbrzymionych zaciśnięciem dookoła twardego

szkliwa końca cygarniczki zębach zeszywnione w prawie nieczucie bolenie, rozeszłe po nich za wyjęciem jej nagłym nasileniem, zmalało razem z smakiem tytoniowego zapachu w ustach.

Wybitnie samodzielny, dawno w słuchu trwający szmer, uszczuplił się z siebie podłożony mem widzeniem pod szybkie ruchy ręki „św. Jana“. Na gruzelkowatą, szaroszorstką, rzadką już wśród świecącej powierzchni nieruchomego na sztalugach przed żywością „św. Jana“ płótna matowość, za każdym nowem, dłuższem zetknięciem się na niej pojawiającego się co chwila zza palety i ramienia jego pendzla z podbiegającym ku niemu długim tegoż cieniem nakłada się z szybkości ich tarcia coraz szersza, biała srebrzystość błyszczenia.

— Nie ciemno ci? — zapytałem, w zwiększonym smaku tytoniu chrzęszcząc zahaczonemi znów o twardość prożka cygarniczki zębami.

— Widzę jeszcze — rzekł, nie odwracając głowy. Przybliżony znów, swem szarozielonem ocienieniem rozjaśniał w poprzednie nasilenie błyszczący prostokąt, przygasły chwilowo jego cofnięciem się ku tyłowi. — Muszę to założyć choć pobieżnie do końca, bym mógł się jak najprędzej rozpoznać w całości.

miękkim naciskiem nieokreślonych dotknąć na czucie mego mózgu oddalany z przede mnie w zamazaną mglistość konturów ruchomą szybkimi drganiem ręki i pendzla, zwróceniami i pochyleniami głowy wyraźniej i zbliża się znowu kilkakrotnie w natężenie wydłużanego ku niemu widzenia. Aż nagle niknie zasunięty zsunięciem się przed niego wpierających się we mnie już czas jakiś bocznych nacisków. W bezbarwną, bliską mi nieprzeźroczystą bezkształtność wpływa z głębi jej owal twęj twarzy, wydzielając ze siebie bliższe jeszcze zwiększeniem w całość widzenia spękania drobne światełek warg, wyrazistość źrenic i włosów i wgięcia głębokie

zcalonego w jednowrażenie głosu. Wązkie, opalone ramiona, oparte chropowatą skórą łokci na kapie stołu, łukiem lekkim spojone z ukrytem za otworem materji ciałem.

Ku przysposabiającemu się wzrokowi podpływająca zza zamglenia ciemna niewyraźność przytknięta do płaszczyzny widzenia utrwala się na czas jakiś w błyszczącą lekko wypukłość końców mych własnych butów poza oklapniętymi na otomanie w liczne fałdy spodniami, kryjącymi nieruchomość wyciągniętych nóg moich. Oddalone cofnięciem się ku mnie dotyku widzenia wciągniętego malutkiem rozciągnięciem w oczach, wracają w poprzecznie zamazanie.

— Taki teraz jestem od kilku dni wściekły na siebie — wypowiedziałem siebie, podciągnawszy twardością łokci drobiny swędzenia byłych miejsc zetknięcia się mnie z powierzchnią pode mną nad szmerem uginania się otomany — i sam nawet nie wiem dobrze dlaczego. Włóczę się, psiamac, wieczorami po mieście i nie wiem, co z czasem zrobić.

na niemające ujścia wewnętrzne, rozpierające mnie niezadowolenie z siebie nałożyłem zerwanie się z otomany i wsadzenie rąk w kieszenie od spodni.

bezbarny dla mnie dotąd, błyszczący prostokąt, wzdłużony od wypełnionej w niego rozrzedzoną, pełną smug cienia farbą nieokreślonej jeszcze w zarysach i barwie „Jasnej“, wyzbył mnie na chwilę z poczucia niepewności siebie.

— Stanowczo nie nadają się — wróciłem znów niecierpliwem chodzeniem w przykrość własnego czucia — do życia ani do ludzi. Nie potrafię wynieść siebie ku nim na zewnątrz a mówię najczęściej coś zupełnie innego, niżbym chciał właściwie niekiedy powiedzieć. Sam czasem nie wyznaję się w sobie i własne słowa są dla mnie niejednokrotnie niespodzianką nieprzewidzianą

zupełnie. Zimnym i obojętnym potrafię być tam, gdziebym chciał być nie wiem jak sobą, i to bez żadnego racjonalnego powodu i prawie zawsze najoczywiściej wbrew sobie. Czuję się tak jakoś wyodrębniony z zewnątrz przedmiotów i ludzi, tak nie mogącym niczem być z nimi związanym i przez nich choć odrobinę odczuty. Wyłączność mego ja, które przecież przede wszystkim dla mnie istnieje, staje się niezmiernie mało lub nic nieznaczącą przy zewnątrz, którego istnienie jest dla mnie słabe a z którego sztywną, niezrozumiałą obojętnością nic mnie właściwie nie łączy. Często w chwili najszczerzej chęci szczerości i wypowiedzenia się komuś najgłębszym sobą urywam nagle, zwijam się wobec myśli: cóż ich to właściwie obchodzi. Cofam się w siebie i odgradzam, zazdroszcząc tym, którzy tak łatwo doskonale się z sobą czują. Wiesz — stanąłem tuż przed nim, istniejąc rozszerzoną oczyma ze mnie na niego, wyszłą daleko poza mnie, radosną wypowiedzeniem ważnością siebie — że ja naprawdę zazdroszczę innym łatwości łączenia się z byle kim najgłępszą choćby a jednak zajmującą ich wspólnie rozmową. Zazdroszczę dzieciom cudownej bezpośredniości z jaką są za pan brat ze sobą i z nami. Ja, człowiek wyższej kultury i inteligencji, zazdroszczę tym najprostszym ze wsi, z przedmieść, z suteryn za ich łatwość wzajemnego obcowania nawiązywaniem rozmowy gdziekolwiek, z kimkolwiek i jakkolwiek w pociągu, na ulicy, w tramwaju, na korytarzu, w sklepie czy tłumie. Zabawne przytem, że ten człowiek prosty godzinami może siedzieć przed swoim domem, z fajką bezmyślnie w zębach, przed siebie patrząc, zupełnie samowystarczalny w sobie, gdy ja, mimo przepełnionego tyloma nieznanymi tamtym wrażeniami mózgu, nie wystarczam sobie samemu, unikam siebie poza godzinami pracy i szukam gwałtownie oparcia o drugich, z którymi wspólnoty w żaden sposób odczuć

nie mogę, nie mówiąc już o niełatwości a czasem wprost niemożności przybliżenia się do nich słowem. Chyba, że zaproszę sobie łeb alkoholem i o tyle ich wtedy rozumiem, że nie istnieją wprawdzie dla mnie prawie zupełnie ale i własna moja odrębność, a raczej jej męcząca świadomość maleje.

— A — unieruchomiłem się znów podtrzymującemi mnie ruchami ust przed nim nieruchomym na paczce bez żrenic, z pendzlami i paletą wraz z rękami na udach — najśmieszniejsze, najtragiczniejsze nawet to to, że czem jest kto wyższy kulturą, inteligentniejszy poprostu a tem samem coraz więcej daleki od najbliższych miejscowo bliźnich i samotny w sobie, tem więcej wzrasta w miłość i przynależność do ludzi jako całości, wznosząc się ponad rodzinę, wieś, miasto, naród, ponad państwa i ponad nawet glob ziemski. Czuje się dobrze z ludzkością, nie mogąc się czuć dobrze z tymi co blizcy, z ludźmi. Oderwany od ziemi i miejsca obejmuje horyzonty szerokie, gdy tymczasem ci prości, dzieci, a często kobiety, blizcy bezpośrednim przy sobie bliźnim, nie wiem, świadomi czy są całej ogromnej ludzkości.

wpatrzony w czucie pustki trwającej we mnie wy-czułem nacisk wązkości kieszeni wokoło zaistniałych na twardej papierošnicy palców. Wyzuty na chwilę z siebie zapalonym papierosem i łamaniem w drobne kawałki dREWienka zapalki, usadawianiem się na sprężystości otomany chronię się czas dłuższy przed sobą.

— Nie wiem czy można — ożywił się na chwilę ruchem żrenic wpadniętych w moje — powiedzieć o kimś, że prostszym jest, niższej kultury lub mniejszej inteligencji — przyjemnem mi samem swem trwaniem w głosie przytykający do mnie. — Gdy idę drogą, wiem, że zaszedłem dalej. Ale tu nie mam miary. Zmienia się w nas stosunek do zewnętrznego otoczenia ludzi, rzeczy i myśli. To wszystko. Coraz to inny i u każdego

inny. Ale gdzie miara, że lepszy, że wyższy, że postęp? — dotknął znów mnie oczyma i odpadł nimi ode mnie na bok. — Jest tylko zmiana, ciągła zmiana. Dlaczego jednak widzieć w tem postęp? Nie jesteśmy wewnętrznie szczęśliwsi niż ci, którzy żyli przed nami. Nie chcielibyśmy żyć wtedy, ale pytanie czyby oni chcieli żyć dzisiaj. Tak zwany postęp jest tylko ciągle uzupełnianiem wynikłych przez zgęszczenie się ludzi po miastach braków, by utrzymać się w tej tak trudnej do osiągnięcia, koniecznej do życia harmonji składających się na nas czynników. I to jest kultura. Zaspakajanie ciągle rosnących przez zaludnienie potrzeb nie może być nazywane postępem, tak jak nie jest nim zaspakajanie głodu. Byłaby nim chyba możność nie jedzenia wogóle. Nie postęp zatem tylko ciągle uciekanie przed zagładą, ciągle doskakiwanie do niezbędnej, zachwiewanej wciąż równowagi. Prostu ratowanie życia. Umożliwianie życia. Nie ma ludzi prostych i wykształconych. Są tylko ludzie inni. Kultura to coraz to inna świadomość samych siebie w stosunku do otoczenia, ale nie wiadomo czy lepsza. Różnice świadomości to jedyne klasy społeczne, które dzielą ludzi naprawdę. „Niższy“ (rozwojowo w czasie a nie bezwzględnie) nie rozumie „wyższego“, a gdy się sam wzniesie z czasem ku niemu w miarę zmiany świadomości, (bo ta wciąż się zmienia choć nie równie u wszystkich) nie potrzebuje go już właściwie dla siebie, chyba dla podniesienia własnego znaczenia lub umocnienia się, a z politowaniem spogląda na niższy. Pozornie idziemy sami w wewnętrznym rozwoju, ale właściwie jesteśmy wciąż — nie odrywał ode mnie — **LUDŹMI** — wpartych w moje — **TŁUMU** — w cieniach oczodołów żrenic. — Świadomość nasza to wszystko to, co nie jest nami, co poza nami, ale my jesteśmy tem, czem jest nasza świadomość.

— Nie powiem, hym to ostatnie zdanie rozumiał.

noga jego poruszyła się skośnem nałożeniem na drugą.

— Ja też nie — uśmiechnął się z widocznem zadowoleniem — ale tak jest istotnie. Świadomość — ożywił się częstem opieraniem o mnie żrenic — przychodzi do nas z zewnątrz, nie z wewnątrz. Zmienia się w nas bez naszej woli i prawie bez naszego udziału. Kształtuje ją najmniejsze, niezauważone nawet przez nas wrażenie. I przy tem nie ginie zupełnie wraz z nami, bo choć w nas jest, jest w ciągłym ruchu. Z wiedzą czy bez naszej wiedzy odpływa z nas ku innym bez przerwy, słowem czy myślą, pracą lub choćby tylko samym faktem przestrzennego naszego istnienia. Nic przez to nie ginie nadarmo, jest ruchem w ogólnem drganiu oddziaływań w owej ogólnej, nieznanej nam sumie świadomości, z których żadna nie jest zamkniętą dla siebie, niezmienną całością, ale funkcją zależną od wszystkich innych, które znowu bez niej nie byłyby tem, czem są właśnie. Świadomość jest czemś nieuchwytnem, niemniej jednak bezwzględnie istotnem, żywa nawet i może głównie tem, czego dla nas właściwie już niema, utrwalonem od wieków w materjale lub tem nieokreślonem, co w nas jest dziedzicznem. Przeplýwa wciąż przez nas samych, przez co jesteśmy częstkami tłumu, świadomością naszą, czyli tem co w nas jest najistotniejsze, najściślej w niego włączeni i od niego zależni. I dziwna tajemnica: każdy z nas dla siebie samego wybitnie odrębny, w samopoczuciu swej świadomości jest ściśle zależny, wprost częścią świadomości tłumu, od którego czuje się najzupełniej obcy. Dwie sprzeczności pogodzone faktem istnienia.

— Czy rozumiesz — nachylił się nieco naprzód — że dochodząc do tej coraz szerszej na coraz więcej ludzi i przestrzeni świadomości nie kocham już właściwie tylko siebie, bo nie jestem sam sobą, ale i niejednym już

innym. Że w ten sposób egoizm mój wchodzi pomalu w altruizm, utożsamia mą korzyść z coraz szerszą korzyścią innych. Wtedy miłość ku innym jest koniecznością życia, niepotrzebującą przykazań...

trwam sobą nic nie czującym przed jego zamilknięciem w głosie.

— Albo i to — nie uruchamiał się podniesieniem powiek. — Tajemnica istotnej własności. Współwłasności wszystkiego przy nieposiadaniu niczego. Nadposiadanie. Nadmaterjalne posiadanie materji. Jedynie prawdziwy komunizm przy zachowaniu indywidualnej własności. Wyzwolone z ciasnoty więziennego przykucia do ograniczonych przedmiotów a bezwzględnie szerokie posiadanie wszystkiego. Widzisz — odsłonił znów ku mnie żrenice i uśmiech — wszystko co widzę jest moje. Wszystkie oglądane na ilustracjach domy i meble, wszystko co mi się podoba, wszystko czego dotknę oczyma jest moje. Cieszę się tem, bo to stało się moją własnością, niezależną od posiadania prawnego.

cofnąłem się od niego w siebie. — Wiesz — zgiałem się nagle koniecznością podrapania w łydkę — jest w tem coś. Sam z prawdziwą radością chodzę oglądać budujący się wodociąg lub rozrastające się nowemi domami miasto, ciesząc się ładniejszą i udaną willą. I choć to nie moje, przyjemne mi to, że to ktoś posiada wogóle.

— Twoja znajoma wróciła już — nacisnął nagle mi wrogą, płaską zewnętrzność siebie na me ściągnięcie się w obronną sztywność przed twardością pytania. Zapalaniem zgasłego od dawna papierosa odcisnąłem go nieco od siebie.

— Wróciła — powiedziałem po chwili popod gaszoną ruchami ręki zapalką. — Bawiła się świetnie. Cieszę mnie to. Ostatecznie na to tam przecież jechała — poczułem się odrazu pewniejszy za przeciwstawioną mu

prawienaturalnością słów własnych, rozwarty zarazem w sobie do dalszego wypłynięcia w słowie na zewnątrz.

Odwrócenie się „św. Jana“ ku płótnu płasko nałożyło się na mnie.

— Ciemno już — rzekł po chwili dłuższego patrzenia. Odłożył paletę i pendzle i wstał, mocując się odgiętemi do tyłu ramionami sam z sobą.

opadły powoli w sobie, wydzwignąłem się z siebie w zewnętrzną konieczność ubrania płaszcza.

pochylony oparciem łokci o uda, świadomością dorywczności siedzenia na paczce trwałem przed wodzonym przeze mnie z pomiędzy szeroko rozstawionych kolan końcem laski po podłodze lub wyrazistą nad tem przede mną, trójwymiarową w chwilach dotykania wzrokiem zewnętrżnością „św. Jana“, z głową nachyloną ku ziemi, z założonemi za pasek malarskiego płaszcza rękami, wolno ruchliwego między ścianami.

— Wybrałem się dziś do bardzo dawnych i miłych znajomych — rozszerzyłem siebie poza mnie ku niemu w wypowiedzanem słowie — ale gdy już miałem nacisnąć dzwonek, odczułem taką nagłą niechęć do znalezienia się w odstręczającej nudzie płaskich papierowych dekoracji od lat znanych myśli, powiedzeń, tonów głosu, ruchów, powietrza wprost i twarzy, obcych mi w gruncie rzeczy, takich całkiem „poza mną“, że zawróciłem z miejsca i po chwili włóczenia się po mieście z ulgą znalazłem się u ciebie.

— U ciebie na przykład — istniałem dalej szeroką ważnością siebie dla jego podnoszącej mi jej odczucie powierzchowności w widzeniu — nie mam tego przykrego odczucia siebie. Jestem poprostu tem na co patrzę w sobie lub przed sobą i nie czuję granic samego siebie dzielących mnie od zewnątrz. Albo raczej sam sobą niknę w tem i poniekąd i ty w tem nikniesz. Istniejesz wzrokowo tylko, powiedziałbym, bez obrazy zresztą. A tam czasem odczuję, zaczuję się nagle tak nienadającym się odrębnością swą między ich odczuwaną wyra-

źnie inność. Słowa istnieją wtedy jako coś między mną a nimi odrębnego, gdy u ciebie ja temi słowami istnieję. Nie mogę wtedy wyjść sobą poza siebie niejako, poza własną niższą od otoczenia wyższość, i to tam, gdzie normalnie czuję się jak najlepiej, jak najswobodniej.

długie milczenie nałożyło się na mnie przed niego.

— Spotkałem wczoraj „hrabiego“ — rzekł, zniechęciły przez chwilę zapatrzeniem się w ścianę na lewo ode mnie. — W nowym eleganckim płaszczu — — „Stać go na to — powiedziałem“ — — Cały jest czekoladowy od słońca. Szedł z tą twoją reprezentatywną znajomą — gwałtownem ściśnięciem w piersiach, osypanem napływem drobnozcząstkowanego ciepła z głowy — nie zauważyli mnie nawet, tak byli zajęci rozmową, bardzo z czegoś uradowani — wnieśmielony w sztywne, niezdolne do ruchu i spojrzenia na niego zastygnięcie byłem nagle tylko wpatrzaniem w nicość nad przykrym naciskiem świadomości siebie. Pod dwuwymiarowość dalekiego „św. Jana“ podkłada się tuż poza obrębem skurczonego mnie samego ciągła bliskość szmeru jego obcasów i podeszew w podłódze.

— G...dzie ich widziałeś? — wypchnąłem wreszcie ze siebie, wysiłkiem spojrzenia ku niemu wrócony w udaną z trudem obojętność, istotną już jednak zaraz wobec bezznaczenia jego obojętnej mi odpowiedzi.

ale drażnione częstemi otarciami niczem ze mną nie związanego trwania jego zanadto blizkiego, dalekiego, nienawistnego mi wręcz wreszcie wśród papierowej kulisowości ścian głosu ukryte we mnie coraz większe rozedrganie sobą dopiero wyniesione gwałtownie po niedługim, zwolniałym koło mnie czasie znieczuliło się oparciem o widzeniowośluchową, zajmującą poniekąd nawet wbrew woli, wciąż odmienną ruchliwość w napływającej ku mnie poza mnie nieruchomości zamknięcia ulicą.

— Myślałam, że się pan już na mnie obraził — nikłem sobą w swobodzie dźwięcznej życzliwości modulowanego owalem rozwarcia mięsistych warg głosu — tak długo pan się u mnie nie zjawiał — w miarę słabnięcia woli coraz mniejszemi i coraz słabszemi zygzakami w silnem bezczuciu a wreszcie już wprost ku tobie — — O co ja mógłbym się na panią obrazić — wypowiedziałem siebie, istniejąc już wyrazistością twej miękkiej, blizkiej mi twarzy.

— Nie ładnie, że pan tak o mnie zapomniał — gnąc miękko tonem głosu i sobą byłaś już na kanapie.

— Nie zapomniałem — miękko opierającą się powierzchnię uczułem na chwilę pod mem onieśmielonem jednak jeszcze nieco na niej siedzeniem. — Tylko... sam nie wiem... tak jakoś.

— Co nowego u pana?

— U mnie? — spojrzeniem na me ręce złączone na udach zapelniłem chwilową nieprzyjemność niemożności znalezienia tematu. — Widziałem wczoraj pod wieczór — poczułem się nagle odrazu w słowach — słońce odbijające się w trawie.

— W trawie? — weszłaś we mnie jeszcze zupełnie zaciekawionem żdziwieniem twarzy.

— W trawie. Złote, duże słońce nad horyzontem a ku niemu ode mnie biegł zwężający się szlak złotej poświaty, falistej nierównościami łąki. Czem bliżej ku mnie, tem wyraźniej rozdzielający się na złotą na czarnej zieleni błon koronkę z niezliczonych nitek babiego lata, ułożonych w wzdłużone złociste rąby. Gęściej rozsiane tworzyły jakby jaśniejsze grzbiety fal złota, które pokrywały całą ku słońcu błon płaskość.

— To musiało być nadzwyczaj ciekawe!

— Było — rozruszałem się zadowoleniem ważności siebie przed tobą.

— „Św. Jan“ napewno wymalowałby z tego obraz.

— „Św. Jan“ napewno nie wymalowałby z tego obrazu — uśmiechnąłem się w ciebie. — Ani w słowach ani w obrazie nie ma możliwości oddania istoty wrażenia z przyrody. To całość złożona z rozlicznych wrażeń: z odległości, z przestrzeni, z słońca, z niewidzialnego ruchu cząstek powietrza, z czucia koloru nie będącego farbą i najważniejsze: z naszego ja wewnętrznego i jego zdolności zbierania wrażeń z przestrzeni. Na obrazie jest tylko ograniczoność płaszczyzny i farby a zamiast słońca żółta chromowa lub kadium, mogąca w zestawieniu z innymi być przetopiona w kolor ale nigdy w jasność i blask światła i ten kolor, który jest właściwie przestrzenią i nami.

w milczeniu wzwyczajając się pomału w nudnawosłódki miodowy smak leżącej na języku kanciastej twardości cukierka, którego nie potrafiłem nie wziąć z podsunętej mi na kapie stołu przez ciebie szklanej, pomarańczowej miseczki. — Ja... — zaczynam, rozrosły coraz szerszą koniecznością przeciśnięcia przez opór onieśmienia istotnego w tej chwili mnie samego w wjednoczenie się z drogą mi moją twojością — wcale, jak pani myślała, nie...zapomniałem. — Obok lekkiego trwania między równoległością mnie i ciebie wolnych i cichych, mną będących poniekąd słów moich — nie chciałem się tylko może zbyt narzucać — trwa bezbarwna cieniem w dół opuszczona część narzutki stołu przede mną.

— Co za wrażliwość! Jest pan zawsze bardzo mile widzianym. — Przeciągnięcia giętego wesołością głosu nad leciutkiem, lekkoobronnem zwarcie się mem w sobie. Rozchodząca się w policzkach przyjemność zluźniania zwartości.

— Jestem może rzeczywiście zanadto wrażliwym i przeczulonym — mówiłem z uśmiechem w ciebie. Oparcie kanapy zwyraźniło się na chwilę naciśnięciem pleców. — Niekiedy byle jaka drobnostka może mnie

niepotrzebnie zadrasnąć. Sam zły jestem potem na siebie, za to że byłem śmieszny, zwłaszcza, gdy żadnego nie było powodu.

na podciągnięte na kanapę w stronę ku mnie kolana naciągałaś brzeg dolny sukni.

— Człowiek jest rzeczywiście czasami tak idjotycznie drażliwy — patrząc w siebie podstawiałem się samooskarżeniem pod twoje wyrozumienie, czuciem palców zajęty frendzlami narzutki. — Niejedno sobie wtedy potrafi wprost odwrotnie tłumaczyć. Wyolbrzymiać coś ledwożeznaczne lub stwarzać coś, czego niema. Wtedy można być nieraz przykrym w słowach i zachowaniu — istnieję jasnem dla ciebie niedopowiedzianem w słowach — pozornie zimnym i obojętnym, tam gdzie chciałoby być się zupełnie innym. — Milcząca, zamknięta w obrębie mego gorącego ku tobie czucia, wyrozumiała dla mnie miłością wyraźnie jesteś przy mnie i we mnie. — Dopiero potem wściekłym się jest i złym na siebie za własną śmieszność, za samoudręczenie i przykrość sprawioną innym i uniemożliwienie niedoodrobienia już chwil przyjemnych.

część ciemnego paska u góry dalekiej w lustrze między oknami, mniej wyraźnej swą oświetloną równomiernie ogólnością ściany spotkała się na nieznaczną chwilę z mem wybiegłem aż ku niemu widzeniem.

— A wszystko, proszę pani, dlatego, że tak ogromnie trudno jest dojrzeć całość czyjejś istotnej wartości poprzez rozcząstkowanie się jego w szereg kolejnych w czasie drobniutkich rozpadnięć, któremi do naszej wrażliwości dochodzi. Nigdy nie doznajemy drugiego człowieka w całości (może nawet jest to niemożliwe wogóle) ale zawsze tylko w danej chwili coś z niego. Ta część, ten drobny nieraz szczegółik rozrasta się dla nas odrazu w całość i tem jednym odczuciem, przypadkowem, od chwilowej naszej wrażliwości zależnem, —

mówilem już wprost ku tobie wjednoczony przeźroczystością twą w współ-czucie — określamy kogoś i jego do nas stosunek. I tylko przy dużym wewnętrznym wysiłku i cofnięciu się w siebie dla objęcia całości doświadczanych już kiedyś wrażeń, sumując za i przeciw, możemy mieć sprawiedliwy obraz. A i tak dużo z cząstek czyichś, mimo nawet codziennego życia nie dochodzi do nas zupełnie. Bo my, proszę pani, właściwie nie tyle doświadczamy kogoś, ile raczej nas doświadczamy przez niego. Po prostu wracają ku nam promienie odbitego światła.

wparta policzkiem w kanapę, z odchyłoną owalnie pod ciemnią ust wargą, z pod opuszczonych w miękkość półcieni długorzęsych powiek cicho trwałaś nad ruchami wąskiego wskazującego palca prawej ręki na kolorowej bezbarwności kanapy.

— A pani to robi często wrażenie wybitnie odmiennej, niż jaką jest pani istotnie. Pani lubi — przejrzyść siebie mam w sobie — udawać inną, niż jest pani w głębi siebie naprawdę. Można panią wziąć za lekko-myślną, próżną, powierzchowną, lubiącą się tylko bawić. Pani inteligencję za błyskotliwą na płytkiem wnętrzu powierzchwnie, a panią samą za sztuczną i nienaturalną, patrzącą zgóry na wszystko i wszystkich, ogromnie kapryśną przytem i podległą tylko zewnętrznym formom konwenansu. Dużo ludzi tak myśli o pani, sądząc panią czysto zewnątrznie.

wparciem we mnie dużych źrenic wydobyłaś ponad poprzednią, łagodną półcieniem miękkość ożywienie w wyrazistość rysów twarzy. — Ciekawam kto?? — Dłoń nieruchomo zwiślała z uda.

znalazłem się na chwilę przed płaszczyzną twego głosu i oczu, naciskającą na mnie wklęśło. — Choćby... „hrabia“ — wydobyłem się ponad nią, odwracając się widzeniem po chwili w narzutkę stołu.

— Nie zależy mi na jego opinii. Nie lubię go i nie lubiłam właściwie nigdy.

ostrzy odrzut twego głosu ześlizgnął się odrazu z jego tak mojej, gnącej się owalnie miękkości i — Zdaniem jego niema się co nawet przejmować — mówiłem już znów w łagodną półcieniami opuszczonych wypukłych powiek twarz twoją, nachyloną nad wyprostowanymi wszystkimi palcami ruchem dłoni w przegubie wodzonymi na ciemni kanapy. — On jak wielu, na kobietę spogląda tylko z jednego punktu widzenia. Nie widzi w niej nic więcej nad... nadto co widzi.

— Wiem, że mnie sądzą z pozorów — byłaś we mnie głosem i sobą całą. W nieruchomości wpartych w kanapę palców tylko wskazujący poruszał się nieznacznie na boki. — Nie mam zwyczaju spowiadać się z moich myśli przed nikim a obojętne mi jest co kto o mnie pomyśli. Komu będzie na tem naprawdę zależeć, ten będzie mnie umiał poznać naprawdę.

zapadła we mnie wielkość twych ku mnie źrenic wraz z przejmującym swem brzmieniem, odrzeczywistnionym głosem.

— Ja — wyszłem poza me powierzchowne tkwienie widzeniem na obwijanych koło palców frendzlach narzutki drzeniem własnem objąłem w cichość rozcieplenia ku tobie drogą mi tak, wzbliżoną we mnie, wątłą odcieleśnionem należeniem do mnie przejrzystą delikatność twoją. — Ja patrzę w panią poprzez zewnętrzne pozory. Ja wyczuwam w pani to pani istotne ja, poważnie i głęboko wpatrzone w życie w poszukiwaniu trwałszego i wartościowszego oparcia się w niem, niż o przemijające błahostki — wężkość palców twych i dłoni też w ruchu dookoła frendzli pod nachyloną zgięciem cienkiej wątlnością bark szyi twarzą. — Może pani sama sobie jeszcze z tego sprawy dobrze nie zdaje, ale widzę to w pani oczach, poprzez panią, jakby wbrew pani. Wi-

dzę pani duszę mimo, że pani stara się ją usilnie przesłonić. Ja wiem, jaką pani jest — lubość rowka karczku ginąca w puszystość włosów. — I wiem co w pani jest naprawdę. Nie zmyli mnie powierzchowność pozorów. Ja wiem czego pani usilnie szuka.

Istniejąc już tylko wpojona we mnie wymownością ku mnie co chwila poprzez między nami ciepło rozumienia odsłanianych, dużych twych źrenic i coraz częstszem w milej wyrazistości twej twarzy wginaniem i prostowaniem w uśmiechu ślicznej tuż poza gnącą się dźwięcznością słów twoich ruchliwości warg twoich — Niezwykle jest pani do twarzy w takich pełnych skręconych loczków włosach — powiedziałem i to w beczasowem trwaniu wyłącznie i tylko tobą.

— Mnie jest zawsze we wszystkim do twarzy.

dziecinno radosna pochyleniem w przekomarzaniu głowy położyłaś się na rozpostartej pod przyjęcie ciebie, na mem lekkim przez to zaistnieniu sobą, uśmiechniętej pobłażliwości. Wgarnięciem wszystkiego w siebie nieuświadamiana już nawet rozkosz istnienia tobą zachwiała się bujnym zwarciem rozdrobnionych mych w tobie doznań w całość przewiazaną gwałtownie zbiegłym prawie w ostrość nieistnienia w odczuciu wobec tak dalece posuniętych wskazówek zegara, ubiegłym czasem.

— Czy pani wie — stojąc już podtrzymywałem jeszcze chwilę sobą chwiejącą się nade mną w zniknięcie ku górze, malejącą miłość doznań — że ja przeczułem dzień pani przyjazdu? Nikt mi nie mówił, ani znikąd nie mogłem wiedzieć, a mimo to rano wiedziałem: jest pani. I pani istotnie była — uśmiechająca się, gnąca przegięciem głowy i bioder wązkich opiętych ciemno-granatem przede mną wciąż jeszcze jesteś we mnie.

nagle pytaniem swem wydzielilaś się ze mnie w odrębność zewnętrznego istnienia.

— Nie wiem. Trudno tak wiedzieć dokładnie. Lecz jednak kiedyś — cofałem się niepewnie za uśmiech, zbiegając się wewnętrznem ochronnem ściśnionem poczuciem siebie.

— Tak — gnący wyrzutem, daleki poza mną głos twój rozpląszczył się o me zeskorupienie w zupełną na to nieczułość. — Zapewne znów pokaże się pan za jakie parę tygodni!

Wysunięciem się poza drzwi rozscisnąłem się wreszcie z siebie odprężającą swobodą, już poza przykrą koniecznością określenia ścisłego punktu w przyszłości.

„Proszę nie myśleć, że piszę to pod pierwszym impulsem żalu czy podrażnienia. Nie. Chcę pisać bez żalu, bezosobowo prawie, spokojny i ochłonięty zupełnie, całkiem na zimno, po rozważeniu dokładnem i głębokiem. I nie o to chodzi, czy suknia, którą pani sama wymyśliła i uszyła podobala mi się czy nie podobala, ale o to, że mimo moich zapewnień nie chciała mi pani wierzyć. Dla pani jest to może drobnostka, nad którą się wzrusza ramionami i nie pamięta długo, ale proszę mi wierzyć, że to nie jest drobnostka. Nie chciała mi pani wierzyć, nie uwierzyła mi pani, a jeżeli już raz niewiara pomiędzy dwoje ludzi wejdzie, to już chyba jest wszystkiemu koniec. Bo nie o suknię, jeszcze raz podkreślam, tu chodzi, ale o to, że nie można niewierzyć komuś, kto nie jest nam obojętnym, a gdy mu się już raz nie wierzy, czegóż mamy się więcej spodziewać. A tak nie uwierzyła mi pani, nie chciała mi pani uwierzyć. Dlaczego nie chciała mi pani uwierzyć?

„Ja jeszcze raz panią zapewniam, choć może pani nie uwierzy temu i teraz, że to co mówiłem, mówiłem istotnie szczerze. Suknia mi się podobala naprawdę i to istotnie bardzo. Zbyt panią cenię i zbyt mi pani jest droga, bym mógł być wobec pani nieszczerym i mówić coś tylko, tak jak to pani sądzi, z grzeczności. Ani nie bagatelizuję pani, jak mi to pani wyrzucała ostatnio. Jak mało mnie pani zna! Zabolaly mnie bardzo te słowa. Ja nigdy pani nie traktowałem ironicznie albo z góry, przeciwnie, zawsze brałem panią poważnie, mimo wszel-

kich pozorów, któreby mogły przeciw temu przemawiać. Ani nie jestem dumny i zarozumiały jak pani sądzi i bynajmniej nie chodzę w świecie jakbym nikogo innego nie widział. Myślałem, że jeżeli kto, to przynajmniej pani powinna znać mnie lepiej niż inni. Jeżeli byłem i jestem z czego w stosunku do pani dumnym, to tylko z tego i właśnie z tego, że ja jeden ocenić panią umiałem naprawdę i dojrzeć w pani tę istotną, prawdziwą i głęboką duszę, która się pod innymi czasem pozorami ukrywa. Skarżyła się pani, że panią naogół ludzie mało znają i biorą za mało poważnie, za powierzchownie, jako jedynie goniącą za przyjemnościami i użyciem życia. Może mi pani wierzyć lub nie, ale ja nigdy tak pani nie brałem. Przeciwnie, jeżeli kiedy podobała mi się pani najwięcej, to właśnie w te rzadkie chwile, kiedy była pani naprawdę sobą, kiedy w powadze oczu objawiała się pani istotna dusza, szukająca głębszego i wartościowszego sensu życia. W te rzadkie chwile, kiedy pani jest tą, jaką ja chciałbym mieć panią zawsze i jaką pani jest w głębi duszy istotnie. Ja nie lubiałem pani wesołej, żartującej i udającej rozbrykanie, bo wtedy nie była pani sobą. Wtedy miała pani maskę jakąś na twarzy, jedną z tych, które pani tak lubi nakładać i które tak innych mylą. Ja wtedy wołałem milczeć, być nudnym, śmiesznym poprostu i nie nie mówić raczej, niż prostą, głupią, codzienną, bezsensowną gadaniną znieważać panią, niż płaskimi dowcipami, śmiechem, żartami dołączać się do tych, którzy pani w ten sposób wyrażali zniewagę. Z innymi kobietami potrafię być dowcipny, żartujący, swobodny, codzienny, śmiać się i gadać głupstwa, lecz nie potrafię tego z panią, choćby pani sama sobie tego nawet życzyła. Dla mnie nie była pani nigdy chwilową igraszką dla zapelnienia czasu pod wpływem nudy czy zmysłowego podniecenia. Za świętą jest pani dla mnie, bym mógł postępować jak inni. Wte-

dy kiedy milczałem i słów znaleźć nie mogłem, kiedy wydawałem się nudny, nieokrzesany, ironiczny czasem, wtedy ja głębiej i pełniej wyrażałem mój do pani stosunek, niż gdybym był mógł to uczynić słowami. Nie! Ja nie bagatelizowałem pani. Ja się z pani nie śmiałem. Ja właśnie szukałem i tęskniłem za owemi chwilami, tak rzadkiemi niestety, kiedy pani była naprawdę poważną i sobą. Tylko że niejednokrotnie, gdy przychodziłem z chęcią szczerzej i otwartej rozmowy pani nakładała swą maskę na twarz i jednym słowem, powiedzeniem jakimś bagatelizującym, powierzchownem a czasem wprost bez słów, samą sobą, ruchami swemi, wyrazem twarzy zamykała mi pani odrazu usta, czasem zanim jeszcze wogóle mówić zacząłem. Wtedy stawałem się sztywny i milczący, ironiczny i dokuczliwy, a czasem miałem ochotę wstać i odejść. Ale w oczach mych mogłaby pani wyczytać, gdyby pani wyczytać chciała, całą mą ku pani drżącą tkliwość, której zaporą ust ująć na zewnątrz nie dała. O! bo ja najmniejsze życzenie pani pamiętałem stuprocentowo wzmożone, ciesząc się zgóry radością jego spełnienia. Każde zdanie wypowiedziane przez panią, każdą myśl wyrażoną pobieżnie brałem głęboko w siebie, żyjąc niem i odczuwając stokrotnie. Tylko pani nie zdawała się przywiązywać do tego wagi. Jednem niebaczmem, kapryśnem powiedzeniem, nie pamiętającym słów własnych, wtłaczała pani całą mą jeszcze nie wypowiedzianą radość do wnętrza.

„Ja czasami sam już się gubię i nie wiem co sądzić o pani. Jaką jest pani istotnie? Czy tą co ja panią widzę, czy tą co inni a którą i ja czasami mimo pani i wbrew sobie samemu widzę? Raz interesują panią rzeczy poważne, drugi raz zdają się panią nudzić. Zdaje się pani z nudy interesować powierzchownie jedynie czemś, co powinno być jedynie wyrazem głębszej potrzeby. Lekceważy pani dziś to, co koniecznie pragnęła

pani jeszcze przedwczoraj. Dziś wydaje się pani taka a jutro inna. I to zupełnie inna. Nigdy nie była pani tą, którą spodziewałem się zastać. Ile razy szedłem do pani z przymusem niejako, prawie że wbrew własnej woli, jakąś nieodpartą koniecznością wiedziony, wiedząc, że zastanę kogoś zupełnie od pani innego, była pani nad wszelkie spodziewanie naprzekór taka zupełnie moja jak nigdy, jaką panią mieć chciałem i całe godziny wtapiały się w to wypełnione jednym, jedynym poczuciem rozkoszy przebywanie z panią. Ale gdy na drugi raz z obrazem tej pani cudownej miękkości w sobie, nie mogąc wprost doczekać się tego, biegłem do pani, natrafiałem na zupełnie obcą mi, kaprysem ściągniętą twarz pani i odbijałem się boleśnie sam w sobie niemożnością wyjścia własnego z siebie ku pani, która przez to stawiała się czasem wprost nienawistna poprzez moją własną nienawiść ku sobie. Bo ja wtedy nienawidziłem siebie. Nienawidziłem okropnie i pogardzałem sobą, jedno tylko mając wtedy pragnienie: jak najprędzej się sobą z pani obecności usunąć. Uwolnić siebie i panią z przykrości wzajemnego przebywania przy sobie. Była pani jak kalejdoskop, którego form nigdy przewidzieć nie można. Z trudnością wylapywać mogę z pani wbrew pani to, czem pani jest naprawdę. Jestem wobec pani jak ślepy i nic już naprawdę nie wiem.

„Dlaczego to pani czyni? Dlaczego nakłada pani wobec mnie maskę na siebie, który wszak znam panią tak dobrze, wiedząc, czem pani jest dla mnie i jak dalece jestem na to wrażliwym? Jak bardzo łada drobnostka mnie drażni i rani. Jeżeli panią nudzę, jeżeli towarzystwo moje jest pani przykre, to czego mi pani tego wprost otwarcie nie powie? Stać nas jeszcze na szczerość a zbyt zarożumiałym nie jestem. Jeżeli to swem postępowaniem osiągnąć pani chciała, to zapewniam panią, efekt osiągnięty jest w zupełności. Potrafię na tyle się

ponad siebie wysunąć, by móc się objąć obiektywnie w całości, a zbadawszy siebie dokładnie, nie mieć żadnych do pani pretensji, jakkolwiek by to dla mnie bolesne być mogło. Można wyjść sobą nawet i ponad ból własny i spojrzeć nań jako na coś zupełnie obcego, wając dokładnie przyczynę i skutki. Nie, ja nie robię pani wyrzutów. Niemam do tego prawa i nie mam do tego chęci. Ja stwierdzam tylko na zimno fakty i wyciągam nie trudne do wyciągnięcia wnioski. Żal mi tylko na prawdę tego wszystkiego, co mogło być i co było tak piękne, i już nie wróci, nigdy nie wróci, bo je pani postępowaniem swoim na zawsze zpomiędzy siebie i mnie wygnała. Ale jeżeli to panią bawi, jeżeli czyni to pani świadomie, jeżeli igra pani z mym bólem.....“

jakby nie mój, fałszywy, sztuczny, zewnętrzny na powierzchni białych bartek zbiór liter w słowa zanieistniał czuciem w dłoni podartych grubo, zmiętych kawałków papieru.

niespodzianem, tak naturalnem twojem znalezieniem się tuż przy mnie — Dobrze, że pan się tu zjawił — wrzeczywistniłaś się we mnie giętliwą łagodnością dźwięków, włamana w niski obok mojego fotel — będę miała przynajmniej z kim inteligentnie pomówić. — Wbliżony nagle w rzeczywistość utożsamionego z tobą istnienia wzwyczajam się powoli własną małoznacznością poprzez opadające ze mnie pomału przykre poprzednie drżenie w przyjemną ważność bycia przez ciebie wobec obniżających się dla mnie w coraz większą powierzchność trwania na zewnątrz mnie tamtych osób.

— Ja właściwie przyszedłem tylko dla pani — wzmożony w sobie o widzeniem dotknięte, dalekie dla mnie ich powierzchowne istnienie znudzonem brakiem twej barwnej żywości w czerni ich ubrań znieruchomieniem. — Inaczej nie miałbym tu zupełnie co robić — biorę w siebie miłość dziewczęcej twej, przedramieniami na udach opartej wąłości. — Nieswojo, fizjologicznie niepewnie wprost w nogach czuję się na świecących posadzkach, wśród tylu obcych, obojętnych, niepokojących pewnością znalezienia się sobą osób. W pierwszej chwili, gdy nie zobaczyłem w przedpokoju pani futerka chciałem odrazu zawrócić, tak to, co poza drzwiami stało się dla mnie nagle płaskie. Dopiero dojrzany zpod innych rąbek popielaty wrócił mnie humor, a przestrzeń pozadrzwiowemu istnieniu. I wie pani, le-dwo drzwi otworzyłem, to pierwsze, co prawie nie pa-

trząc odczułem to to, że jest i gdzie jest pani błękitna sukienka.

— Tak! A gdybym ja nie była podeszła wreszcie do pana, panby do mnie napewno nie podszedł — odczułem oparcie się o mnie płaszczyzny twego głosu i żrenic. — Pan zawsze na wszystko czeka.

nieruchoma dotąd bezwyrazem nad pomarańczową suknią twarz kobieca, daleka pod ścianą przede mną ożywiła się wdzięcznem sprężeniem ust, szyi i ruchów rąk na kolanach ku zbliżonej do niej z białym ugóry trójkątem czerni smokinga.

— Była pani tak zajęta rozmową — zsunąłem brzmienie głosu ochronnie przed siebie — w gronie eleganckiej i dowcipnej młodzieży, że nie chciałem w żaden sposób sobą przeszkadzać.

— Och! Takie grono! — oglądając paznokcie, istniałaś przy mnie bez tarcia.

— Podziwiam jednak — czułem przylgnięcie do ciebie zespoleniem w jednakiej myśli — ich nigdy nie opuszczającą pewność i naturalność siebie wraz z możliwością mówienia zawsze i wszędzie o wszystkim. — — Ma też pan co podziwiać — unieruchomiłaś ręce przy sobie, oparta plecyma o fotel. — Co mi pan dziś powie ładnego?

z czuciem pleców w oparciu a dłoni na nierównym drzewie poręczy

— Miałem dziś... objawienie — stwierdziłem.

podeszłaś zdziwieniem głosu popod mą lekką w ustach radość.

— Tak. Objawienie — dotknąłem cię widzeniem w uśmiechu — zresztą takie, które się nie miewa zbyt rzadko. Słyszałem muzykę śniegu. Ulicą jechał wóz ciężko obładowany i grał sobą dźwięcznie wraz z śniegiem. Drobne, rozliczne w barwie, szklane dzwoneczki wzruszane w dźwięk główkami od szpilek.

— Och! Słyszałam to nieraz. Też objawienie. Prostu skrzypienie śniegu.

— Właśnie. Skrzypienie śniegu — jaśniałem w sobie ponad ludzi, ściany i ciebie. — Zwyczajne skrzypienie śniegu. Są takie chwile... na przykład: ulica, którą przeszedłem iks razy. Nagle niespodziewanie któraś z jej części, dotąd najzwyczajniejsza w świecie, wstrząśnie mną gwałtownem, wyłoniłem ponad codzienność i zwykłość zastygnięciem w pięknie. Zatrzyma mnie rozprężonego wszechczuciem radości życia. I myślą: życie jest piękne. Żyć warto. To... objawienie. Króciutka chwila. Z czegoś dotąd zwykłego, niezwracającego uwagi zaczerpnęta rozkosz życia.

— Mógłby mi pan też kiedy przynieść kwiaty — nacisnęłaś mnie nagle w milczenie.

wrócony z zaistniałej tuż poza widzeniem międzysciennej, ludźmi wypełnionej i światłem ciasnoty w pozwolne rozprzestrzenianie się w sobie, wciepiałem się w miękkość twojej dłoni, odrzeczywistnionej w dziwność samodzielnego życia białoczarnozłotokoralową drobnokształtnością wokół wąskiego przegubu. Czarne w białych turbanikach z strusich piórek koralowe koło szyi główki murzynków łączone złotymi kółkami.

— Lubię tę branzoletkę z murzynków — podłożyłem pod swe wyodrębnienie się z nieistniejącego zewnątrz w wyłączną ku delikatności ciebie dążność.

— Nie myślałam, że się panu podoba — z świecącą odchyleniem wargą pochylałaś twarz nad obracaną w przegubie dłonią (rozszerzone zmarszczkami jaśniejsze blizny szczepienia) w wzruszeniu mem jedynie widoczna.

— Mnie... się wszystko... u pani podoba — drżącą w głosie wewnętrzną tklivością wblżyłem cię w chęć mych nieruchomych, drażliwie czujących twą miłą delikatność ciepłą powierzchnią, ramion i dłoni. — Czy pani

wie — włączam się cicho w jedyną z tobą rzeczywistość istotną — że i ją też kiedyś nawiedził czar objawienia? — — Co pan mówi? Niemożliwe! — — duże zmiekkzone z pod powiek źrenice w pochylonej przekornie, uśmiechniętej twarzy, zanielonej sfalowaniem kędziorkami rozszerzonych włosów miękko dotykających mnie mimo odległości. — Objawiła mi panią — nieistnieję prawie zupełnie, całkowicie w odczuciu ciebie. — Zawsze była niezwykła — uśmiechnąłem się, od dotkniętej przelotnie wzrokiem, powierzchownej wokoło nas nicnieznaczności innych wrócony w tem silniejsze, ponownem wzięciem cię widzeniem w siebie wzmożone współ-czucie z tobą. — Ale raz to już naprawdę przebrała miarę. Graliśmy wtedy wieczorem w karty, w preferansa lub może i co innego. Pani wie, że nie byłem w tem nigdy zbyt tęgi i lubiałem jedynie śliczne, błyszczące, nowe miedzianogroszówki o któreśmy grywali. Milsze mi były, oczywiście tylko w tej chwili, ponad ciężki kształt pięciozłotówek. Prawa ręka pani leżała przede mną na stole, co zauważyłem zresztą dopiero potem, bo z początku nie zwracała mojej uwagi. Wtedy to nagle branzoletka, ni stąd ni z owąd, zaskrzyła się ponad miarę, zamigotała, rozmieniła w błyski prężąc się i kurcząc w oddechu. Błyski te usamodzielnione ściągnęły się w jeden. Zeskoczyły na rękę i rozmasały się po matowej opaleniem wypukłości i pobiegły ku dłoni. Rozdrobnione groblami palców z ostrz świecących paznokci buchnęły w zieleń sukna stolika. Ręka zareagowała cieniem, zaokrągliła się, uwypukliła, zwarła w sobie, zmiękła, ściśleśniała i strójwymiarzyła zupełnie wyraźnie. Blask odepchnięty z paznokci rzucił się w ramię zaokrąglone, podcieniowane odrazu, przemknął się w płowym puszkę i wlał w twarz, szyję, włosy, sprzesztrzeniając i je w bryłowatość. Wtedy to dopiero dojrzałem poraz pierwszy dokładnie profil pani i brzaskwi-

niowe zapłonienie policzka, lekkie zgarbienie nosa i głębokie włożenie powiek pod brwiami. Śmiały łuk wgnięcia się pleców linją długiej i smukłej szyi w podniesioną wysoko nasadę czaszki nakrytej obciętemi włosami, ostro pod kątem prostym w czubku niejako przechodzącymi w górną linję głowy. Niebieska suknia straciła wyłączność barwy i kroju a stała się przedewszystkiem zewnętrzną osłoną sformowanego w plastyczny kształt ciała.

wydzielona ze mnie przyjemnem mi uśmiechnięciem zaciekawionej twarzy — I co było z tem potem. Niech pan mówi bajkę swą dalej — trwałaś niem, oparta przedramionami o uda, przed mem szerokiem ku tobie radosnem rozwarciem.

— Przegrałem, oczywiście przegrałem. Razem z panią, i nie powiem, by pani wtedy na mnie mile spojrzała. Bo pani to w każdej grze była niezmiernie ambitna, gdy mnie było obojętne, wygram czy przegram. Straciłem więc i wtedy śliczne miedzianogroszówki ale dostrzegłem zato przestrzenność owego wymownego ku mnie spojrzenia żrenic. Jak również rozczepiony z jednolitości w trójwymiarowość ton głosu, który obsypał mnie obfitą pełnią wymówek.— — „Zasłużył pan — wtrąciłaś“ — — A przytem, mimo nieruszania się pani ani mnie z miejsca, wzrokiem stwierdzającym to stwierdziłem równocześnie przybliżenie i zwiększenie się pani w czuciu. Dwie przeciwne sobie rzeczywistości stwierdzone tym samym zmysłem.

— Kiedyż to wszystko było?

— Możliwe, proszę pani, że tego wcale nie było lub, że odbyło się najzupełniej inaczej. Nie twierdzę, że tak było stanowczo. Wiem jednak co było przedtem i potem, a zatem coś było z pewnością pomiędzy. A choćby nawet nie było, to być jednak bezwarunkowo musiało. Bo — uczułem w sobie radość uśmiechu ku tobie —

była pani dla mnie przedtem dwuwymiarowa jak wycinanka z papieru, która oglądana z boku niknie na tle ściany pamięci, widoczna jedynie z przodu. Choć i tak pamiętam — zrównałaś się podniesieniem zemną, przybliżona miłością twej ku mnie poddającej się wyraźnie przynależności w mą wyczekującą, siebiepewną ku tobie śmiałość, — jak to smukliła się pani z dziewczątka ku górze. Jak to włosy, które mnie teraz tak mile łechcą po nosie i które zjadam w wargach, wyzbywszy się skracanego stopniowo warkocza — uśmiechnąłem się w brzoskwiniowy policzek odwróconej ode mnie i odgiętej twarzy z zapachem włosów tuż przed memi słowami — opadły wreszcie gładką czapeczką na uszy a trójkątną grzywką zatrzymały się dopiero nad zakreśleniami brwi łukowatych.

nad zwyrażnieniem w czucie o gładką szorstkość jedwabiu twej sukni mej prawej dłoni wświadamiiany w coraz silniejsze wydobywanie się ponad niknącą w odczuciu materję ciepłego twego, mimo sprężenia w twardość pleców odcieleśnienia w wyrażniejącą ku mnie od przewrażliwienia mej dłoni, drogą mi przestrzenność ciebie — Ja w tańcu nie lubię mówić — wzruszam się po długiem milczącym trwaniu tobą w wrażliwości dotyku. — — Ja lubię — — otarłaś się nieprzyjemną odmiennością siebie o mnie, już i tak przez przykrość wparcia się twardości twego brzucha w me udo zniepewnionego w sobie coraz dotkliwszą koniecznością ostrożnego przeprowadzania twej poczynającej ciężyc masą drogości pomiędzy tańczącemi parami, tuż obok niezbyt już zgodnego z ruchami odczuwanych na posadzce coraz niepewniejszych nóg własnych rytmu melodji. — Nie wiem jak dla was — unieruchomiony mimo ruchu nóg w woni twych włosów wszerzam się swą tkliwością w słowa, zważniające mnie ponad częstem na-deptywaniem twych palców — ale dla nas to zupełnie

nie wszystko jedno z kim jakiś taniec tańczymy. Wtedy przez naszą obejmującą delikatność kobiecych pleców rękę wszystkie nasze w niej zestrzelone czucia sympatji wnikają w miękkość odcieleśnionego pod dłonią ciała. Gdy inaczej natomiast dotykamy nią kawałka obojętnego, przykrego nam drewna. My nie dla tańca tańczymy. Dla was — silniejszym naciskiem prawej dłoni wwiąkszyłem w siebie i ciebie czucie twej dla mnie drogości. — — Sympatja to za mało w tańcu — odrzuciłaś się ode mnie słowem i przerzuceniem w drugą stronę zupełnego profilu twarzy. — Najważniejsze by dobrze tańczył. — — Wiem, że ze mnie niema pod tym względem wielkiej pociechy — wyodrębniłem się dotkliwie od twego nagłego stężenia plecami pod wróconą w czucie materją sukni. — Trudno — podszedłem z trudem w zeszytywnienie policzków uśmiechem ponad kilkakrotnem zetknięciem się niezgrabnością nóg własnych z twardą, przykrą obcością twych kolan — ja niemam w nogach talentu. Nie mogę i nie chcę wkładać w to tyle pieniędzy i czasu, na przykład jak „hrabia“. — — O tak, on świetnie tańczy. I dla pana byłby już czas po temu — zaciężyłaś przykrością sobie przy jedynie jeszcze tylko twą twardą, zupełną inność odczuwającej mej dłoni. — A wie pan — nieustannem doskakiwaniem w trwanie coraz to nowych, nużących koniecznością przystosowywania do nich ruchu nóg dźwięków niekończącej się melodji niedooddzielenia swą obecnością ode mnie — że bardzo się pan co do niego pomylił — trwałaś przykrością mówienia przy mnie obojętniejącym na jego uderzenia. — On właśnie o kobietach chciałby mieć jak najlepsze pojęcie. Dużo z nim na ten temat mówiłam i widzę, że on jest zupełnie inny. Łatwo go potępiać tym, którym życie nie zbrukało ideałów chłopięctwa i płynęło bez brudów i wstrząsów. — — Nie

wiem — wysunąłem z trudem z silnego ściśnięcia siebie w dotkliwą małoznaczną ku zjednoczeniu w wrogość twemu głosowi — czy to było tak bardzo bezwstrząsów. — — Słyszałam od kogoś — ocierasz wciąż nieprzyjemność wgiąć głosu o moją zupełną, twardą beczułość — że jako chłopca uwiodła go jakaś niewiasta. I że stąd jego odraza i nienawiść do kobiet. Dziękuję — rzekłaś nagle, uwalniając wreszcie me nad trudnością drewnianych jawną wszystkim niezręcznością nóg nachylenie od swego w nieczułości rąk podrywającego mi równowagę ciężaru.

przedłużaniem zajęciem palców wokoło niewygodnej twardości manszetów, miękkości czy związana? krawatki i strzepywaniem pyłków z czerni ubrania początkowo jeszcze silny rozpieraniem się wewnętrznem przeciw naciskowi twej przy mnie coraz wyraźniejszej na fotelu z boku, mimo niepatrzenia, obok mej niemożności wyjścia z milczenia obecności maleję w coraz większe zeszytnienie coraz mniejszą wartością siebie za każdym najdrobniejszym na mej wrażliwości szelestem twych znudzonych i wstydzających się słusznie mnie wobec innych zniecierpliwionych poruszeń,

aż zupełnie już ciebie wreszcie nie czując poza znieuchomieniem w prawie swobodne niewydawanie głosu trwam tylko ciągle zmienną przede mną różnorodnością powracających co pewien czas na żółtej posadzce kolorowych pod różnokszałem łydek pantofelków dosuwających się nieustannie ku cofającym się stale przed niemi błyskami w czerni lakierków.

Ale nagleś twem, pozornie obojętnie bez odwrócenia głowy przyjętem odejściem tem silniej zaistniała w przestrzenionej twem w niej zniknięciem pozadrzwiowej dalszości pokojów podniosłaś po chwili przemożnie mą wyciskaną z odprzestrzenionego brakiem ciebie wśród ścian wnętrza drżącą chwiejność z fotelu w nie-

pewne na twardej posadzce między unikaną zawstydzonym wzrokiem, przykrą mimo nieistnienia rzeczywistością tańczących, stąpanie w konieczność oparcia się wzrokiem o jedyną w dookolnej tymczasowości pozaścienną istotność ciebie.

czuciem jedynie w silnem odczuciu siebie — Całą noc spać dzisiaj przez to nie mogłem — wymykam się na chwilę z siebie ku odczutej poza mną w zaciśnięciu dłoni twardości poręczy fotela. — Przewracałem się tylko na łóżku, myśląc wciąż o tem i sam już naprawdę nie wiem, co sądzić o sobie i o niej.

— Kocha cię. Pewnie. Dlaczego by cię nie miała kochać? — zaistniał nade mną wątlą, płaską nieistotnością słów i zadziorkowatością głosu, spłaszczonego w powietrzhowność o wewnętrzną moją świadomość.

— Ja widzisz — wysunąłem się widzeniem z siebie ku jego ciągle zmieniającej miejsce na ciemnej czerwieni ściany, żółtej pod niebieskością włosów twarzy — przy niej nigdy nie mogę być sobą. I ona też przy mnie nie jest. Czynię i mówię zawsze coś innego niżbym chciał czynić i mówić i jednego tylko pragnę gorąco: bym był kimś zupełnie innym niż w danej chwili i niż wogóle jestem i by ona też była inną. A że nie mogę i ona również nie może, nienawidzę wtedy siebie i ją nienawidzę, gdy przy innych jestem zupełnie swobodny i sobą, nie chcę być innym i nie chcę, by one były, nie myślę wogóle o tem. Tęsknię, by ją zobaczyć, cieszę się na to, tem żyję, a gdy już przy niej jestem, obojętna mi jest przeważnie, krępująca nawet. wprost wroga, od której jak najprędzej chcę uciec. A ledwo się znajduję w ulicy, chciałbym być znówu tylko i jedynie przy niej. Chciałbym nie wiem co dla niej zrobić, nie wiem jak się interesującym pokazać, wypowiedzieć całego siebie a coś pcha mnie do tego, by przy niej robić

wszystko odwrotnie, zimnym być, obojętnym, okrutnym, śmiesznym nawet, nudzącym siebie i ją rozmową, jakby na złość jej, że mej prawdziwej wartości nie widzi. Potem przyszedłszy do domu wściekam się, wyzywam, klę jak mogę, rozbijam i niszczę wszystko, a raczej chcę tłuc, rozbijać i niszczyć, bo naprawdę i tego czynić nie umię i nie chcę być może. Zostaje wszystko jak było u mnie, u niej i u nas. Potrafię natomiast wysilać się i zabiegać wybitnie, z powodzeniem nawet, by zdobyć krótką przyjemność chwilowego zainteresowania sobą jakiegoś przelotnego, kilkugodzinnego dla mnie, obojętnego, najwyżej lekko drażniącego zmysły kobiecego istnienia, o którym zapomina się zaraz gdy zejdzie z oczu. W tańcu chciałbym tylko z nią tańczyć a nie ruszę nawet palcem by ją do tańca poprosić. Mam żal gdy odejdzie z kim innym, choć wiem, że być inaczej nie może. Czekam jakby na inicjatywę z jej strony, o której wiem, że być przecież nie może i nie chciałbym właściwie by była, choć w gruncie pragnę jej i na nią czekam. Chcę wciąż czegoś, czego właściwie nie chcę i sam dobrze nie wiem czego tu pragnę. Żyję jedynie oczekiwaniem znalezienia się przy niej a przykremby mi było, mimo nawet jej pytań, dokładne określenie daty następnego widzenia. Nie mogę sobie wyobrazić istnienia bez niej a instynktowo boję się urzeczywistnienia mych pragnień. Pragnę, czego się boję a boję się, czego pragnę. Prawie nie chcę by mnie kochała a nieszczęśliwy jestem że nie mam jej uczucia pewności. I przytem teraz, gdy na to spoglądam, wydaje mi się to wszystko śmiesznem a w gruncie rzeczy nie jest to wcale dla mnie tak śmiesznem...

— Ach co! — ruchliwą w ruchu ciała i twarzy i czernią źrenic odbiegł ode mnie na bok. — Oświadczyć tylko, zróbcie ślub i będzie z was przykładne małżeństwo.

ściągnięty lekko obronem onieśmieleniem przed zbytnią między mną a tobą określonością — Nie lubię słów: ślub, oświadczyń, narzeczeństwo, małżeństwo — powiedziałem po chwili, zetknięty wreszcie plecyma niezbyt silnie z oparciem.

— Wstaniesz rano — istniał głosem z coraz to innych stron tuż poza mem czuciem — dostaniesz kawusi, bułeczkę z masłem, i, jeśli jest słoneczna domowa pogoda, słodkiego, ciepłego buziaka. Wrócisz z pracy, zastaniesz już dobry obiad i uśmiech, po którym (po obiedzie, nie po uśmiechu) zdrzemniesz się trochę, poczytasz może, wypijesz coś znowu, zjesz, popieścisz, pogadasz i dzień niewiadomo jak zejdzie. A to odmiana w tem, w owem, torcik, konfiturka, kompocik (a „mzi-mu“, mówię ci, cudownie umie to robić) pokłócisz się trochę, posprzeczasz, przygarniesz, pocałujesz, popieścisz, pogodzisz. W niedzielę, żeby nie drażnić domowego bóstwa, (scilicet: żony) złożysz w kościele dank Bogu, popołudniu za miasto gdy słońce a wieczorem ty z nią dokąds lub ktoś skąds do ciebie. Pobawisz się z cudzemi dziećmi, niedługo będziesz miał swoje a raczej zona je mieć będzie, mówiąc, w co musisz wierzyć, że to są twoje i tak ci dzień w dzień w żywot pocziwego człowieka się wkłada.

— Szczęśliwy jesteś z tem? — cofnąłem się po chwili za słowa w własną odrębność. — Wystarcza ci to? — oddzielony tem od jego w uśmiechu warg i resztek czarnych w zbiegłych powiekach żrenie nad rzeźbioną w szarotki, w obu dłoniach wiszącą laseczką stojącą przede mną, zdwuwymiarzonej w daleką mi sztywnoza-bawność płaskości.

w opadłej nagle z śmiechu twarzy zwiększone żrenice znieruchomiały ku oknu.

— Coż chcesz — dotknęły mnie na krótko i zbiegły — biorę to co jest rzeczywiście pod ręką. Przy-

tem, widzisz, dnie to godziny, godziny minuty a minuty sekundy. Ani przeżywamy życia ani dni jako całości ale jedną sekundę po drugiej. Zajęcie i odpoczynek, przyjemność i smutek, jedzenie i spanie. Gdzie tu w tem szukać szczęścia? Nie skarzę się. Przeciwnie. Dobrze mi z nią. Nie chcę inaczej a mogłoby być o wiele gorzej. Wiem, że nie istnieje trwanie. Że nie ma trwania. Tylko ciągle następstwo drobnych, małych wydarzeń, z których tak zwane największe, rozdrabnia się w cząstki doznania dla nas, którzy w tem tkwimy. Żołnierz nie czuje glorii tkwiącej później na kartach historii. Szczęściem jest już może brak bólu. Może to góra olbrzymia na którą zbliżka jest tylko uciążliwość wspinania. Powiesz, że zrobiłem się prozaiczny, przyziemny. Mój drogi, cóż kiedy jest tak jak mówię. Tylko w książkach, w teatrze, w kinie, w muzyce, we śnie, w myśli są jakieś syntetyczne skróty odczuć nie rozdrobnionych w płynienie czasu. Cieszymy się na coś, mówimy o czymś, oczekujemy czegoś i spodziewamy się syntetycznie jako czystej całości a doznajemy analitycznie w różnym akompaniamencie okoliczności. Stąd dostajemy nieraz jak najzwyczajniejsza żaba kamieniem w kręgosłup. Zrozumienie! Jak tu zrozumieć człowieka, gdy po latach współżycia równie zamkniętą dla nas całością. Najwyżej mogę pozwolić mu być sobą. Ot co jest zrozumienie a i to nie jest tak łatwo. Widzisz, według mnie, niemoralnością nie powinno nazywać się pokazywanie rzeczywistości życia ale właśnie otumanianie nas myślowymi skrótami których w życiu właściwie nie ma... Dziwisz się zapewne, że wogóle o tem mówię, że o tem rozmyślam. Masz słuszość, ja nigdy nie byłem tak jak ty filozofem, ale czasem to tak myśl jakaś mimowoli się do łba nasuwa. Ty wciąż jeszcze jesteś tym wszechwłaścicielem z tych „naszych czasów“, który, sam nic nie mając, posiada wszystko. Ale ja już mam dużo skromniejsze prag-

nienia. I choć powiesz — oparł się o mnie uśmiechem — że będę tylko stróżem, psem przywiązany na łańcuchu przy budzie, której istotnym, bez żadnej troski, właścicielem będzie każdy, kto miłościwie nań spojrzy, to mówię ci, że jeżeli Bóg da a teściowie dołożą, ujrzysz mnie może niedługo posiadzielcem ładnego domku gdzieś na krańcach naszego miasta, panem na czterech conajmniej ubikacjach z przyległościami i komfortem.

ocierająca się tylko dotąd o me trwanie sobą z różnych w zielonej chropowatości sztucznego kamienia luźnych szczegółów złożona zewnętrzność zastygniętego przede mną kobiecego kształtu podpłynęła nagle dokładnie w dotyk widzenia i wyszłem ponad materiał zcahleniem się w jednolitość piękna zawartej w niej formy nałożyła się na mą przyjemność odczucia, sprzestrzenia cieniem zpod wypukłości piersi, w trójkacie podbrzusza i pod niewielkimi wystąpieniami kolan.

— Na razie jednak znów będę parę dni z wami. Z tobą i z nimi, jak za dawnych czasów, „naszych cudownych czasów“. Zachłysnę się znów tą waszą atmosferą przyjaźni i sztuki, na której ołtarzach tam u siebie, w sanktuarjum mych z czcią otwieranych wspomnień, spalam dymy wonnych kadzideł i pachnących olejków uwielbień. Będziemy jak dawniej wsiąkać w tłum sunący powoli i oczkować mijające niewiasty. Na nakreślone miłośnie tęskliwym kunsztem, krwiste czerwienią, wzdęte namiętnością usteczka całych i półdziewic wywołamy pochutliwe uśmieszki. Wrzucone w szerokie dekolty oczy nasze sięgną, gdzie wzrok nie sięga a tęskliwymi obłapywaniami rękami gorących spojrzeń wyluskamy z obłonek jędrne jabłuszka piersi, szeroką krzywiznę lekkochwiejnych lędźwi i twarde cięciwy sprężystych, stalowojedwabnych łydek. Doznają od nas najwyuzdańszej, najrozkoszniejszej słodczy, wyrachowanej w myśl wszelkich znanych nam reguł pra-

dawnej artis amandi. Gwałcone przez nas, w konwulsjach omdlewających rozkoszy poczną i wydadzą na świat pokolenie nadludzi absolutu i mocy, übermensców nieśnionych nawet przez niedołęgę Nietschego. Dlatego — mówił tuż nad wydobytym ponad mnie, prawie wbrew mojej woli ze mnie uśmiechem — powiadam ci, artysto, wstań! weź płaszcz swój na się a pójdź ze mną na miasto.

— Nie zmieniłeś się nic — opuściłem się uśmiechem głębiej w siebie. — Wciąż jednak teoretycznie zachłanny na dziewiczą niewinność państwa.

niebieskie policzki zaświeciły wyraźniej niedawnem goleniem pod zmrużeniem jeszcze silniejszym powiek a ruchy stały się szybsze i zabawnie skaczące.

— Kupimy tam w sklepiku kartkę z widoczką, niepotrzebną nam wprawdzie ale przydać się zawsze może. A zato zamienimy pełne szacunku i uwielbienia spojrzenie z jasnowłosą pięknoscią. Niezmieniona niczem, z spuszczonej rękami, taka jak dawniej nieruchoma za ladą, ostępuje nam błyskami różowych paznokci bloczki, kamiennie w dziewiczości swej spokojna, gdy my pomału, poomacku zbierać będziemy wyczuwane palcami tylko na ladzie pieniądze. W cichym pokoiku, pełnego żółtego uroku i mroku sączonego przez żółte firanki, wchwycimy w siebie śmiejące się migdałki oczu tak poważnej mimoto pod białym czepeczkiem w swej kelnerskiej nad ciastkami godności kobietki. Na dawnych naszych kapliczkach odświeżymy zatarte napisy lub damy nowe: „Dama w futerku“ „odrutowane serce“ „spojrzenie zza kraty“, „nóżki wymowne“. Tylko „św. Jan“, poganin, jak dawniej z pogardliwym uśmieżkiem obróci się do nich tyłem.

— Tylko żebyś — znów rozradowanie twarzy po krótkim na tle ściany przesuwaniu się oparł o mnie — „mzimu“ nic o tem nie mówił. Zazdrosne moje ko-

ciątko i pod włos puszysty głaskać się nieda. Zajadać się będzie tymczasem pączkami i chrustem u mych rodziców, w których sercach zupełnie już miejsce ich jedy-
nego syna zajęła. My zaś, niezwycześni pracownicy i rycerze miłości, pójdziemy na nowe tryumfy.

wspolony z dziwną samodzielnością istnienia ciem-
nemi włoskami pokrytej, gładkością złota obrączki wy-
odrębnionej dłoni, usuwającej białą w czerwieni warg
stalaktyt śliny, wyolbrzymił się nagle ważnością swej
nowej, niedostępnej mi, ściśle określonej jednakinności
nad mem nagle umniejszeniem w nieznajdowanie się
w życiu.

— Co z „św. Janem“ — rzeczywistością głosu od-
osobnił się jeszcze więcej w całość — Drzwi u niego
stałe zamknięte, bez klucza w zamku, a stróż przypusz-
cza, że musiał gdzieś chyba nagle wyjechać?

— To nic. Zaczekam aż panienka powróci.

odpadnięcie ze mnie z chrzęstem łańcuszka o metal wieszadła zwyraźnionej twardemi ogniwkami na drganiu palców ciężkości palta wniewpewniony w zbytnią lekkość siebie,

wrażliwą sztywnością ciała zapadam się w przykro-przyjemną naprężoną miękkość powierzchni kanapy. wyrazistość przedłużanego umyślnie ocierania chropowatej zmiętości chusteczki o nos i wargi przeciwstawiając własnemu w pustce obecnego bezczasu wewnętrznemu bezczuciowi siebie wobec tak blizkiej nieuniknionej, przedrastającej czas zamknięty zupełnie poza nią przyszłości. Długo i z uporem, widzeniem tuż przed dużym bukietem cieniem pokrytych białych róż w wazonie na szarej narzutce stołu, wczuwam się skórą dłoni i palców w wolne i staranne zasuwanie miękkości chusteczki w wąskość kieszeni.

Jednoplanowa wpierw ze mną istotność przestrzeni pokoju odsuwa się w coraz dalsze, niższe jakieś, dorywcze, nieciekawe, nudne wprost trwanie przy i poza memi coraz wyraźniejszym odcieśnieniem się w nieustanność drżenia wszerzonego w przerwę czasu, przebieganego krótkimi poczuciami własnego ciała w cochwilowych, niedługich ruchach.

jak to dobrze że się pan zjawił z twarzą pochyloną w kędziorkach i tak naturalnie usiadłaś przy mnie w silnem odczuciu objęcia nieruchomych ramion będąc miała z kim inteligentnie pomówić włosomiękkociepła

dźwięcznogłosowa delikatna świadomość ciebie tuż przy mnie blizkiej grubością warg i wrysowaniem rozwartych powiek w owal twarzy poprzez którą daleka mała w niebieskiej sukience siedząca przy mnie w fotelu na tle zamazanem tamtych ma pan też co podziwiać gdybym ja nie była do pana podeszła naturalnie nie mogłaś ode mnie nie odejść dlaczego nie miałaś odejść nie zrobiłem nic by cię przy sobie zatrzymać skąd miałaś wiedzieć ani słowem znać ci o tem nie dałem co czuję obojętny byłem milczący nienawistny ci wprost musiałaś się za mnie wstydzić dlaczego miałaś się ze mną pożegnać sam unikałem cię potem i nie wiedziałaś nic co we mnie się dzieje co ty właściwie wiesz o mnie — istnieję czu ciem słów w sobie formowanych przez widzialne ruchy nieruchomych mięśni w ustach — nie powiedziałem ci jeszcze ni słowa ni słowa nie usłyszałaś jeszcze o tem ode mnie co ty właściwie wiesz o mnie ani kwiatów nawet nigdyś jeszcze ode mnie nie miała mogłby mi pan kiedy dać kwiaty

zwymyślałem plecy w oparciu a dłonie o materję spodni na udach, wydzwigając się tem zpod zawinionego własną bezsilną nacisku niemocy. Lekki ból rozszedł się po rozluźnionych z zaciśnięcia szczękach i zębach. Dawne już przede mną ocienienie róż, po krajach rozrywanych plamkami rozstrzępionego światła, weszło w widzenie. Dwie rozbłyszczone pręgi wgięte dośrodkowo pod niemi, rozbiegłe dołem od czarność wazonu zespolonej na stole z cieniem, ogromnym półcieniem oddzielonym od szarej w świetle, miękko szorstkiej bezbarwności płaskiej wokoło. Pozaginana, podłużna, światłem z cienia wyodrębniana, półkuliście wokoło sylwety ułożona biała delikatność chłonną rozjaśnienie światłem płatków.

za co tybys — cofnąłem widzenie znów aż do słów wróconych w odczucie tuż pod niem — miała mnie... —

niewypowiedziane wewnątrznie słowo płasko wyczułem opadające na poprzednie słowa powoli — nienawidzić mnie możesz pogardzać mną za co ty mnie właściwie masz rozdrażniony drobnostką z której potem się śmieję sztywny milczący jestem cóż w tem że tańczysz dla tańca ja też nie tańczę z takimi które niezgrane w tańcu nie lubię jasnych blondynów mówiłaś.

coraz większą drażliwością siebie coraz ciaśniejszy w nacisku najbliższej chwili, poza której szczerze ograniczenie nie mogę wybiegać myślą, wyzbywam się na chwilę siebie przytknięciem czoła o zimno szyby. Rozdrobnione w bezlik zimnych, piekących punkcików wciąż przez czas dłuższy za poruszeniami głowy wraca pod twardość niknącego bezustannie nachodzeniem ciepła czoła, bliższe od zeszywnionej w iskrzenie, prześwietlonej nieprzeźroczystości śnieżnych kwiatów. Chłodem paznokci odskrobane nikną zprzed dalekiej płataniny czarnobiałych gałęzi, osypujących rozproszanie białe zpod bezgłośnych wron na cichych w żółceniu środkiem białości śniegu ludzi.

ja panią tak bardzo — ciepła miękkość twojej dłoni w mojej — kocham czy pani wie że ja panią tak bardzo kocham tyle chciałbym pani powiedzieć sama pani to zresztą odczuje najlepiej ja może nie umiem tego odpowiednio wyrazić ale pani to wie chyba najlepiej uczucie moje jest może inne niż zwykle ale to wiem że jest bardzo głębokie to wiem niewiem tylko czy pani mnie..... nie wiem tylko czy pani mnie lubi.

pod cochwilowe, kolejne, bezszelestne pojawianie się w polu widzenia czerni mych zaokrąglonych butów podsuwały się urywanie jednostajnie czas dłuższy obojętne, nieinteresujące, regularne zmiany w barwie niekończącego się ciągłemi nawrotami na mnie dywanu. Od mej wewnętrznej pod silny napór zewnątrz podciśniętej pustki beczucia wstrzymanej bezwiednie w ru-

chu ciemną czerwienią matowego sukna biurka daleka przez chwilę, jasna na niej prostokątna niewielka kremowość gwałtownem wwiększeniem wblizona tuż we mnie zanikła rozpętnieniem liter i sobą w mem nagłem rozprysnięciu się nad zniepewnieniem nóg w rozdrżanie rozcząstkowanym, nieskończenie żarem. Nie moje poruszenie rąk roztrajających poza mną z barwy i kształtu kremowość; twardy na skronie, bolesny do bezczucia napór wyparł mnie z sobą w szybkie osuwanie się nieodczuwanych murów kamienie o mnie.

Dopiero w czas pewien w wyzwolonem z pod ciężaru bezczucia wracajacem rozdygotaniu sobą utrzymywało się tkwienie widzeniem na pozostałym na ciemnej czerwieni niezalepionym, żółtym w cieniu prostokącie koperty, przeźroczystej tobą w pośrodku i dużemi, do tyłu nachyleniemi owalami twych liter. dałaś mu jednak swą fotografię dałaś mu jednak siebie kształtowały się uporczywie wewnątrz ruchu nieruchomych warg słowa a białe róże były także od niego.

białość dookola równi pól mrocznych weszła nagłem objawieniem usłania ciszą poprzez szerokość widzenia aż ku mnie. Nieruchomym nogom zimna wilgotność wróciła kończyny palców. Z nową mi radosną luźnością w skroniach, z szerokim na daleką już niezasłanianą przyszłość czasem wokoło zacząłem coraz szybciej, świadomie brnąć własnymi śladami zpowrotem ku świejącemu światłami miastu.

unieruchomiony w nagłą niemożność oparcia się o nią wzrokiem, zdrętwiały wewnętrznem ściśnięciem przy jej, po słowach jej, dobitnej przy mnie, odczuwanej, wyraźnej, blizkiej, cielesnej obcości — poza płaszczyzną mego wprost przed siebie skierowanego widzenia różnokształtne zmiany plam w zlustrzonej ścianie i przed nią — ledwo istnieję jedynie na przykrość zbyt blizkości tak dalekich przy sobie dwu naszych odrębności zupełnych skierowaniem czuciem.

— Dziwi pana zapewne, że mimoto nie chciałam za tamtego, „hrabiego“ wyjść za mąż. Poprostu — uderzała we mnie twardością głosu — nie kochałam go.

wzrokiem złączyłem się z własnymi na burakowo podłożonem szkle stolika rękami — Nie rozumiem tedy — tuż przy jasnej brunatności jej skórzanej torebki przełożonej środkiem zmiętą ciemnością cienkich rękawiczek — jak mogła — wydobyłem ze siebie nie moje słowa — mu pani się.... zająć z nim... aż tak daleko.

zgrubiałe zgięciem i włochatą materją swetra, wyraźnie z niewidocznem dla mnie poza niemi jej ciałem złączone łokcie nieruchome blisko przy sobie tuż za gładkością torebki.

— Pragnęłam go i nienawidziłam. A to być nie może miłością. Tylko, że spostrzegłam to jednak niestety zbyt późno.

odslonięty usunięciem przez nią rękawiczek żółtawy, płaski guziczek błyszczał półksiężycem światła w środku ściemniałej płaszczyzny. Poza brzegiem stolika, na cie-

mnopopielatej spodniczce, przyległej ściśle rzadkiemi, ostremi fałdami do zaokrąglonej szerokości ciała bioder, długie trójkąciki jasnych palców niespokojnych wciąż przy miętej ciemności rękawiczek pod jej wyczuwanem sprostowaniem się w sobie.

— Wiedziałam, że to musi nastąpić. Oddalałam tę chwilę jak mogłam — urywanie jej głosu uderza mniejtwardo o mnie. — Lecz nie mogłam mu nie powiedzieć o tamtym. Nie chcę być kochaną za wyobrażenie o mnie. Chcę być kochaną jak jestem. On nie mógł postąpić inaczej. Wam trudno jest postąpić inaczej. Może nawet rozczarowałby mnie gdyby postąpił inaczej. Tem był mi blizki i tem stał mi się daleki. Musiał odejść tak nagle ode mnie bez słowa, ratując siebie przed sobą. A raczej przed wyobrażeniem własnem.

palce jej odpinają i zapinają zatrask.

— Dziwi pana zapewne, że się tem wogóle mógł przejąć. Nie podejrzewał go pan, wiem, zupełnie o zdolność do uczuć. Nie przypuszczał pan, że między nim a mną coś było, że wogóle, zwłaszcza u niego być mogło. Zimnym był dla was, niewzruszonym, niezdolnym do wzruszeń. Tem silniej zato żył wewnątrz nieujawnianem na zewnątrz. Namiętności swe spalał we własnem wnętrzu. Stąd jego twarz spokojna, obojętna, ironiczna prawie, bolesna jednak w uśmiechu przy całej jego nieruchomości. „Św. Jańska“, jakżeście go słusznie, choć pozornie nielogicznie, nazwali, odczuwając w nim nieświadomie to, coście zaprzeczali świadomie. Ja sama przypadkiem tylko dotknęłam raz jego wnętrza naprawdę a długo szukałam drogi. Poszedł raz po farbę, której mu przy malowaniu mego portretu zabrakło. Byłam długo sama i starałam się go poznać bez niego, bo tak można o wiele lepiej. Zewnętrzność osoby nie paraliżuje wtedy tak bardzo zdolności odczucia naszej i jego. A pan wie jak bardzo ciekawym się jest osoby o którą nam cho-

dzi. Natrafiłam wśród jego nielicznych książek na zeszyt wypisanych z różnych dzieł cytat. Nielicznych zresztą. Jedną z nich, wyjątek z „Journal Intime“ Amiel’a odpisałam zaraz i miałam już czas nauczyć się jej na pamięć, a z nią na pamięć i jego: „Je suis susceptible de toutes les passions, car je les ai toutes en moi; dompteur de bêtes ferores, je les tiens en cage et en laisse, mais je les entends quelquefois gronder. J’ai étouffé plus d’un amour naissant. Pourquoi? parceque avec cette sûreté prophetique de l’intuition morale je les sentais peu viable et moins durable que moi. Je l’ai étouffé au profit futur de l’affection définitive. Les amours des sens, de l’imagination, de la sensibilité, je les ai pénétrés et rejetés, je voulais l’amour central et profond. J’y crois encore. Je ne veux pas de ces passions de paille qui éblouissent, consomment ou desèchent; j’appelle, j’attends et j’espère le grand, le saint, le grave et sérieux amour qui vit par toutes les fibres et par toutes les puissances de l’âme. Et si je dois rester seul, j’aime mieux emporter mon espoir et mon rêve que de mé-sallier mon âme“. A potem dopisał parę zdań własnych: „Rzucani bezustannie o twardą ścianę własnych teoretycznych zdolności i pragnień do najwyszukańszych wyuzdań, odszarpywani od odpychającoprzyciągającej terażniejszości ku niemogącemu ulec skalaniu oczekiwaniu przyszłości mamy twarze obojętne, nieczuło spokojne. Zrównoważone wewnętrznem zmaganiem się dwóch sił sobie przeciwnych i równych, z których żadna nie jest nami istotnie a obie są poza nami. Na ciało nasze obdarzone stałą kierunkową ku ciału kobiecemu dążnością opada paraliżująca ruchy niemoc niezdolności mierzenia podwójną miarą w każdej kobiecie jednako obecnej, tkliwością szacunku naszego na ciało jej narzuconej nietykalności. W ochranianiu ich i siebie na możliwość przyjęcia w siebie w przyszłości tej co ma na-

dejsć pełni miłosnego wypełnienia w szczęście spychamy dzień za dniem, stąpając chwiejnie boleśnie po ostrzu miecza“.

treść słów jej przeniesiona z niej we mnie, w we-wewnętrzne z nią jednobrzmiennie, rozprzestrzeniona poprzez rozluźniony nią nacisk poza mnie zwiotczyła poprzednią twardość jej odmienności w ledwoczucie dla mego wewnętrznego rozejścia się szerokim sobą. Dotykaną widzeniem wewnętrzną pustką trwałem przy jej usamodzielnionym w oderwane od jej nieistnienia drgające oskarżeniami, coraz szybsze brzmienia głośnie.

— On musiał odejść ode mnie. Musiał oddalić się z miasta by pogodzić się lub zapomnieć. Wy nie kobiety w nas widzicie. Wasze jedynie o nich wyobrażenie. Nie człowieka kochacie w nas, lecz nierealne w nas o nim pojęcie. Świętą lub uliczną dziewczynę. Innych kategorii nie znacie. Wy wciąż jeszcze żyjecie dedukcją. Wszystko co „poza wasze“ swem własnem odrębnem od tego życiem nie mieści się w kategorjach waszego myślenia. Dla mnie niema u was w pojęciu miejsca. Dla tamtego, „hrabiego“, dotąd jestem wyuzdaną dziewczyną. Dla was byłam naturalną, swobodną, a teraz, gdy wiecie, że nią jestem istotnie, nie możecie się z mą naturalnością pogodzić. Nazwał mnie pan kiedyś do miłości stworzoną. I słusznie. Bo nie małżeństwa pragnę. Miłości. Nie użycia. Współżycia. Nie bytu pewnego. Współbytu. Współ-czucia. Współpracy. Współrozumienia. Tylko to wam najtrudniej zrozumieć. Nie będę już dla was „Jasną“. Pod mą zielonokamienną rzeźbą w najlepszym razie wryje pan jedynie: Kobieta.

Gwałtownym szmerem jej poruszenia zetknięte wreszcie z białą za różowością jej palców chusteczką na twarzy moje widzenie włagodziło się w taką jak kiedyś wzruszającą miłość jej kształtów. Z nad zatrzaśniętej srebrem błysku, nad zmiętą jasnością chusteczki żółto-

skórzańskiej torebki krótkiem dotknięciem wilgotnych źrenic wluźniony w miękkie oparcie krzesła od wbiegłego w zaczerwienienie jej twarzy niewielkiego tuż przed opuszczeniem powiek uśmiechnięcia się odwróciłem szybko me prawie roześmianie w rozejście się w bezruchu mej przed siebie i w siebie wpatrzonej twarzy.

— Tak — z obu stron dłonie me weszły w czucie ocieraniem się ciąglem ruchami palców w ledwie ustępującą twardość kanapy. Nagle z zespolonego z tobą, z „jasną“, z „hrabią“, z „św. Janem“, z „murzynek“, z „mzimu“ dookoła zewnętrzności wysunięty w bezdnie nacisku samotnego bycia — Właściwie nic się nie zmieni. Tylko czas jakiś upłynie, zanim soczewka duszy przystosuje się w bliską realność — zesunąłem sam siebie z siebie w spłaszczenie jakieś gdzieś dołem. W wzrok podeszła ciemnobraunatna w szklaneczce, zółbrzywała ponad mnie, jaśniejsza po bokach jej zawartość

Kraków I. 1930 — X. 1932.

DZIUNKOWI
W DWUNASTOLECIE PRZYJAŹNI



J. KURZYCA

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000699412



I 67032